

KURIER UTW

Nieregularnik Uniwersytetu Trzeciego Wieku

33/2023



Uniwersytet
Wrocławski

KURIER UTW

KURIER UTW

NIEREGULARNIK UNIwersYTETU TRZECIEGO WIEKU

Numer 33 (2023)



Uniwersytet
Wrocławski

Kurier UTW – Nieregularnik Uniwersytetu Trzeciego Wieku
Pismo słuchaczy i sympatyków UTW

Druk Kuriera UTW jest finansowany przez Gminę Wrocław
www.wroclaw.pl

Opieka merytoryczna
Magdalena Wnuk-Olenicz

Redaktor wydania
Stanisława Warmuz

Zespół redakcyjny:
Ewa Alfut, Bożena Górna, Elżbieta Jagielska, Ewa Semków,
Jerzy Sosnowski, Magda Wieteska

Redaktor techniczny
Dariusz Kobyłański

Kolportaż i Archiwum „Kuriera UTW”:
Grażyna Kubik, Janina Żywicka

Redakcja zastrzega sobie prawo do dokonywania skrótów tekstów

ADRES REDAKCJI:
Uniwersytet Trzeciego Wieku
ul. Dawida 1/3, 50–527 Wrocław
tel./fax 71 367 01 16, www.utw.uni.wroc.pl

Skład, łamanie, druk i oprawa:
S-CAN Wydawnictwo s.c.

Nakład: 600 egz.

Stanisława Warmuz	
<i>Wstęp</i>	11

Walentyna Wnuk	
<i>Edukacja w późnej dorosłości</i>	15

PÓŻNA DOROSŁOŚĆ TO CZAS POMYŚLNY

Alina Żurek	
<i>Co czyni ludzi zdrowymi i szczęśliwymi?</i> <i>(wystąpienie konferencyjne, 29.09.2022)</i>	17

Magdalena Wnuk-Olenicz	
<i>Dlaczego warto uczyć się z biografii?</i>	22

Dariusz Galasiński	
<i>Czy 70 to nowe 50?</i>	28

Joanna Golonka-Legut	
<i>Uczenie się „poszło w las”, czyli o edukacyjnym potencjale natury z perspektywy okresu późnej dorosłości</i>	31

Martyna Pryszmont	
<i>Porozmawiajmy o rapie! O muzyce (nie)tylko dla dorosłych</i>	36

Jadwiga Jasińska-Sadura	
<i>Z doświadczeń edukatorki</i>	42

Filip Karolczyk	
<i>Dzienniczek praktyk</i>	43

SŁUCHACZE I ROKU O AKTYWNOŚCI I EDUKACJI W PÓŻNEJ DOROSŁOŚCI

<i>Od czego zależy aktywność w okresie późnej dorosłości</i>	45
(Maria Biegalska, Małgorzata Dymerska, Maria Mielniczek)	

<i>Moja droga edukacyjna, czyli czego nauczyłem/am się w ciągu życia</i>	50
(Anna Adamska, Joanna Grodziska, HSz, Barbara Jaworska, Judyta, Stanisława Kalus, Leonard, Ewa Szpiek, Piotr Woźny, Słuchaczka I roku)	

<i>Moje doświadczanie uniwersytetu trzeciego wieku – ja jako słuchacz UTW w UWr</i>	71
(Jolanta Kamińska, Elżbieta Klausa, Maria Serek, Barbara Traczyk, Słuchaczka II, Słuchaczka III)	

Leszek Grudziński <i>Muzyka dla seniorów</i>	83
---	----

Z ŻYCIA UTW

Ewa Alfut <i>Kocham cię, życie – radosna recepta na dobre dni Zespołu Muzyczno-Poetyckiego „Art”</i>	85
---	----

Wanda Koleśniak <i>Klub Miłośników Kultury Hiszpańskiej i jego działalność</i>	86
---	----

Jerzy Sosnowski <i>Z humorem i śmiechem zgłębiamy korzenie... i nie tylko</i>	90
--	----

WROCŁAW – NASZE MIASTO

Jerzy Czerwonka <i>Wczoraj – Dziś – Jutro</i>	97
--	----

Ewa Alfut <i>Wrocław – moja miłość</i>	102
---	-----

Alicja T. Pawlik <i>Pięć przystanków tramwajem plus jeden</i>	103
--	-----

Jan Zacharski <i>Fraszki wrocławskie</i>	107
---	-----

SŁUCHACZE O SOBIE I SWOJEJ DZIAŁALNOŚCI

Ewa Alfut <i>Oni są wśród nas, Poeci</i>	111
---	-----

Stanisława Kalus <i>Starość dawniej i dziś</i>	112
---	-----

<i>Niepotrzebni</i>	113
<i>Kto mi skradł mój świat?</i>	115
Jerzy Sosnowski <i>Samotny tłum. Postscriptum</i>	116
Jerzy Sosnowski <i>Jak żyć?</i>	118
Urszula Grycner <i>Relacje międzyludzkie – kolejne pokolenia – przyjaźń</i>	120

WARSZTATY DZIENNIKARSKO-LITERACKIE

O Czerwonym Kapturku – tradycyjnie i współcześnie

Magda Wieteska	125
Maria Halinowska-Hensel <i>Czerwony Kapturek</i>	125
Alicja T. Pawlik <i>Bajka o Czerwonym Kapturku</i>	127
Beata Chłap <i>Czerwony Kapturek</i>	128
Teresa Dźwigałowska <i>Bajka o Babci i Czerwonym Kapturku</i>	129
Aleksandra Wrzos <i>Czerwony Kapturek (wersja tylko dla osób 18+)</i>	130
Ewa Alfut <i>Nie taki wilk straszny...</i>	131
Bogdan Banaś <i>Odzyskana pamięć Babci</i>	133
Irena Kawczyńska <i>Przygoda Czerwonego Kapturka</i>	135
Ewa Konigsman <i>Zmieniona wersja bajki o Czerwonym Kapturku</i>	137
Maja Garczyńska <i>Czerwony Kapturek – wersja nowa</i>	138

Gry i zabawy naszego dzieciństwa

Magda Wieteska	140
Teresa Dźwigałowska <i>Mali szabrownicy</i>	140
Bogdan Banaś <i>Wystrzałowe zabawy</i>	142
Ewa Śnigór <i>Zorro</i>	146
Ewa Alfut <i>„Takie były zabawy (...) w one lata”</i>	147
Ewa Konigsman <i>Gry i zabawy mojego dzieciństwa</i>	149
Maria Marchwicka <i>Najcenniejsza lalka w moim życiu</i>	150

List do zabawki

Magda Wieteska	151
Ewa Konigsman <i>Kochana Dutko!</i>	152
Ewa Śnigór <i>Kochany Pimpusiu!</i>	153
Maja Garczyńska <i>Kubuś!</i>	154
Irena Gójska <i>Urokliwy króliczku!</i>	155
Maria Halinowska-Hensel <i>Droga Joasiu!</i>	156
Teresa Dźwigałowska <i>Drogi Puszku!</i>	157
Bogdan Banaś <i>Droga Piłko!</i>	158
Aleksandra Wrzos <i>Tosiu!</i>	160

Danuta Lesiów <i>Kochana moja Piłko!</i>	161
Ewa Alfut <i>Kochane Szkiełka!</i>	162
<i>Sprzedawcą być, ale czego?</i>	
Magda Wieteska	163
Ewa Konigsman <i>Optymistyczna księgarnia – „Ku pokrzepieniu serc”</i>	164
Ewa Śnigór <i>Klub śmiechoterapii</i>	164
Ewa Alfut <i>Sprzedawca słonecznych promyczków</i>	166
Bogdan Banaś <i>Kit w promocji</i>	167
Maria Halinowska-Hensel <i>Wszystko na sprzedaż</i>	170
Beata Chłap <i>Ocalić od zapomnienia</i>	171
Barbara Traczyk <i>Element sentymentalny</i>	172
Maria Marchwicka <i>Kupujcie moje książki!</i>	173
Aleksandra Wrzos <i>Zapach truskawek</i>	174
<i>Recenzje filmów i książek – polecamy!</i>	
Magda Wieteska	176
Bogdan Banaś <i>Wizyta w hospicjum</i>	176
Ewa Konigsman <i>„Nic nie może przecież wiecznie trwać”</i>	178
Mieczysław Lasota <i>Film o zepsuciu i wrażliwości</i>	179

Beata Chłap	
<i>Oswoić śmierć</i>	180
Aleksandra Wrzos	
<i>Johnny, nie Jasiek</i>	180
Ewa Alfut	
<i>Kilka słów o książce „Opowieści o mocy. Autobiografie kobiet Wrocławia”</i>	182

RELACJE – SPRAWOZDANIA

Magdalena Wnuk-Olenicz	
<i>Spotkanie EFOS w Brnie</i>	185
Ewa Alfut	
<i>Ze słońcem i sercem w tle. Słów kilka o konferencji naukowej „UTW przestrzeni budowania dobrych relacji”</i>	187
Urszula Grycner	
<i>Spotkanie w Auli Leopoldina we Wrocławiu z przedstawicielami Francji, Litwy, Portugalii i Polski w ramach projektu Erasmus + 3 AC</i>	189
Ewa Alfut	
<i>Gościli u nas...</i>	192
Magda Wieteska	
<i>Międzypokoleniowe „Spotkania z Fonikiem”</i>	192
Małgorzata Garbacz	
<i>Jubileusz 15-lecia UTW w Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu. Jubileuszowo, nietypowo</i>	198

WSTĘP

*Niektórzy ludzie zamiast mostów
Budują tamy i stają się samotni.
Ty jesteś budowniczym mostów.
(Ewa Foley)*

Szczęście! Każdy z nas chce być szczęśliwy.

„Szczęście jest jak tort, w którym 50% całości to genetyka, 10% – życiowe okoliczności, 40% – celowe działania”¹.

Te celowe działania są często przedmiotem badań w zakresie poszukiwania szczęścia. Ich przykładem są „Badania harwardzkie” ciągłe, trwające kilka lat. Przez 80 lat śledzono życie 724 mężczyzn (w badaniu tym uczestniczył między innymi John Fitzgerald Kennedy – 35 prezydent Stanów Zjednoczonych).

Zasadnicze pytanie tych badań – „Co naprawdę utrzymuje ludzi w zdrowiu i szczęściu?”. Najważniejsze przesłanie, jakie z nich płynie jest następujące: „To dobre relacje czynią ludzi szczęśliwszymi i zdrowszymi”. Z opublikowanych badań i opracowań płyną ważne dla nas „lekcje”, które warto „odrobić” i stosować w życiu dla poprawy relacji.

Bezpośredni kontakt z przyrodą jest niezbędny dla prawidłowego rozwoju osób w każdym wieku i odgrywa również ważną rolę w tworzeniu się i trwaniu więzi międzyludzkich. Obserwuje się dzisiaj „zespół deficytu natury” – czyli powiększający się i narastający dystans pomiędzy ludźmi a przyrodą. Istotnym składnikiem środowiska przyrodniczego jest las. Co można zrobić, aby „nauka nie poszła w las”, ale las przybliżył się do nas? O tym w jednym z artykułów.

Żyjemy w przekonaniu, że inni chcą nas skrzywdzić. Przywoływane są różne lęki – o świat, zdrowie, pracę. Powstaje pytanie, czy można ten świat i te lęki

¹ Anna Cieślik, „Nawyki dobrego życia. Czy szczęścia można się nauczyć?”, Wykład 2023.

oswoić, czy można się nie bać. Dobre relacje, takie jak: bliskość, przyjaźń, miłość pomagają przezwyciężyć te lęki. Pięknie o relacjach, szczególnie tych międzypokoleniowych, napisali Słuchacze naszego uniwersytetu.

Świat jest różnorodny, każdy z nas jest inny, nie ma jednej oczywistości. Myślę, że każdy z nas chciałby, aby świat, jak napisała Urszula Grycner, przypominał wielobarwną łąkę. Wejdźmy razem na tę łąkę, poczućmy jej zapach, jej piękno. Ale bywa na tym świecie i tak, jak napisał Czesław Miłosz:

*Jest taka cierpienia granica
Za którą się uśmiech pogodny zaczyna,
I mija tak człowiek i już zapomina,
O co miał walczyć i po co.*

I jest takie słowo z łaciny „paliacja” (paliatywny), które oznacza „okrywanie płaszczem”. I bardzo chcę wierzyć, że po zapoznaniu się z recenzjami filmu „Johnny” (reżyseria Daniel Jaroszek) będą Państwo wiedzieli, o co warto walczyć, a okrywając płaszczem miłości potrzebujących, nie odmówią tej miłości samym sobie. To akceptacja swojego wieku, swoich możliwości, ale również ograniczeń i zagrożeń, pozwoli jaśniej spojrzeć na ten świat.

Proces starzenia się jest nieunikniony, jednak możemy mieć wpływ na subiektywne odczuwanie starości. Współcześnie nie kwestionuje się faktu, że osoby starsze mogą nabywać nową wiedzę i umiejętności. Uczenie się jest nie tylko możliwe, ale nawet konieczne. Dlatego ważnym problemem jest edukacja w starości, która nie jest łatwym zadaniem. Wymaga pracy, czasu, przekonania i wiary w sukces, we własne możliwości, dając poczucie bycia pełnoprawnym członkiem życia społecznego. Z tego rodzaju edukacją zapoznaje nas Walentyna Wnuk.

Jedną z dróg edukacji w starości jest uczenie się z biografii, jak przedstawiła Magdalena Wnuk-Olenicz. Jednym z przykładów uczenia się z biografii niech będzie książka *Autobiografie kobiet Wrocławia* w recenzji Ewy Alfut.

Poszukując dróg edukacji w starości może „Porozmawiajmy o rapie”. Rap jest połączeniem dwóch form sztuki – rytmicznego słowa oraz podkładu muzycznego. Ludzie starsi często nie akceptują rapu ze względu na slang i wulgaryzmy, ale rap to nie tylko język ulicy, jest to opowiadanie o tym, co autentyczne, często spychane na margines, to odwoływanie się do doświadczeń, do biografii autorów tekstów, a to jest jedna z cech uczenia się.

O edukacji w zakresie kultury opowiedzą autorzy artykułów o wydarzeniach artystycznych w naszym uniwersytecie. W świat poezji zawarty w wierszach Stanisławy Kalus wprowadzi nas Ewa Alfut. A Słuchacze I roku w swoich esejach pokażą inne jeszcze drogi edukacji, nie tylko w starości.

Pamiętacie „Mkną po szynach niebieskie tramwaje, przez wrocławskich ulic sto...”. Zapraszam do podróży po ukochanym mieście we wspomnieniach zawartych w tekstach i fraszkach o Wrocławiu.

Czy 70 to nowe 50? To pytanie o model wieku we współczesnym świecie. Trudno dziś znaleźć pozytywny model wieku. Społeczeństwa w krajach wysoko rozwiniętych traktują wiek jako coś negatywnego. Z wiekiem coraz mniej nam wypada. Czy siedemdziesiątka to nowa pięćdziesiątka? Na tak postawione pytanie autor artykułu odpowiada – „Oby nie!”. Dlaczego „nie”? Odsyłam do artykułu.

A może, nie zastanawiając się nad „modelem wieku”, powtórzmy za Jerzym Wasowskim, jak śpiewała Łucja Prus:

*Umówmy się na stare lata
Odnajdę Cię na końcu świata
Czas światopogląd nam uzdrowi
Stworzy warunki do rozmowy.
Odnajdziesz we mnie bratnią duszę
I platonicznych tyle wzruszeń.
A kiedy serce Ci się wzmocni
Strzelimy sobie spacer nocny
Aleją wśród drzew.*

Ale zanim pójdziemy na ten spacer, spotkajmy się w UTW i budujmy mosty.



Inauguracja roku akademickiego 2022/2023



Chór słuchaczy UTW „Sursum Corda”

dr Walentyna Wnuk

Doradca Prezydenta Wrocławia ds. osób starszych

Edukacja w późnej dorosłości

*Człowiek, który się wciąż uczy,
nigdy się nie starzeje*

Zyjemy w czasach, w których dzieci nie chcą być dziećmi, dorośli dorosłymi, starzy starymi. Zapewne składa się na to wiele przyczyn, ale zasadniczą jest narastający kult młodości, sprawnego i pięknego ciała. Współczesna cywilizacja lansuje młodość i zdrowych singli. Stąd moda na zachowanie postawy nastolatków; schlebiamy młodzieńczej dumie, która nas otacza, czasem poddajemy się. Rodzą się pytania: czy starość jest człowiekowi potrzebna? Czy można ją kształtować?

Wszyscy pragniemy samodzielności i niezależności. Chcemy, aby starość była w miarę zdrowa, szczęśliwa i godna. Dlatego słusznie uważa się, że starość jest dla człowieka wyzwaniem, tzn. kolejnym zadaniem życiowym, które trzeba podjąć. Nie wszyscy sobie z tym radzimy, ale przecież nie da się uciec od tego etapu życia. „Starość otwarcie przyjęta, jest mniej stara” twierdzi prof. M. Straś-Romanowska – nasz edukator. W Biblii mówi się, że starości nie mierzy się liczbą przeżytych lat, można mówić o starości ciała, psychiki, duszy. To jej przejawy. To fakt, starzejemy się w trzech wymiarach: fizycznym, psychicznym i społecznym. Te procesy można znacznie spowolnić. Tak więc prawdą jest, że starość jest najbardziej zindywidualizowanym etapem życia, nie można mówić o jakiejś starości, trzeba ją odnosić do konkretnego człowieka. Każdy człowiek określa ją sam, bowiem jest zróżnicowanym etapem życia. W historii ludzkości zawsze miała dwa oblicza w wymiarze jednostkowym. Była pomyślna bądź niepomyślna, aktywna lub pasywna, akceptowana i nieakceptowana, wreszcie rozwojowa i nierozwojowa.

To wszystko, co dotychczas napisałam i moje wciąż dojrzewające doświadczenie zawodowe i życiowe, mówi mi o narastającej potrzebie edukacji do staro-

ści i edukacji w starości. Mówi się nawet o nich w aktach prawnych regulujących treści działań edukacyjnych na przestrzeni życia człowieka.

Edukacja do starości obejmuje dzieci i młodzież, edukacja w starości, ludzi dojrzałych, w późnej dorosłości. Różne są cele i instrumenty realizacji tych ścieżek edukacyjnych. Skupię się na edukacji w starości, której potrzebę dostrzegam w każdym UTW. Edukacja osób starszych jest w nauce traktowana jako ważny predyktor pomyślnego starzenia się. Celem nadrzędnym jest utrzymanie odpowiedzialności za własne życie i samodzielne jego kształtowanie. To często wymaga pomocy zewnętrznej. Chcemy rozumieć życie w zmieniającej się rzeczywistości. Wszystko wokół zmienia się, łącznie z nami. Chcemy lepiej rozumieć siebie i innych ludzi, świat. Dlatego konieczna jest rekonstrukcja dotychczasowej naszej wiedzy, dopełnianie jej i aktualizowanie. Ta edukacja musi obejmować wszystkie wymiary życia, zaspokajając nasze rzeczywiste potrzeby i zainteresowania. Równocześnie powinna umożliwić wykorzystanie naszej „wiedzy życia”, budowanej własnym doświadczeniem, którą nosimy w sobie. Stąd potrzeba auto-refleksji nad własnym życiem (warsztaty rozwojowe), reinterpretacja doświadczenia, wymiana emocji, zdobywanie wreszcie harmonii wewnętrznej (dobrostanu psychicznego), w konsekwencji – budowanie mądrości życiowej jako finalnego etapu rozwoju intelektualnego człowieka. Oczekuje się, że taka edukacja będzie pomagała w rozwiązywaniu problemów życiowych, zapobiegając złym scenariuszom starzenia się. Dużą wagę przywiązuje się do rozwoju naszego potencjału twórczego, który każdy sobą prezentuje. Ważne, żeby go rozbudzić. Wreszcie ważne jest budowanie więzi międzyludzkich w wymiarze indywidualnym i międzypokoleniowym. To przeciwdziałanie samotności i poczuciu osamotnienia.

Kategorie uczenia się mogą być różne, każdy z nas dokonuje ich wyboru. Może być uczeniem się dla przyjemności, dla zdobycia nowych kompetencji, służenia swoim potencjałem innym, dla utrzymania własnej sprawności intelektualnej, rozwiązywania własnych problemów życiowych, czy potrzeba zmiany struktury własnego życia, a więc pojawienie się nowych pól aktywności itp. itd.

Tak więc można powiedzieć, że edukacja jest „obsługą naszego życia”. Takie sformułowanie spotyka się w literaturze przedmiotu. To wszystko daje sposobność mądrego i radosnego przeżywania tego etapu życia, w zdrowiu i poczuciu godności własnej. Każdy człowiek potrzebuje wyobrażenia, że jego życie w jakiś sposób się zmienia, staje się lepsze. Dlatego ważne jest, aby programy UTW o tym wszystkim pamiętały i dawały nam taką możliwość, czego Państwu serdecznie życzę.

dr Alina Żurek

Instytut Psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego

wystąpienie konferencyjne, 29.09.2022

Co czyni ludzi zdrowymi i szczęśliwymi?

Gdybyśmy mieli teraz zainwestować w swoją przyszłość, gdzie umieścilibyśmy swój czas i wysiłek? Kto ze słuchaczy myślał o tym, jak dobrze byłoby móc zobaczyć czy dziś podejmowane życiowe decyzje, wysiłki i starania, przyniosą szczęście w życiu? Co by było, gdybyśmy mogli badać ludzi od czasu, gdy byli nastolatkami, aż do późnej starości, aby zobaczyć, co naprawdę utrzymuje ludzi w szczęściu i zdrowiu?

W świecie badań naukowych takie pytania stawiane są w **Harvard Study of Adult Development (HSAD)** – harwardzkim badaniu, w którym przez 80 lat śledzono życie 724 mężczyzn. Jest to jedno z najdłuższych badań nad życiem dorosłych, jakie kiedykolwiek przeprowadzono. Badania ciągłe, trwające wiele lat, są niezwykle rzadkie. Prawie wszystkie projekty tego typu rozpadają się w ciągu dekady, ponieważ wiele osób rezygnuje z udziału w badaniach, fundusze na badania się kończą, brakuje badaczy i dyrektorów, lub po prostu umierają. Badanie harwardzkie przetrwało. Zdaniem aktualnego, czwartego już dyrektora badania – Profesora Roberta Waldingera, stało się tak dzięki szczęściu i charyzmie kilku pokoleń ludzi.

Próba HSAD składała się z dwóch grup mężczyzn rekrutowanych w latach 30. i 40. XX wieku:

1. Kohorta Harvarda – *Grant Study*; było to 268 kaukaskich mężczyzn z klas harwardzkich z lat 1939–1944, w wieku około 19 lat; wszyscy ukończyli studia podczas II wojny światowej, a następnie większość z nich poszła służyć na wojnie.
2. Kohorta bostońska – *Glueck Study*, było to 456 kaukaskich chłopców z biednych dzielnic Bostonu, w wieku 11–16 lat, wybranych przez profesorów Harvard Law School – Sheldona i Eleanor Glueck. Byli to chłopcy, wybrani do badania dlatego, że pochodzili z najbardziej problematycznych i pokrzywdzonych rodzin w Bostonie lat 30. Większość z nich mieszkała w starych kamienicach, wielu bez ciepłej wody, albo bez zimnej bieżącej wody.

W obu kohortach Harvard i Boston, zdrowie fizyczne i psychiczne były testowane przy użyciu:

1. Kwestionariuszy: co 2 lata, mężczyźni wypełniali kwestionariusze, gdzie pytani byli o zdrowie fizyczne i psychiczne, jakość małżeństwa, karierę lub radość z emerytury oraz wiele innych aspektów życia.
2. Ankiety zdrowia: co pięć lat zbierano informacje zdrowotne od mężczyzn i ich lekarzy, aby ocenić stan zdrowia fizycznego; poddawano ich badaniom medycznym, testom krwi i skanom mózgu.
3. Wywiadów: co 5–10 lat przeprowadzano okresowe wywiady osobiste, aby udokumentować bardziej dogłębne informacje na temat ich związków, kariery zawodowej i starzenia się. Nagrywane były rozmowy z żonami badanych mężczyzn, gdyż i te zostały przed laty włączone do badań. Badacze byli w stanie śledzić ich wybory, a także zobaczyć, jak ich skutki odbijają się na życiu.

Od 1938 roku śledzono więc życie 724 mężczyzn, pytając o ich pracę, życie domowe, zdrowie fizyczne i psychiczne, przyjaźnie, małżeństwa, oczywiście nie wiedząc, jak potoczą się ich losy.

Około 60 mężczyzn uczestniczących w badaniu wciąż żyje, większość z nich ma 90 lat. Badanie *Harvard Study of Adult Development* posiada już czwartego dyrektora. Badani nastolatkiem wyrosli na dorosłych, którzy weszli we wszystkie dziedziny życia. Zostali nauczycielami, pracownikami fabryk, prawnikami, piekarzami, brukarzami, lekarzami, jeden – 35. prezydentem Stanów Zjednoczonych – John Fitzgerald Kennedy. Niektórzy wpadli w alkoholizm. Kilku zachorowało psychicznie. Niektórzy wspięli się po drabinie społecznej z dołu na sam szczyt, a niektórzy odbyli tę podróż w przeciwnym kierunku, ze szczytu amerykańskiej hierarchii społecznej, z Harvardu, na sam jej dół, do bezdomności. Obecnie zespół Harvarda przechodzi do badań około 1300 dzieci/potomków pierwotnych uczestników badania (w 51 procentach grupa drugiej generacji składa się z kobiet).

Jakie lekcje płyną z dziesiątek tysięcy stron informacji, które wygenerowano na temat szczęścia i zdrowia w życiu? Otóż, lekcje nie dotyczą bogactwa, sławy czy coraz cięższej pracy. Najwyraźniejsze przesłanie, jakie płynie z tych 80-letnich badań jest następujące: **To dobre relacje czynią ludzi szczęśliwsi i zdrowszymi.** Większość z nas intuicyjnie wie, że posiadanie bliskich, wspierających relacji jest ważne dla naszego ogólnego szczęścia i samopoczucia, a dekady badań naukowych potwierdzają, że więzi międzyludzkie nie tylko wpływają na zdrowie psychiczne, ale są również kluczowym czynnikiem determinującym długość życia i zdrowie fizyczne w ostatnich latach życia. Mówiąc o relacjach, nie mówimy tylko o intymnych, małżeńskich i rodzinnych relacjach. Dla zdrowia i szczęścia liczą się wszystkie rodzaje więzi międzyludzkich – od rodzinnych i przyjacielskich, po towarzyskie, koleżeńskie i zawodowe. Badanie *HSAD* przyniosło do

tej pory ponad 100 opublikowanych artykułów i opracowań. Lekcje, które z nich płyną, są następujące:

Lekcja 1. Pierwszą z nich jest to, że relacje społeczne są dla nas naprawdę dobre. Okazuje się, że ludzie, którzy są bardziej społecznie związani z rodziną, przyjaciółmi, sąsiadami, są szczęśliwsi, są zdrowsi fizycznie i żyją dłużej. Ludzie, którzy są bardziej samotni niż by tego chcieli, okazują się mniej szczęśliwi, ich zdrowie pogarsza się wcześniej, sprawność ich mózgu spada wcześniej i żyją krócej. Gdy badacze próbowali sprawdzić, czy jest coś, co pozwala przewidzieć w wieku 50 lat, zdrowie w wieku 80 lat, okazało się, że to nie poziom cholesterolu w średnim wieku przewidywał, jak badani mężczyźni będą się starzeć. Predykatorem zdrowia okazało się poczucie zadowolenia ze związków. Ludzie, którzy byli najbardziej zadowoleni ze swoich związków w wieku 50 lat, byli najzdrowsi w wieku 80 lat. Najszczęśliwsi uczestnicy badań, w wieku 80 lat stwierdzili, że pomimo odczuwanego bólu fizycznego nie tracili radości z życia jako takiego i nie doświadczali znaczącego obniżenia doraźnego nastroju. Ludzie, którzy byli w nieszczęśliwych związkach, w dniach, w których zgłaszali więcej bólu fizycznego, bardziej cierpieli, bo dochodził ból emocjonalny.

Lekcja 2. Doświadczenie samotności okazuje się być toksyczne. Faktem jest, że więcej niż jeden na pięciu Amerykanów zgłasza, że jest samotny, zaś Wielka Brytania powołała Ministerstwo ds. Samotności. Wiemy, że można być samotnym w tłumie i można być samotnym w małżeństwie, więc drugą ważną lekcją, która wynika z badań *HSAD* jest to, że nie liczba przyjaciół, których się ma, i nie to, czy jest się w związku, ale jakość bliskich relacji ma znaczenie. Okazuje się, że życie pośród konfliktów jest szkodliwe dla naszego zdrowia. Natomiast życie w dobrych, ciepłych relacjach stanowi jego ochronę.

Lekcja 3. Czas/jego długość, spędzony z ludźmi chroni nas przed „siniakami” związanymi z życiowymi wzlotami i upadkami. Badacze odkryli, że ilość/czas też się liczy. Patrząc wstecz na swoje życie, ludzie najczęściej opisywali czas spędzony z innymi jako najbardziej znaczący. Spędzanie czasu z innymi ludźmi sprawiało, że badani byli szczęśliwsi na co dzień, a w szczególności czas spędzony z partnerem lub współmałżonkiem wydawał się chronić ich przed spadkami nastroju, które pojawiały się wraz z bólami fizycznymi i chorobami związanymi ze starzeniem się.

Lekcja 4. Kolejną ważną lekcją, wyciągniętą na temat związków i zdrowia jest to, że dobre związki nie tylko chronią nasze ciała, ale także nasze mózgi. Okazuje się, że bycie w bezpiecznym związku z inną osobą, chroni w wieku 80 lat przed spadkiem sprawności poznawczej. Ludzie, którzy są w związkach, w których czują, że mogą liczyć na drugą osobę w potrzebie, mają pamięć na wyższym poziomie. Dobre relacje nie oznaczają relacji przez cały czas bezproblemowych. Niektóre z badanych par mogły się ze sobą sprzeczać każdego dnia, ale dopóki

badani czuli, że w trudnościach mogą na siebie liczyć, te kłótnie nie odbiły się negatywnie na ich pamięci.

Lekcja 5. Nauka dobrego radzenia sobie ze stresem procentuje przez całe życie. Badacze z Harvardu odkryli, że niektóre sposoby radzenia sobie ze stresem i łagodzenia niepokoju mogą przynosić większe długoterminowe korzyści niż inne. Okazało się, że osoby, które radziły sobie ze stresem, angażując się w metody adaptacyjne, tj. sublimację (na przykład: czujesz się niesprawiedliwie traktowany przez pracodawcę, więc zakładasz organizację, która pomaga chronić prawa pracownicze), altruizm (zmagasz się z uzależnieniem i pomagasz zachować trzeźwość, będąc wsparciem dla innych uzależnionych) i tłumienie (martwisz się redukcją etatów w swojej firmie, ale odsuwasz te zmartwienia na bok, dopóki nie zrobisz czegoś, co pozwoli ci zaplanować przyszłość), miały lepsze relacje z innymi ludźmi, a ich sposób radzenia sobie powodował kaskadę korzystnych efektów, np. sprawiał, że ludzie chcieli im pomóc, przez co posiadali sieć wsparcia społecznego, a to z kolei zapowiadało zdrowsze starzenie się w wieku 60 i 70 lat. Ponadto ludzie, którzy używali mechanizmów adaptacyjnych, byli dłużej sprawni poznawczo, w przeciwieństwie do ludzi korzystających z nieadaptacyjnych strategii radzenia sobie, takich jak zaprzeczanie, odgrywanie się lub projekcja.

Lekcja 6. Szczęśliwe dzieciństwo ma bardzo, bardzo długotrwałe skutki. Posiadanie ciepłych relacji z rodzicami w dzieciństwie było dobrym predykatorem cieplejszych i bezpieczniejszych relacji z najbliższymi osobami w dorosłości. Szczęśliwe dzieciństwo było w stanie rozciągnąć się na całe dekady i przewidzieć bezpieczniejsze relacje z małżonkami w wieku 80 lat, lepsze zdrowie fizyczne w dorosłym życiu, aż do późnej starości. I nie tylko więzi rodzicielskie mają tutaj znaczenie. Posiadanie bliskich relacji z co najmniej jednym rodzeństwem w dzieciństwie przewidywało mniejsze ryzyko depresji w wieku 50 lat.

Lekcja 7. Ale... osoby z trudnym dzieciństwem mogą nadrobić zaległości w połowie życia. Ludzie, którzy dorastają w trudnych warunkach – w trudnych rodzinach lub niepewnością ekonomiczną – starzeli się mniej szczęśliwie niż ci, którzy mieli szczęśliwe dzieciństwo. Jednak gdy ludzie osiąkali wiek średni (określany jako 50–65 lat) i angażowali się społecznie, czyli byli zainteresowani tworzeniem i prowadzeniem/ wspieraniem następnego pokolenia, byli szczęśliwsi i lepiej przystosowani niż ci, którzy tego nie robili. Ludzie mogli wychowywać dzieci, mogli też w pracy lub innych sytuacjach być mentorami dla młodszych dorosłych.

Podsumowanie. Wiadomo, że dobre, bliskie relacje sprzyjają naszemu zdrowiu i samopoczuciu, to mądrość stara jak świat. Dlaczego zatem tak trudno tworzyć i utrzymać dobre relacje? Związki są niełatwe i skomplikowane, a ciężka praca polegająca na opiece nad rodziną i przyjaciółmi nie daje szybkich efektów. Trwa też przez całe życie i nigdy się nie kończy. Przez te 80 lat badania *HSAD*

pokazywały, że ludzie, którzy radzili sobie najlepiej, żyli i troszczyli się o związki z rodziną, z przyjaciółmi, z sąsiedzką społecznością. Na czym polega więc troska o kogoś w związku? Możliwości są praktycznie nieograniczone. Wprowadzanie małych zmian w naszych relacjach może przynieść duże rezultaty. Może to być coś tak prostego, jak zastąpienie czasu ekranowego czasem dla ludzi lub ożywienie związku poprzez zrobienie czegoś nowego razem, długie spacery lub dotarcie do tego członka rodziny, z którym nie rozmawiało się od lat, ponieważ właśnie rodzinne zbierają straszne żniwo u ludzi, którzy trzymają urazy.

Poniżej przedstawiam kilka propozycji wynikających z harwardzkiego badania, dotyczących poprawy relacji:

1. Nie osądzaj. Zmień słowa, którymi myślisz o innych ludziach. Słowa mają znaczenie. Nie tylko słowa, których używamy, gdy mówimy do innych, ale słowa, które mówimy do siebie o innych. „Słowa tworzą rzeczywistość” – powiedział Norwid. Nasza wewnętrzna narracja, zwłaszcza historia, którą opowiadamy sobie o innych ludziach, ich decyzjach, zachowaniach, dziwactwach i irytujących nawykach, ma głęboki wpływ na to, jak wchodzimy z nimi w interakcje. Istnieją trzy proste kroki, które można podjąć. Pierwszym jest rozpoznanie osądających myśli, które wchodzi do głowy i wzmacniają negatywną narrację o drugim. Następnie powstrzymaj się od opowiadania tej historii innym. Wreszcie zastąp ją bardziej pozytywnym słowem lub frazą, np. „ten człowiek też może mieć rację”.

2. Stwarzaj drobne pozytywne chwile w ciągu dnia. Możesz to zrobić gdziekolwiek jesteś i gdziekolwiek idziesz. Np. spójrz swojemu koledze w oczy i podziękuj mu za pojawienie się w tym trudnym czasie, albo zatrzymaj się przy biurku swojej współpracownicy i zapytaj, jak radzą sobie jej starzejący się rodzice. Za każdym razem, gdy dzielisz taki pozytywny moment z innym człowiekiem – nawet jeśli jest to tylko ciepły uśmiech – wyzwalas kaskadę pozytywnych reakcji w sobie i w nich. A to pomoże ci żyć dłużej, szczęśliwiej i zdrowiej.

3. Więcej słuchaj, mniej mów, codziennie zadaj komuś otwarte pytanie. Komunikacja jest skomplikowana i nie jest sobie równa. Krzyk jest komunikatem, tak samo jak kłamstwo jest komunikatem. Aktywne słuchanie, podczas gdy pozwalamy komuś innemu mówić, jest również komunikacją i jest to jedna z najbardziej niedocenianych metod budowania relacji z innymi. Oznacza to słuchanie po prostu po to, by lepiej zrozumieć drugą osobę i dać jej przestrzeń do podzielenia się swoją historią, wyrażenia swoich obaw, wyartykułowania swoich nadziei lub po prostu opowiedzenia o tym, co ją dziś zirytoowało lub zachwyciło. Kiedy to robimy, pokazujemy ludziom w naszym życiu, że naprawdę nam na nich zależy.

5. Zaplanuj czas na spędzanie go z najlepszymi przyjaciółmi. Silne, wysokiej jakości relacje wymagają utrzymania i ciągłych inwestycji. Wykazano, że przyjaźnie są kluczem do naszego szczęścia i długowieczności, zwłaszcza w miarę

starzenia się, ale nawet najlepsze z nich zwiędną, jeśli nie będziemy ich pielęgnować. Jednym z łatwych sposobów na to jest wygospodarowanie czasu w swoim tygodniowym lub miesięcznym harmonogramie, aby spotkać się z przyjaciółmi osobiście, na zoomie lub telefonicznie. Te małe, regularne inwestycje w nasze związki są niezbędne do ich wzrostu i podtrzymania.

6. Przepraszaj... też za stare sprawy. Wielu z nas zakończyło związek w niedbany lub niedbały sposób. Bywa, że chodzimy z pretensjami lub urazami do kolegi, szefa, kuzyna, współlokatora, sąsiada, byłego partnera itp. Dlaczego nie zacząć od wybrania jednej z osób w swoim życiu, z którą miałeś problemy i napisania do niej listu? Przeprosiny powinny być krótkie i proste, warto w nich przyjąć odpowiedzialność za to, co zrobiłeś lub czego nie zrobiłeś dobrze. Jeśli zdecydujesz się to zrobić, nie oczekuj, że otrzymasz odpowiedź. Jeśli druga osoba przyjmie twoje słowa i powie, że ci wybaczają, to świetnie. Pamiętaj jednak, że przebaczenie jest po części procesem wewnętrznym, zaś druga strona może nie być gotowa na przyjęcie przeprosin. Pomimo wszystko, przepraszaj... też za stare sprawy.

dr Magdalena Wnuk-Olenicz

Kierownik Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Uniwersytecie Wrocławskim

Dlaczego warto uczyć się z biografii?

*Aby żyć całkiem rozważnie
i wyciągać z własnego doświadczenia całą naukę,
jaka jest w nim zawarta, trzeba często wracać myślą wstecz
i rekapitulować to, co się przy tym odczuwało,
trzeba też porównywać poprzedni własny sąd z obecnym,
zamiary i dążenia z ich rezultatem i przyjemnością, jaką przyniosły.*

A. Schopenhauer

Człowiek uczy się przez całe życie. Uczymy się w domu rodzinnym, na podwórku, w szkole, w pracy zawodowej, w czasie wolnym, w relacjach międzyludzkich, poprzez media. Można mnożyć przestrzenie edukacyjne. Trudno je wszystkie „uchwycić”, dodatkowo nie zawsze uświadamiamy sobie, że się uczymy. Jak zdefiniować edukację? Pomocną zdaje się być zaproponowana przez P.H. Coombsa¹ jej klasyfikacja:

¹ M. Malewski, *Modele pracy edukacyjnej z ludźmi dorosłymi*, „Teraźniejszość-Człowiek-Edukacja”, 2000, nr 1 (9), s. 57.

– **edukacja formalna** – system instytucji oświatowych zbudowanych w sposób hierarchiczny, który poprzez świadectwa i dyplomy szkolne selekcjonuje uczących się do rozlicznych ról społecznych. Jest to obszar uczenia się najczęściej postrzegany przez ludzi jako „właściwe” źródło wiedzy, kompetencji i umiejętności;

– **edukacja pozaformalna** – każda zorganizowana aktywność edukacyjna usytuowana poza formalnym systemem światowym. Typowymi formami edukacji pozaformalnej są kursy, seminaria, odczyty, koła miłośników, różne postacie dokształcania i doskonalenia zawodowego;

– **edukacja nieformalna** – to prawdziwie całozyciowy proces, w którym jednostka przyswaja postawy, wartości, umiejętności i wiedzę z powszechnego doświadczenia oraz zasobów i wpływów środowiska życia – rodziny, sąsiedztwa, pracy i zabawy, z rynku, biblioteki i środków masowego przekazu. Nie musi być czynnością świadomą.

Edukacja jest więc nie tylko nauczaniem szkolnym, ale wielością procesów całego życia, wiążących się z codziennością jednostki. Procesy te łączą się z rozwojem osobowości, a także formują tożsamość osoby.

Każdy z nas jest inny, zbudowany z innej historii życia. W procesach edukacyjnych nie można pominąć biografii, która służy poznaniu człowieka. Biografia i narracja charakteryzują człowieka jako gatunek. Natura ludzka jest obdarzona pamięcią i zdolna do mentalnej wędrówki w czasie, wyposażona w umiejętność opowiadania, namysłu i interpretacji własnego doświadczenia biograficznego. Indywidualne biografie dostarczają informacji na temat przeżyć, postaw, doświadczeń jednostki, w ciągu jej całego życia oraz wpływu tych przeżyć na sposób życia. Biografia jest fenomenem edukacyjnym. W biografiach zawarte są, bardzo często nieuświadomione, procesy edukacyjne. Poznawanie biografii, zarówno własnej, jak i innych, to dowiadywanie się czegoś więcej, odkrywanie tego co było nieznane. To właśnie stanowi proces uczenia się.

Skąd zainteresowanie biografią?

Czasy, w których żyjemy, szczególnie interesują się biografią. Ukierunkowanie uwagi na biografię jest wyrazem społecznego zapotrzebowania na biograficzność, wyrazem potrzeby poznawania szczegółów życia poszczególnych osób, nie tylko wybitnych, znaczących, powszechnie docenianych – niezwykłych, ale także osób nieznanymi szerszemu ogółowi, funkcjonujących w codzienności doświadczanej przez niewielu – tzw. zwyczajnych. „Najwyraźniej nadszedł czas po(od)szukiwania w biografiach osób zwyczajnych prawdy o człowieku, której dotkliwie brakuje ponowoczesnym społeczeństwom. W czasach zagubienia, nieprzejrzystości wartości i zamienialności znaczeń, szczególnie potrzeba indy-

widualnej codziennej prawdy o tym, jak być człowiekiem i jak odnajdywać się w niełatwym świecie. Prawdy, która wynika z przykładu życia”².

Czemu służy poznawanie biografii?

W biografiach zawarte są szeroko pojmowane procesy edukacyjne, choć często są one ukryte i wymagają uświadomienia. Poznawanie biografii to dowiadywanie się czegoś więcej niż dotychczas było wiadome – jest to proces uczenia się. Ważny jest namysł nad własnym i Innych doświadczeniem biograficznym oraz jego reinterpretacje. Opowiadając swoje życie, możemy uruchamiać działania autoformacyjne, wzmacniające podmiotowość osoby, sprzyjające kreacji dojrzalej tożsamości, pozwalające na odszukiwanie znaczeń. Biografia, nad którą jednostka snuje refleksję, może stać się kanwą jej rozwoju, możliwością stawania się kimś więcej niż było się dotychczas. Może odsłaniać nowe horyzonty rozumienia siebie i otaczającego świata, zbliżając jednocześnie do rozumienia sensu własnego życia. Refleksja nad biografią może rodzić pytania: po co jestem?; jaki/jaka jestem?; jaki/jaka mogę być? „Namysł nad biografią skłania ku bardziej świadomemu i samodzielnemu kierowaniu swoim życiem, ku stawaniu się autorem, a nawet artystą swojego życia. Tak bowiem, jak artysta, tworząc swe dzieło, stara się, by było ono jak najdoskonalsze, tak i człowiek, odwołując się m.in. do przeżytych doświadczeń i wydobywając z nich pouczające dla siebie treści, może starać się czynić swe życie doskonalszym, piękniejszym. Namysł nad biografią, a w szczególności uczenie się z własnej biografii, można uznać za *stricte* edukacyjny i niezwykle skuteczny sposób stawania się bardziej dorosłym, zyskiwania bardziej dojrzalej – zintegrowanej tożsamości”³. To możliwość i szansa rozwoju, autokreacji, bardzo często nieuświadomiona, jednak możliwa. Jak (za)inspirować ów namysł? Pomocne mogą okazać się warsztaty biograficzne, ale także rozmowa „uwrażliwiająca”⁴ – ukierunkowana na własną biografię. Można również opowiadać o swoim życiu poprzez pisanie autobiografii, prowadzenie pamiętnika, zapiski z podróży, z okresu życia, historii dzieciństwa, młodości, początków pracy zawodowej, życia na emeryturze, choroby, itp.

² E. Dubas, *W edukacyjnej przestrzeni biografii – biografia jako poznanie człowieka*, [w:] red. E. Dubas, A. Słowik „W stulecie metody biograficznej. Refleksje i przykłady badań z perspektywy polsko-frankofonńskiej”, Łódź 2020, s. 125.

³ Tamże, s. 124.

⁴ Tamże.

Co jest ważne w opowiadaniu o życiu?

Nie może być ono oceniane, krytykowane, poprawiane, wymaga taktu, braku krytyki, tolerancji, cierpliwości, słuchania siebie nawzajem z szacunkiem i uwagą (warto zadbać o wspólny kontrakt). Każdy ma prawo zachować obraz swoich czasów i wierzyć w rzetelność swojej pamięci, mieć swój subiektywny obraz przeszłości i tolerować inny obraz tego samego czasu, miejsca, osoby. Opowiadanie o sobie postrzegane jest w edukacji dorosłych jako droga w głąb siebie, podróż, analiza przeszłości, odbywająca się w trzech wymiarach czasu – przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Często to co niewypowiedziane, nienapisane jest nieuświadomione, nie istnieje. Dopiero kiedy opowiadamy, przywołujemy daną historię, doświadczenie z naszego życia, dostrzegamy znaczenia, uczucia, być może inne niż wcześniej, jakie towarzyszą tym przeżyciom. Po za tym po dłuższym upływie czasu, spoglądamy na wiele spraw z innej perspektywy, nadajemy nowe znaczenia, wartości. Opowiadanie o swoim życiu posiada walor terapeutyczny, o którym pisze D. Demetrio⁵. Ważne są pytania, jakie stawiamy, namysł nad sobą i światem, z pełną świadomością, że odpowiedzi nigdy nie będą pełne i ostateczne. „Pytania zachęcają do myślenia. Za ich sprawą rodzą się nowe pomysły i powstają nowe sposoby podejścia do dobrze znanych zadań. [...] Dobre pytania otwierają zamknięte dotychczas drzwi, stymulują do oryginalnego myślenia, prowokują zmianę. Dzięki nim ludzie sprawdzają swoje aspiracje, motywacje, wybory, założenia priorytety i zachowania”⁶. Ludzie dorośli często boją się zadawać pytania, obawiając się, że zostaną posądzeni o niewiedzę, okażą słabość i niekompetencję. Z tego powodu wolą nie pytać wcale, opierając się na informacjach, które mają i na takiej formie ich rozumienia, o jakiej myślą, że jest prawidłowa. Może to prowadzić do niepotrzebnych nieporozumień.

Moje doświadczenie z wykorzystywaniem biografii w działaniach edukacyjnych

Doświadczyłam w swojej pracy zawodowej kilku okazji, aby przekonać się czym jest uczenie się z biografii (własnej oraz innych) oraz jaka moc tkwi w tym procesie. Bardzo ciekawym doświadczeniem było przygotowanie 12 biogramów wrocławskim stulatków w ramach projektu „Wrocław dziękuje stulatkom”. Spotkania z osobami, które ukończyły setny rok życia na długo zapadną w mojej pamięci, a ich opowieści o życiu, często trudnym i wymagającym wielu poświęceń, dały mi wiele do myślenia i stały się pretekstami do redefinicji własnej tożsamości. Kolejno zapoznawałam się z drogami edukacyjnymi słuchaczy Uniwersytetu

⁵ D. Demetrio, *Gra autobiograficzna w edukacji dorosłych*, Kraków 1999.

⁶ O. Rzycka, *Niezwykła moc zadawania pytań w zarządzaniu ludźmi*, Warszawa 2012, s. 266.

Trzeciego Wieku we Wrocławiu, Jeleniej Górze oraz Brzegu, aby odpowiedzieć na pytanie, czego i w jaki sposób człowiek uczy się na przestrzeni własnego życia? W międzyczasie przystąpiłam do projektu badawczego pod kierunkiem prof. dr hab. Elżbiety Kowalskiej-Dubas „Biografia i badanie biografii”. Wraz z zespołem badawczym rozpoznawaliśmy procesy uczenia się z biografii. Interesowało nas w jakiej mierze badani dorośli uczyli się i uczą, podejmując refleksję nad biografią, biografiami czy autobiografią. Uczenie się z biografii można określić jako uczenie się na kanwie opowieści, pozyskanej z własnych doświadczeń lub zaczerpniętej z biografii Innych. W pracy ze studentami, w ramach przedmiotu podstawy pracy z osobami starszymi, proponowałam przygotowanie projektu na zaliczenie: „Biograficzna mapa życia”. Była to okazja do spotkania twarzą w twarz, przeprowadzenia wywiadu z osobą starszą nt znaczących osób, miejsc oraz wydarzeń w biografii we wszystkich okresach życia, które osoba uznaje za istotne i ważne z własnej, indywidualnej perspektywy. Mapa zawierała również plany, cele i marzenia narratora. Celem było przywołanie wspomnień i poddanie ich ponownej ocenie i reinterpretacji. Powstały wspaniałe plakaty, pełne zdjęć, symboli i kolorów, obrazujące indywidualne biografie osób, które studenci prezentowali na zajęciach. Dodam, że szczególnie cenne były refleksje studentów, gdy podkreślali, że spotkanie okazało się być inspiracją do zastanowienia się nad swoją indywidualną biografią i własnymi przestrzeniami uczenia się (uczenie się z biografii innych oraz własnej).

Czy można mówić o mocy terapeutycznej metod biograficznych?

Metody biograficzne nie są terapią, jednak w moim przekonaniu, mogą być pomocne, a opowiadanie o swoim życiu (pisemne czy ustne) może spełniać określone funkcje:

- swoista funkcja terapeutyczna,
- pobudzenie do (auto)refleksji nad własnym życiem,
- szansa na lepsze poznanie i rozumienie siebie, innych, świata,
- wzmacnianie poczucia własnej wartości,
- szansa na wyzwolenie, np. ze złych emocji, od złych wspomnień (po pewnym czasie potrafię spojrzeć na wydarzenia z innej perspektywy, daję sobie szansę na dalsze dobre życie), a jeśli nie, to daje możliwość ukojenia,
- szansa na wypracowanie pozytywnego stosunku do przeżytych doświadczeń (przeszłość trzeba zaakceptować),
- uświadomienie współzależności pomiędzy wydarzeniami biograficznymi a edukacyjnymi,
- reinterpretacja (rekonstrukcja) doświadczenia,
- okazja do wymiany emocji, zdobywania harmonii wewnętrznej, integracji,

- szansa na wzmocnienie tożsamości osoby,
- rozwój wrażliwości na własne i cudze potrzeby,
- rozwój umiejętności: komunikacji, empatii, asertywności.

Metodą pracy z dorosłymi, szczególnie przeze mnie cenioną i sprawiającą mi wiele przyjemności są warsztaty biograficzne, o których O. Czerniawska pisze jako o jednej z form dydaktyki aktywizującej, twórczej, kreatywnej, która docenia unikalną wiedzę oraz niepowtarzalne doświadczenia podmiotu⁷. Podczas warsztatów uczestnicy uczą się mówić o sobie, ale i słuchać innych, analizować wypowiedzi, rekonstruować własne doświadczenie, porównywać je, co stanowi wartość z punktu widzenia andragogiki, zdaniem O. Czerniawskiej, „która powinna pobudzać osoby dorosłe do refleksji nad sobą, światem i innymi. Powinna także otwierać, dynamizować, prowadzić do konscientyzacji, czyli samoświadomości”⁸. Warsztaty stwarzają wyjątkową okazję do spotkania z drugim człowiekiem, bardzo osobistego, gdzie zostajemy zaproszeni do współuczestniczenia i towarzyszenia w podróży.

Podróż od zawsze towarzyszy człowiekowi. Może wzbogacić naszą samowiedzę i poszerzyć perspektywę życia. Zachęcam do podróży w przeszłość, do przyglądnięcia się przebytym drogom, ścieżkom, zakrętom, dzięki której można odnaleźć drogę do siebie, na nowo odkryć oraz zrozumieć siebie, ale też lepiej poznać innych. Podróżowanie niesie ze sobą niebywałe wartości edukacyjne. „Podczas podróży człowiek uczy się czegoś nowego, czegoś innego, obcego, a następnie dostrzega pod innym kątem to, co już wie, to, co jest mu już znane. Podróże mogą zmienić podróżującego, po podróży [...] powraca się [...] jako ktoś inny”⁹. Dodatkowo „podróże zmieniają perspektywę. Podczas podróży można się czegoś nauczyć o różnych stylach życia ludzi i o względności własnych wartości i norm”¹⁰.

Na koniec przytoczę 10 powodów, dla których warto w pracy z ludźmi starszymi wykorzystać wspomnienia, z którymi zapoznałam się, uczestnicząc w warsztatach, niestety nie znam autora:

1. Wspomnienie służy potrzebie nadania sensu przeżytemu życiu,
2. Wspominanie upewnia nas o naszej tożsamości i wartościach przez nas uznawanych,
3. Wspominanie wzmacnia spostrzeżenie własnych (jeszcze pozostałych) kompetencji i wspomaga nasze twórcze zdolności,

7 O. Czerniawska, *Drogi i bezdroża andragogiki i gerontologii*, Łódź 2000.

8 Tamże, s. 89.

9 H.M. GRIESE, *Podróżowanie jako socjalizacja dorosłych i projekt uczenia się* [w:] E. Dubas, O. Czerniawska (red.) *Drogi edukacyjne i ich biograficzny wymiar*, Warszawa 2002, s. 251.

10 Tamże, s. 253.

4. Wspominanie łączy przeszłość z teraźniejszością,
5. Wspominanie pomaga zrozumieć siebie jako historyczną indywidualność i zrozumieć historię własnego życia jako (nieodłączną) część wielkiej historii,
6. Wspominanie oznacza zachowanie kulturowego dziedzictwa,
7. Wspominanie ułatwia zrozumienie własnego starzenia się i pogodzenie się z nim,
8. Wspominanie w grupie ułatwia wzajemny kontakt ludzi,
9. Wspominanie zmienia kontakty między ludźmi wymagającymi pielęgnacji i opieki i opiekującymi się nimi,
10. Wspominać, opowiadać, pisać... to przyjemność pełna radości, czynność, która dostarcza powodów do śmiechu i łez.

■ *prof. dr hab. Dariusz Galasiński*

*Centrum Interdyscyplinarnych Badań nad Zdrowiem i Chorobą
Uniwersytet Wrocławski*

Czy 70 to nowe 50?

Gdy wiele lat temu oglądałem popularny serial „Czterdziestolatek”, czterdziestoletni inżynier Karwowski wyglądał na tyle, na ile powinien – na osobę w wieku lat czterdziestu. I rzeczywiście, w roku 1974, gdy serial zadebiutował na ekranach polskiej telewizji, aktor grający głównego bohatera, Andrzej Kopiczyński, skończył lat 40. Jednak gdy niedawno ponownie natrafiłem na ten serial, tytułowy czterdziestolatek wydawał mi się znacznie starszy. Coś się stało przez te ostatnie 50 lat – staliśmy się, a przynajmniej zaczęliśmy wyglądać młodziej. Jeśli więc czas to ogień, w którym płonimy, to ten ogień jakby trochę osłabł i pozwala nam cieszyć się życiem i wiekiem trochę bardziej.

Świat się starzeje, a najbardziej starzeje się Europa. Gdyby całą populację świata podzielić według wieku na pół, to w roku 1950 było nieco ponad 23 lat, ta sama mediana wieku w roku 2018 jednak już lat 30. Przewiduje się, że za 17 lat, w roku 2050 będzie to nieco ponad 36 lat, a w 2100 ponad 40. Obecnie w Unii Europejskiej mediana wieku to już prawie lat 45.

Z reguły takie dane przedstawiane są z nutą grozy, przerażenia. Zwracamy uwagę na to, że społeczeństwa będą musiały sobie radzić z rosnącymi kosztami opieki zdrowotnej i społecznej w starzejącym się społeczeństwie. Zapominamy jednak o tym, że rośnie odsetek ludzi starszych, którzy zarówno chcą pracować w wieku emerytalnym i rzeczywiście pracują.

W Unii Europejskiej wrasta udział osób starszych w całej populacji ludzi zatrudnionych we wszystkich grupach wiekowych od 55. roku życia. Tylko 75-latkowie i starsze osoby stanowią stabilne pół procent zatrudnionych. Prawie 10 proc. mężczyzn powyżej 65. roku życia jest aktywnych zawodowo. Co ciekawe aż jedna trzecia aktywnych zawodowo osób pracuje z powodów niezwiązanych z ich sytuacją finansową – oni po prostu chcą pracować.

Niestety, społeczeństwa w krajach wysoko rozwiniętych traktują wiek jako coś negatywnego, choćby nie wypada pytać o wiek. Ale z wiekiem coraz więcej nam nie wypada. Nie wypada nam, na przykład, atrakcyjnie ubierać się; wszyscy znamy wyrażenia typu ‘z tyłu liceum, z przodu muzeum’. Z wiekiem chęć atrakcyjnego wyglądu powinna zostać odsunięta na bok. Odmawia się nam poglądów politycznych – bardzo nie podobały mi się hasła typu ‘zabierz babci do wód’. Związki romantyczne, nie mówiąc o seksie, w tzw. ‘pewnym wieku’, objęte są społecznym tabu, które zaczyna się już nawet w szóstej dekadzie życia, gdy mówimy o ryczących pięćdziesiątkach. Kobietom w tym względzie jest zresztą trudniej. Mężczyzna nawet w późnym wieku średnim może być jeszcze przystojny, kobieta traci atrakcyjność dużo szybciej.

Coraz częściej widzimy wiek nie jako nabieranie cennych doświadczeń życiowych, ale jako powolny rozkład ciała, ze zmieniającymi się na gorsze rolami społecznymi nadawanymi nam przez społeczeństwo. Starość to role babci i dziadka, a nie partnerki czy kochanka, ‘chłopaka’ czy ‘dziewczyny’. Aż trzy czwarte emerytów i emerytek twierdzi, że są samotni. Samotnością czy zachowaniami samobójczymi szczególnie obciążeni są zresztą mężczyźni.

O starości zresztą nawet nie mówimy wprost – powszechne jest mówienie o ludziach ‘starszych’, a nie o ludziach starych. Starszych od kogo, chciałoby się zapytać. W Wielkiej Brytanii kilka lat temu pojawiła się kampania społeczna pod hasłem „no more wrinkles” – skończmy ze zmarszczkami. Argumentowano, że pokazywanie starego, pomarszczonego ciała jest stygmatyzujące, pokazuje wiek negatywnie. No ale czyż nasze zmarszczki nie są naturalną kolejną rzeczą? Nie wiem, czy są atrakcyjne czy nie, jednak moje kurze łapki i dłonie dalekie od alabastru, są częścią drogi, jaką przeszedłem. Wcale nie chcę ich ukrywać, podobnie jak nie zgolę brody, którą noszę od ponad 30 lat, tylko dlatego, że posiwiła. Zmarszczki wcale nie są stygmatyzujące, to ich ukrywanie stygmatyzuje wiek jako coś, co należy ukrywać.

Trudno dziś znaleźć pozytywny model wieku, choć nauki społeczne często mówią o tym, że ludzie starsi czują się młodo ‘w środku’, a ich starzejące się ciało jest maską przykrywającą ‘prawdziwe’ ja. A jako że to praca nas często definiuje, niepracująca starość staje się tylko obciążeniem i wyrzucana jest na margines.

A przecież większość ludzi po 65. roku życia twierdzi, że jest zdrowa i ma się dobrze (trzeba tu przyznać, że koreluje to z zasobami finansowymi tychże osób).

Wśród osób starszych wzrastają kompetencje matematyczne i językowe. Wzrasta samoświadomość. Ba, chociaż społeczeństwo ciągle nam mówi, że starszy wiek to coś negatywnego, ludzie starsi są bardziej zadowoleni z życia. Im jesteśmy starsi, tym jest nam lepiej w życiu. No i rzeczywiście, ludzie starsi lepiej sobie radzą z emocjami. Lepiej radzimy sobie z niepewnością. Jesteśmy wdzięczniejsi za to, co mamy, a gwiazdka z nieba coraz mniej jest nam potrzebna. Chcemy się cieszyć z reszty naszego życia. Jesteśmy szczęśliwsi, bo po prostu mądrzejši!

Pamiętajmy również o tym, że jesteśmy też ważni ekonomicznie i mamy znaczący wkład w przemysł i to nie tylko przemysł farmaceutyczny czy podobne. Jesteśmy na przykład fundamentem przemysłu...winiarskiego. Dwie trzecie osób pijących wino to ludzie po 45. roku życia (dane z Australii), prawie co piąty winoman ma 65 lat lub więcej. Podobnie jest też w krajach takich jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone czy Niemcy.

Jest tak dlatego, bo po pierwsze, z wiekiem stajemy się mądrzejši i pijemy alkohol mądrzej, a zatem słabsze wino. Na dodatek pijemy wino lepsze. Po drugie, im jesteśmy starsi, tym wino nam bardziej smakuje, tak przynajmniej wskazują badania naukowe. Coraz intensywniej odczuwamy bukiet i smak czerwonego wina. To osoby starsze wskazują też na bardziej emocjonalne reakcje na wino. To starszym osobom wino dawało więcej radości czy przyjemności.

I na koniec refleksja osobista. Czasem pytam znajomych, czy chcieliby cofnąć czas i wrócić do, na przykład, trzeciej dekady swego życia. Czy chcielibyśmy mieć dwadzieścia kilka lat? Co ciekawe, pomimo negatywnego obrazu wieku w społeczeństwach Europy, niewiele osób mówi, że chciałoby. Zazwyczaj mówią, że chcieliby być sprawniejsi fizycznie, ale nie oddaliby tego całego „filmu dokumentalnego”, który już zdążyli nagrać. Tego wszystkiego, co już wiemy, umiemy, rozumiemy. Mądrości, wspomnień, doświadczeń, które zebraliśmy przez dekady. Spokojniejszego, bardziej wyważonego spojrzenia na świat.

Wróćmy zatem do pytania z początku – czy siedemdziesiątka to nowa pięćdziesiątka? Odpowiedziałbym: Oby nie! Pomimo nieustannej presji społecznej, jakiej poddawany jest wiek i ludzie starsi, ma on niezaprzeczalne zalety. Jesteśmy przecież mądrzejši, a wino nam bardziej smakuje. Czegóż można od życia chcieć więcej?!

dr Joanna Golonka-Legut

Instytut Pedagogiki Uniwersytetu Wrocławskiego

Uczenie się „poszło w las”, czyli o edukacyjnym potencjale natury z perspektywy okresu późnej dorosłości¹¹

Jak zauważa Richard Louv (2005) „wcale nie tak dawno temu życie młodych ludzi płynęło głównie przy dźwiękach przyrody. Większość ludzi dorastała na wsi, pracowała na gospodarstwie i często tam właśnie umierała. Istniał bardzo ścisły związek” (s. 80). Niemniej, w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci nastąpiło odwrócenie tej sytuacji. Wzrastające tempo życia (przejawiające się zmniejszaniem się ilości czasu wolnego), organizacja życia codziennego (przepełnionego obowiązkami i pracą), a także migracja ludności do dużych miast (które stają się nie tylko przestrzenią, ale również kontekstem dla współczesnego życia człowieka) stwarza złudzenie, iż człowiek znajduje się poza naturą albo ponad nią (Kulik, 2010).

Na początku XXI wieku Richard Louv (2005) opisał, a tym samym wprowadził nie tylko do świata literatury, ale również refleksji naukowej termin „zespół deficytu natury” (ang. Nature Deficit Disorder). W przełomowej książce *Last Child in the Woods: Saving Our Children From Nature-Deficit*, autor – odnosząc się do własnej biografii, obserwacji świata, ale przede wszystkim powołując się na wyniki licznych badań naukowych – ukazuje zmianę w sposobie rozumienia i doświadczania przyrody przez dzieci, ilustruje rosnący dystans pomiędzy dziećmi i przyrodą jako narastający problem współczesności, omawia przyczyny, objawy, i skutki utraty bezpośredniego, fizycznego kontaktu i bliskiej relacji człowieka z przyrodą. Autor przyjmuje jednoznaczne stanowisko wskazujące, iż bezpośredni kontakt z przyrodą jest niezbędny nie tylko dla prawidłowego rozwoju dzieci, ale również przynosi konkretne korzyści fizyczne i psychiczne dorosłym (zob. Louv, 2020).

Odnosząc się do poglądów autora można dostrzec, iż bezpośredni kontakt z przyrodą jest niezbędny dla prawidłowego rozwoju w każdym wieku. Także w okresie późnej dorosłości relacja jednostki z naturą przynosi konkretne korzyści fizyczne i psychiczne oraz odgrywa kluczową rolę w tworzeniu się i trwaniu relacji międzyludzkich. W takiej perspektywie interesującymi pytaniami są:

¹¹ Do przygotowania tekstu wykorzystano fragmenty artykułu: Golonka-Legut J. (2022). *Jest taki świat, który stwarza możliwość autentycznego Bycia Razem, czyli kilka refleksji o rodzinnym doświadczaniu lasu*. „Wychowanie w Rodzinie”, XXIX/4. s. 165–177.

W jaki sposób mogą doświadczać lasu osoby starsze? Jak uczynić las atrakcyjnym miejscem edukacji seniorów?

Jednym z zadań edukacji osób w okresie późnej dorosłości, w myśl koncepcji aktywnego starzenia się, jest optymalizacja wszelkich procesów życiowych osób starszych (i starzejących się) w aspektach: zdrowotnym, społecznym, edukacyjnym, na rzecz satysfakcjonującej jakości życia seniorów. W tym kontekście, istotnym elementem różnego rodzaju działań na rzecz osób starszych jest poszukiwanie i rozpoznawanie „miejsc uczenia się”, które z jednej strony, odnosiłyby się do możliwości fizycznych osób starszych, zaspokajałyby potrzeby rozwojowe wpisane w okres późnej dorosłości, czy też umożliwiałyby realizację zadań rozwojowych starości. Z drugiej, byłyby to przestrzenie interesujące dla seniorów. Jednym z takich miejsc może być właśnie las. Dostrzeżenie i dowartościowanie lasu – najbardziej naturalnego dla człowieka miejsca – łączy się z myśleniem o rozwoju instytucji edukacyjnych „poza murami”. Jest ono spójne ze stanowiskiem, iż przebywanie w otoczeniu przyrody potęguje doświadczenie i poczucie naturalności, łączy się z procesami samoobserwacji i samopoznania, pomaga w nawiązywaniu kontaktów społecznych, jest źródłem autentycznego tworzenia więzi człowieka z samym sobą, naturą, Innymi.

Myśląc o lesie jako miejscu uczenia się człowieka, a przede wszystkim aktywności osób w okresie późnej dorosłości, należy mieć świadomość, iż las jest czymś więcej niż „gruntem o zwartej powierzchni co najmniej 10 arów, pokryty roślinnością leśną (uprawami leśnymi), to jest drzewami i krzewami oraz runem leśnym lub przejściowo ich pozbawiony, który jest przeznaczony do produkcji leśnej lub stanowiący rezerwat przyrody czy wchodzący w skład parku narodowego albo wpisany do rejestru zabytków)” (Ustawa o lasach, 1991, Art. 3), czy też „wysoko zorganizowanym zespołem, w którym wzajemnie współdziałają: gleba leśna, rośliny, zwierzęta i klimat (Otwarta Encyklopedia Leśna. Wydanie elektroniczne, 2022). Jest przede wszystkim miejscem relacji, poszukiwania sensów i znaczeń. W takim ujęciu las może przejawiać się w życiu osób starszych jako inspirująca siła, oddziałująca na kreowanie wewnętrznych krajobrazów człowieka. Jest to jednak możliwe tylko w sytuacji bezpośredniego jego doświadczenia – autentycznego bycia w lesie. Budowanie tego rodzaju więzi – opartej na syntezie materialnych i niematerialnych wartości natury – wymaga kontaktu, przebywania w miejscu, odczuwania fizycznej jego bliskości. Tylko w takich okolicznościach jest możliwe indywidualne nadawanie znaczeń temu, co trudno uchwytnie poznanie.

W takiej perspektywie, chcąc uczynić las miejscem aktywności edukacyjnej osób w okresie późnej dorosłości należy zwrócić uwagę, iż wszelkiego rodzaju działania powinny odnosić się do praktyk „leśnego doświadczenia”/ „leśnego bycia”, które to: 1) koncentruje się na wspólnym dla wszystkich uczestników zajęć

procesie aktywnego doświadczania przyrody; 2) jest oparte na bezpiecznej więzi i emocjonalnej bliskości jednostki z naturą i Innymi; 3) odnosi się do relacji, a nie realizacji precyzyjnie dookreślonych, szczegółowych celów uczenia się; 4) czyni leśny spacer (leśną przechadzkę) edukacyjną, rozwojową przygodą. Kluczowe zatem dla tego rodzaju aktywności jest: 1) zaplanowanie zajęć w taki sposób, aby każdy z uczestników miał możliwość doświadczania przyrody w sposób uważny, ale też oparty na zadziwieniu i ciekawości świata; 2) stwarzanie możliwości spontanicznej i nieskrępowanej zabawy w terenie; 3) atmosfera, oparta na: podmiotowości, aktywnej i partnerskiej współpracy, prawdziwości kontaktu, uważności, zaangażowaniu, słuchaniu i zadawaniu pytań, refleksyjności; 4) planowanie aktywności sprzyjających doświadczaniu natury w sposób swobodny, intuicyjny, niespieszny i wielozmysłowy (zob. Sampson, 2015; Godawa, 2021). Poniżej znajduje się kilka ćwiczeń, które stanowią ilustrację wskazanego sposobu myślenia.

Ćwiczenie 1: Zabawa integracyjna

Las jest miejscem wyjątkowym. Tworzy miejsce do życia dla niezliczonej liczby roślin i zwierząt. Jest doskonale zgrana całością, w której każda część, choć oddzielna, stanowi jego niezbędny element. Każdy gatunek drzewa, leśne rośliny, czy zwierzęta posiadają swoje dla siebie cechy: i tak np. sosna to wiecznie zielone drzewo. Charakteryzuje się dużym zakresem tolerancji na warunki środowiskowe i temperatury. Z kolei borówka czarna posiada drobne listki, pojedyncze kwiaty i wydaje owoce – za młodu najpierw zielona, potem czerwona, ciemniejąca w miarę dojrzewania.

Opierając się na znajomości samego siebie, zastanów się: gdybyś był leśną rośliną lub drzewem to jakim i dlaczego?

Przykład:

Gdybym był leśną rośliną lub drzewem byłbym czarna jagodą, bo kojarzy mi się z czymś drobnym: drobne listki, niewielkie owoce – tak jak ja, ale kiedy ma korzystne dla niej warunki do wzrostu (słońce, odpowiednie podłoże) to potrafi się rozrastać i wtedy jest jej „dużo wszędzie”. Owoce jagody często są wykorzystywane do leczenia zaburzeń wzroku, a ja bardzo lubię obserwować ludzi, świat wokół mnie. Uczę się dostrzegać też to, co jest niewidoczne dla oczu. Jagody mają także właściwości bakteriobójcze, a ja także staram się odcinać od sytuacji, ludzi, osób, którzy szkodzą innym. Poza tym uwielbiam pierogi z jagodami.

Ćwiczenie 2: Stwórz leśną kolekcję

Zapraszamy Was, byście wraz z nami rozpoznawali las wszystkimi zmysłami, doświadczali go i dzielili z nami szczęście, które mogą dać nam drzewa, leśne

śnieżki, strumyki i to wszystko co nas otacza. W trakcie spaceru, bądź uważny, staraj się zobaczyć, usłyszeć, poczuć, dotknąć tego, co jest wokół Ciebie. Doświadczaj...

- usłysz śpiew ptaka
- posłuchaj szelestu liści
- znajdź coś, co robi hałas
- znajdź coś gładkiego
- znajdź coś kolorowego
- znajdź coś tak małego jak twój palec
- śledź owada
- znajdź coś delikatnego
- znajdź coś kolorowego
- popatrz w górę na niebo przez korony drzew.

Ćwiczenie 3: Zaulek spokoju

Znajdź dla siebie spokojne miejsce. Stań mocno na nogach i połóż rękę na sercu. Rozpocznij powolne oddechy – WDECH – i licz do pięciu i – WYDECH – licz do pięciu. Powtórz ćwiczenie kilka razy. Czy czujesz bicie swojego serca? Poczuj jak bicie Twojego serca się uspokaja, oddech wydłuża a myśli wyciszają... WITAJ W LESIE. ROZGOŚĆ SIĘ TU DZISIAJ.

Kolejno, przygotuj „medytację”, która może być kontynuacją ćwiczenia.

Ćwiczenie 4: Las zmysłów

Wejdz między drzewa i dotknij ich kory. Sprawdź czy drzewo jest ciepłe, czy zimne?

Poszukaj odcieni zieleni na pniach drzew. Czy widzisz glony? mchy? porosty? Dotknij ich. Jakiego koloru masz pod stopami?

Jak pachnie stary liść? Znajdź różnego rodzaju liście powąchaj jak pachną? Z czym kojarzą ci się te zapachy?

Powyższe ćwiczenia pozwalają dostrzec, iż rozumienie lasu jako miejsca uczenia się bezpośrednio łączy się z edukacją nieformalną. Jednocześnie należy dostrzec, iż realizacja leśnych zajęć jest spójna z istotą, ideą i zasadami pracy edukacyjnej z seniorami. Tego rodzaju zajęcia z powodzeniem mogą być zatem realizowane w tej grupie wiekowej. Co więcej, odnosząc się do własnej praktyki, zaproszenie seniorów do doświadczania lasu stanowi dla nich atrakcyjną i innowacyjną formę edukacji w starości. Seniorzy chętnie i z dużym zaangażowaniem uczestniczą w proponowanych im, leśnych aktywnościach. Często nazywają je „zupełnie

nowymi doświadczeniami”, czy też „pierwszymi doświadczeniami”, co stanowi ważny element motywacji do uczenia się w okresie późnej dorosłości. W tego rodzaju działaniach, poprzez rozbudzanie zmysłów oraz zabawę osoby starsze mają możliwość „zanurzenia się” w leśnej atmosferze, (roz)poznawania przyrody i nawiązywania z nią relacji. W takiej perspektywie las, staje się dla jednostki (uczestników leśnych zajęć) przestrzenią wzajemnych relacji: z naturą i sobą nawzajem, może sprzyjać rozwojowi oraz w sposób naturalny staje się miejscem uczenia się oraz tworzenia się i pogłębiania więzi społecznych. Zaprezentowany kierunek myślenia jest związany z chęcią inicjowania namysłu nad lasem, jako miejscem znaczącym – dla jednostki, rodziny, społeczeństwa oraz potrzebą propagowania myślenia o byciu w lesie jako procesie całościowego uczenia się. W takim ujęciu las (zarówno jego materialne i niematerialne elementy) jest rozumiany jako miejsce znaczące dla (prze)trwania i rozwoju człowieka, rodziny, społeczeństwa, ludzkości.

Bibliografia

- Golonka-Legut J. (2022). Jest taki świat, który stwarza możliwość autentycznego Bycia Razem, czyli kilka refleksji o rodzinnym doświadczaniu lasu. *Wychowanie w Rodzinie*, XXIX/4. s. 165–177.
- Godawa J. (2021). *Zielona inkluzja, czyli o relacji człowieka z przyrodą, outdoor education i leśnej bajce*. Katowice: Uniwersytet Śląski.
- Kulik, R. (2010). Nowa wizja człowieka i świata jako wyzwanie nowoczesnej edukacji ekologicznej. W: B. Ogrodnik, R. Kulik, P. Skubała (red.), *Filozofia, psychologia i ekologia w edukacji dla zrównoważonego rozwoju* (ss. 51–112). Mikołów: Śląski Ogród Botaniczny.
- Louv, R. (2005). *Last Child in the Woods: Saving Our Children From Nature-Deficit*. New York: Algonquin Books.
- Louv, R. (2020). *Ostatnie dziecko lasu. Jak ocalić nasze dzieci przed zespołem deficytu natury*. Warszawa: Mamaniana.
- Otwarta Encyklopedia Leśna*. Wydanie elektroniczne. Hasło: las. Pobrane z: <https://www.encyklopedia.laspolskie.pl/doku.php?id=l:las>.
- Ustawa z dnia 28 września 1991 r. O lasach (1991). Art. 3. Pojęcie lasu.

Inspiracje

- Strona internetowa Pracowni Edukacji Żywej. Pobrane z: <https://pez.org.pl/>.
- Profil Fundacji Leśne Przebudzenie.
- Pobrane z: <https://www.facebook.com/LesnePrzebudzenie/>.

dr hab. Martyna Pryszmont

Instytut Pedagogiki Uniwersytetu Wrocławskiego

Porozmawiajmy o rapie! O muzyce (nie)tylko dla dorosłych¹²

Rap to zjawisko oddolne, tworzone w ramach kultury hip-hopowej (Cimiński, Piórkowski, 2016, s. 36), do której zalicza się również didżejing, grafiti, break-dance (Kleyff, s. 11). Dj Africa Bambataa, pionier muzyki hip-hop wyróżnił 4 filary tej kultury: 1) Mc-ing, 2) DJ-ing, 3) B-boying, 4) graffiti. Pierwszy wyróżniony filar, czyli Mc-ing, to właśnie rap, który zrodził się wśród DJ-ów, którzy zaczęli podczas swoich występów podśpiewywać i recytować, by zachęcić publiczność do tańca (tamże, s. 18, 20). W Polsce początki rapu związane są z postransformacyjną rzeczywistością społeczną i ekonomiczną. Pierwsze rapowe wersje pojawiły się na płytach Kazika Spalam się (1991), Liroya, Wzgórza YaPa3, czy Kaliber 44 (tamże, s. 31). Zatem rodzimy hip-hop uznać można za dziecko transformacji, które walczyło z reżimem, korzystało z wolności słowa i uważnie przyglądało się galopującym przemianom w Polsce (Kleyff, 2014, s. 10).

Rap jest symbolem rewolucji informatycznej (Majewski, 2015, s. 58), która przyczyniła się do upowszechniania kultury hip-hopowej przede wszystkim przy pomocy Internetu. Dzięki niewielkim nakładom finansowym raperzy mogli promować swoje produkcje (Cimiński, Piórkowski, 2016, s. 33). Rap jest także symbolem kapita-listycznych praktyk biznesowych (Majewski, 2015, s. 58), które obecne są w tym nurcie muzyki i kultury hip-hopowej. Z jednej strony raperzy zachowywali swoją niezależność wobec dużych koncernów muzycznych, a w etykę hip-hopowca na stałe zostało wpisane pozostawanie z dala od mainstreamu i niekompetencji mediów (Miszczyński, 2014, s. 9). Z drugiej, sytuacja ta spowodowała, iż stali się oni przedsiębiorcami i stworzyli niezależne wytwórnie płytowe i marki odzieżowe (tamże, 2014, s. 9). Zatem rap niesie ze sobą wyraźny przekaz silnie związany z konsumpcją, np. w utworach pojawia się rymowanie marek, tzw. *brandspitting* (Miszczyński, Tomaszewski, 2014, s. 85). Świadczy ono nie tylko o komercjalizacji tego rodzaju muzyki, lecz jest przejawem kompensacji zmarginalizowanej pozycji wynikającej ze społecznej nierówności. Służy ono także wywołaniu określonych reakcji i emocji, a także budowaniu tożsamości grupy (tamże, 89–98).

¹² Niniejszy tekst powstał na podstawie artykułu pt. *NASZE POKOLENIE TAMAGOTCHI* – obraz dorosłości w polskich utworach rapowych, „Edukacja Dorosłych”, nr 2, 2020 r.

Rap w języku angielskim znaczy uderzenie, a rapping to recytacja. Łącząc te dwa elementy, rapowanie to ekspresyjna forma wokalna, czy też swoista melo-recytacja polegająca na szybkim i rytmicznym wypowiadaniu słów (Kotowski, 2016, s. 91–92). Zdaniem Arkadiusza Mastalskiego rap jest połączeniem dwóch form sztuki: rytmicznego słowa oraz bitu sampleowanego podkładu muzycznego (Mastalski, 2014, s. 109). Przy czym znamienne dla rapu jest samodzielne tworzenie tekstów przez większość raperów. Świadczy to o ich autentyczności, a także sprawia, iż są one unikalne w swojej formie i przez to trudne do zdefiniowania w kategoriach literaturoznawczych⁵ (Cimiński, Piórkowski, 2016, s. 37). W warstwie tematycznej specyfika percepcji rzeczywistości w utworach rapowych zogniskowana jest wokół podobnych haseł i wyróżników, tj.: miasta rozumianego jako dżungla, poszukiwania godności, budowania świadomości, sprzeciwu i buntu, slangowego języka i niecenzuralnego słownictwa (Łukaszewski, 2015, s. 74).

Czemu służy raperom rymowany slang? Dzięki temu przedstawiają oni narrację o własnych doświadczeniach, poprzez które komentują, krytykują i buntują się przeciw otaczającej ich rzeczywistości (Kotowski, 2016, s. 21, 9; Budrewicz, 2013, s. 464). Przedstawiają one pewnego rodzaju diagnozę życia społeczno-kulturalnego społeczeństwa (Budrewicz, 2013, s. 464). W takiej postaci odnoszą się one do wolności słowa, która często wyrażają bezwzględną krytykę zastanego porządku (Pawlak, 2004, s. 13). Z kolei Przemysław Kaca zauważa, iż dzięki utworom rapowym mamy wgląd w życie młodych ludzi, którzy przesiąknięci są szczerością w wypowiedziach dotyczących swojej egzystencji (Kaca, 2014, s. 81). Ich cechą jest to, iż w bezkompromisowy sposób opowiadają one o życiu, m.in. opisują melanz i imprezy nie ukrywając faktu, że narkotyki i alkohol są wszędzie, a po imprezie ludzie uprawiają przygodny seks (Kleyff, 2014, s. 12–13). Zarówno slang, jak i obecne w tekstach wulgaryzmy służą często do wyrażania wewnętrznych reakcji emocjonalnych na pełen sprzeczności świat ponowoczesny (Kotowski, 2016, s. 21). Biorąc pod uwagę wyróżnione cechy utworów rapowych, nie są one prostą transpozycją wzorów kultury oficjalnej, np. z poezji, czy ogólnie z literatury, lecz są ich funkcjonalnym odpowiednikiem (Mastalski, 2014, s. 120). Mimo iż czerpią one z kultury, to wersyfikacja raperów tworzy byt odrębny, dając alternatywny, idiomatyczny model wiersza, który można twórczo wykorzystać (tamże, s. 120). Co więcej, ich narracyjna forma to idealne medium do przekazywania opowieści, historii indywidualnych i pokoleniowych (Drygalska, 2014, s. 125). Ewa Drygalska określa utwory hip-hopowe jako miejsce legendy, czy też przypowieści, które zawierają w sobie element przesłania. Zawarty w nich morał, zdaniem autorki, otwiera drzwi do duchowych poszukiwań, ponieważ ich poetyka wykracza poza rzeczywistość blokowisk (tamże, 2014, s. 125). Ich przesłanie, wyrażone jako manifest, dotyczy często wartości, które autorzy określają jako

uniwersalne, tj. wolności, prawdy, szczerości, tolerancji wobec innych (Pawlak, 2004, s. 7). Ten uniwersalny wymiar sprawia, iż pomimo barier językowych, fani tej muzyki na różnych kontynentach dobrze się rozumieją (Kleyff, 2014, s. 12).

Wobec powyższego, interesujące jest, jaki potencjał posiadają utwory rapowe? Utwory rapowe są mocno osadzone w otaczającej raperów rzeczywistości społecznej, którą opisują odwołując się do osobistych doświadczeń. Wydaje się, iż to opowiadanie o świecie, ugruntowanie w doświadczeniach życiowych, które następnie poddane są refleksji, stanowi istotny wyznacznik dorosłości. Odwoływanie się do potencjału doświadczenia życiowego jest bowiem istotną cechą uczenia się ludzi dorosłych. Zasygnalizowana tendencja widoczna jest w obszarze fabuły utworów i podjętej przez ich autorów tematyki, w których dzielą się swoimi spostrzeżeniami związanymi z różnego rodzaju problemami egzystencjalnymi. Ilustruje to utwór Taco Hemingwaya pt. „Wytrawne” (z nutą desperacji), w którym autor przygląda się wybranym problemom i kryzysom życiowym, porównując je do różnych gatunków win: *Oto jest doskonałe Bordeaux / Niuanse wiśni łączą ładnie się z aronią / Delikatny posmak bycia ludzką parodią / Z domieszka strachu, że będziesz rodziców kopią*. W podobnym tonie utrzymany jest utwór Sokoła pt. „Skażony”, w którym refleksja nad własną egzystencją ukazana została w perspektywie przemijającego życia, które autor porównuje do maszyny Goldberga: *A może to jakaś ogromna maszyna Goldberga? / Z poprzednich wynika kolejna / Płoniemy jak lont, gasimy benzyną / A błąd rodzi błąd / A może po prostu nie byłem szczepiony na życie? / A może to moi rodzice? / Bo błąd rodzi błąd*. Porównując życie do maszyny Goldberga, raper zwraca uwagę, iż ludzie zwykli komplikować sobie swoją codzienność. Mocnym przekazem utworu jest myśl, iż człowiek z natury jest dobry, natomiast wychowanie w różnych warunkach przyczynia się do jego demoralizacji.

Osobiste przeżycia stanowią również treści utworu rapera o pseudonimie PRO8L3M, który w utworze pt. „W domach z betonu” opowiada o własnym dzieciństwie z aktualnej perspektywy dorosłego. W tej retrospekcji przywołuje doświadczenie codziennego życia, zabawy dziecięcej, ale też samotności naznaczonej chorobą nowotworową i w następstwie śmiercią jego mamy: *Lubię ruskie pierogi, piosenki śpiewam swoimi słowami / I lubię hot dogi, mój tato najlepsze jednak zrobić mi potrafi / Mamie wypadły włosy, ja pędzę, a ten kij udaje karabin / Mówią, że się nie da nic zrobić, ale jak się psuje tato zawsze naprawi*. W spokojnej i nostalgicznej warstwie muzycznej pojawia się charakterystyczny sampel pochodzący z utworu Martyny Jakubowskiej: „W domach z betonu nie ma wolnej miłości”, który przenosi słuchacza do Polski z początku lat 80., opowiadając historie życia ludzi zamieszkujących ówczesne blokowiska. Obraz ten dopełnia teledysk do utworu składający się z kadrów zbudowanych ze zdjęć rapera z okresu dzieciństwa, tj. lat 80. i 90.

Miejszem szczególnym, które zaznacza się w melorecytacji raperów, są wspomniane ulice miast, a bliżej blokowiska, z którymi często się utożsamiają. Obrazują to słowa utworu Kękę pt. „Dokąd iść”, w którym artysta opisując swoją przeszłość odnosi się do blokowisk, w jakich dorastał: *I to nie miejsce, tylko mental, w nowych blokach też są getta / Nieistotne, czy to osiedla, czy też domki na przedmieściach / [...] Jestem synem tamtej ziemi, do tych którzy zapomnieli*. W narracji Kękę owe miejsca nie zapisały się jednak pozytywnie, stanowiąc jednocześnie istotny motyw jego ucieczki: *Chciałem tylko uciec, mamo, nie wiedziałem dokąd iść / To, co mi tam zapisano, mi nie pozwalało żyć / I budziłem się co rano marząc, żeby znowu śnić / Lecz to nie dawało nic, lecz to nie dawało nic*. Co ciekawe, teledysk do utworu opowiada historię dwojga osób: kobiety i mężczyzny, którzy w wyniku poważnego konfliktu między sobą wyruszają w podróż autem. Tak ukazane podróżowanie można odczytać jako przemierzanie życia upływającego na pokonywaniu trudności i poszukiwaniu sensu. Niemniej źródło doświadczania trudności życiowych bohaterów utworów rapowych nie stanowią wyłącznie blokowiska stereotypowo kojarzone z ubóstwem i demoralizacją. Jeden z najbardziej rozpoznawalnych raperów młodego pokolenia – MaTa – wskazuje na inne motywy, a mianowicie wychowanie w rodzinach bardzo dobrze sytuowanych i przy tym zamieszkujących strzeżone osiedla. Przy czym utożsamia siebie z ludźmi pochodzącymi z takich rodzin, tj. prowadzących luksusowe, aczkolwiek intensywne życie, określając je jako patointeligencja: *My to patointeligencja / Katolickie przedszkola, strzeżone osiedla / Kurator, angielski i gegra / Kurator, dilerka dla sportu, nie po to, by przetrwać / Szkoła, korty, dodatkowe zajęcia / [...] Rzucamy chujami i nie jemy mięsa / Dobrze wychowani, wciągana jest kreska w bawełnianych sweterkach (oh) / (MaTa Patointeligencja)*. Obraz ten uzupełnia teledysk do utworu. W pierwszym kadrze raper wraz z grupą młodych mężczyzn ubranych w mundury prywatnej szkół i stojących naprzeciwko niej skanduje słowa „My to patointeligencja!”. Wykrzykzane słowa wydają się wyrażać ich niezgodę wobec trudnych doświadczeń, jakimi zostali naznaczeni. Ich opis pojawia się w warstwie werbalnej utworu. Co ważne, w końcowych słowach utworu raper MaTa, znajdujący się w luksusowo urządzonej mieszkanie, wskazuje motyw swojej aktywności twórczej i jednocześnie źródło doświadczanych problemów życiowych: *Zacząłem tu robić te rapy, bo miałem już dość tego piękna i ciepła / A nigdy nie chciałem być biały i zawsze tu chciałem być gangsta / I zawsze tu chciałem być z bloków i zawsze tu chciałem być z getta / I pierdolę mamę i tatę za te rododendrony, jacuzzi, trzy piętra*.

Zatem rapujący artyści podejmują problemy, które bezpośrednio związane są z dorosłością ujmowaną zarówno jako określony stan rozwoju człowieka, jak i proces społeczno-kulturowy. Również z tego powodu warto przyglądać się tego typu twórczości artystycznej, mając na uwadze fakt, że kultura popularna sta-

je się najważniejszym polem bitwy, na którym toczy się walka o władzę i hegemonię kulturową (Majewski, 2017, s. 107). Rap to nie tylko medium artystyczne, które kształtuje opinie i postawy Polaków (Miszczyński, 2014, s. 7). Bowiem kultura hip-hop, a szczególnie ta jej część, którą cechuje twórczość, ekspresja oraz obecność aspektów krytyczno-emancypacyjnych, bez wątpienia posiada walory edutainmentu (Michalak, 2010, s. 30). Myślę, że równie ważną własnością, z punktu widzenia edukacji dorosłych, jest autentyczność i pragmatyczny walor rapu, ponieważ artyści odwołują się do swoich doświadczeń życiowych, a także przekazują swoim fanom praktyczną wiedzę o tym, jak radzić sobie we współczesnym świecie (tamże, s. 33). W tym sensie rapowe teksty są zarówno formą ekspresji, jak też rodzajem praktyki edukacyjnej, zorientowanej na ciemne strony codziennej egzystencji (tamże, s. 33). Edukacyjny potencjał może mieć także krytyczna i dosadnie wyrażana postawa raperów wobec otaczającego ich świata, dzięki czemu zwracają oni uwagę na (mikro)światy ludzi funkcjonujących na pograniczach społeczeństwa. Mimo iż rap jest symbolem rewolucji informatycznej i dominacji zachodnich kapitalistycznych praktyk biznesowych, stanowi także kulturowe narzędzie, dzięki któremu różne grupy, często marginalizowane (lub za takie się uważające), wyrażają własną tożsamość (Majewski, 2015, s. 58). Z tego powodu zarówno bowiem rap, jak i teoria postkolonialna wytwarzają nową przestrzeń dyskursywną, w ramach której możliwe staje się upodmiotowienie 'zwykłych' [podkreśl. za autorem] ludzi, którzy są marginalizowani politycznie, społecznie, ekonomicznie i językowo. Przez afirmację ich praktyk kulturowych i wyznawanych przez nich wartości, umożliwiają im prezentację własnych sposobów myślenia i zachowania (Majewski, 2015, s. 66).

Podsumowując, rap nie tylko język ulicy, ale przede wszystkim opowiadanie o tym, co autentyczne, niejednokrotnie trudne i spychane na margines. Raperzy w swoich utworach konfrontują się ze swoimi doświadczeniami, co może mieć nie tylko edukacyjny potencjał dla ich słuchaczy, ale także autoterapeutyczny dla nich samych.

Bibliografia

- Budrewicz, Z. (2013), *Swobodnie nieść treść. Hip-hop w polonistyce gimnazjalnej*, [w:] B. Nieprorek-Szamburska, M. Wójcik-Dudek (red.), *Nowe opisywanie świata. Literatura i sztuka dla dzieci i młodzieży w kręgach oddziaływania*, nr 3004. Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.
- Cimiński, P., Piórkowski, P. (2016). *Młodzi ulicy i młodzi kreatywni. Idee, wartości, aspiracje*, Stare Miasto: Wydawnictwo Witanet.
- Kaca, P. (2014). *Hip-hop jako narzędzie resocjalizacji młodzieży*, Gdynia: Wavae Res.

- Kleyff, T. (2014). *Rzut oka wstecz*, [w:] D. Węclawek, M. Flint, T. Kleyff, A. Cała, K. Jaczyński (red.), *Antologia polskiego rapu*. Warszawa: Narodowe Centrum Kultury.
- Drygalska, E. (2014). *Rapowe teologie: poszukiwania sacrum w polskim hip-hopie*, [w:] M. Miszczyński (red.), *Hip-hop w Polsce. Od blokowisk do kultury popularnej*. Warszawa: Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego.
- Kotowski, B. (2016). *Język bunt tożsamość. Socjologiczno-antropologiczne studium empiryczne subkultury młodzieżowej rap*. Warszawa: Fabryka Druku.
- Łukaszewski, B. (2015). *Warszawski hip-hop w kontekście środowiska rodzinnego*. Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek.
- Majewski, P. (2015). *Rap jako muzyka tożsamościowa: od czarnego getta do polskiego rop-nacjonalizmu*, Sprawy Narodowościowe. Seria nowa, nr 47.
- Mastalski, A.S. (2014). *Rap jako rodzaj współczesnej melorecytacji*, [w:] M. Miszczyński (red.), *Hip-hop w Polsce. Od blokowisk do kultury popularnej*. Warszawa: Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego.
- Michalak, M. (2010). *Hip-hop jako EDUtainment, czyli twórcza edukacja przez rozrywkę*, [w:] M. Kołodziejski (red.), *Wielorakie wymiary twórczości codziennej w teorii i praktyce edukacyjnej*. Płock: Wyd. PTINTPAP.
- Miszczyński, M. (2014). *Wstęp. Hip-hop w Polsce: od blokowisk do kultury popularnej*, [w:] M. Miszczyński (red.), *Hip-hop w Polsce. Od blokowisk do kultury popularnej*. Warszawa: Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego.
- Miszczyński, M., Tomaszewski, P. (2014). *Buty Nike w służbie tożsamości: marki w polskim hip-hopie*, [w:] M. Miszczyński (red.), *Hip-hop w Polsce. Od blokowisk do kultury popularnej*. Warszawa: Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego.
- Pawlak, R. (2004). *Polska kultura hip-hopowa*. Poznań: Kagra.
- Pryszmont M., „Nasze pokolenie Tamagotchi” – obraz dorosłości w polskich utworach rapowych, „Edukacja Dorosłych”, 2020, nr 2.

mgr Jadwiga Jasińska-Sadura

Z doświadczeń edukatorki

Jako wieloletnia edukatorka muzealna prowadząca zajęcia o sztuce, miałam możliwość pracować z różnymi grupami wiekowymi. Bez żadnej przesady mogę powiedzieć, że seniorzy z UTW należą do najlepszych odbiorców wykładów o sztuce.

Słuchacze z UTW UWr są prawdziwie zainteresowani wykładami (często wbrew nieżyczliwej aurze), chcący dowiedzieć się czegoś nowego lub utrwalić znaną sobie wiedzę. Atmosfera spotkań jest ciepła i pełna życzliwości, co pomaga również wykładowcy. Jak zwykle więcej jest pań (które są żywotniejsze) niż panów, ale oni za to są bardziej skłonni do dyskusji.

Staram się mówić jasno i zrozumiale, bo język hermetyczny wcale nie świadczy o „naukowości” prezentacji. Moim autorytetem w tej kwestii jest etyk i filozof prof. Władysław Tatarkiewicz.

Każdy wykład ilustruję slajdami, bo mówienie o sztuce bez obrazu jest bezsensowne. Nie zaszkodzi też odrobina humoru w przekazie słownym, wtedy łatwiej przyswajają się wiadomości.

Spśród kilku cykli wykładów dużym zainteresowaniem cieszył się temat stylów w sztuce. Pokazałam charakterystyczne cechy stylowe od średniowiecza do współczesności w zabytkach światowych i śląskich. Z uwag słuchaczy wynikało, że nie zwracali uwagi na pokazywane obiekty, z którymi stykali się we własnym mieście.

Seniorzy często niepewnie czują się w kontakcie ze sztuką współczesną. Uważają, że jej nie rozumieją, więc wolą ją odrzucić. Tu przydaje się Pablo Picasso, który powiedział, że sztuki nie trzeba rozumieć, tak jak nie rozumiemy śpiewu ptaków, a zachwycamy się nim. Sztuka współczesna może zachwycać, ale nie musimy akceptować wszystkich jej przejawów (to samo dotyczy sztuki klasycznej). Dowiedziałam się, że kilka osób pozbyło się kompleksów.

Spore zainteresowanie budzą wykłady „Sztuka i obyczaje”. Pokazanie przemian obyczajów w obrazach z różnych epok, dotyczących m.in. świat mody, małżeństwa, pracy, przemijania skłania do porównań z obyczajami współczesnymi.

Mimo wielu publikacji biograficznych, zarówno książkowych, jak filmowych słuchacze chętnie dowiadują się o artystach, jako ludziach z zaletami i wadami oraz ich dziełach, np. o Janie Matejce czy Stanisławie Wyspiańskim. Mają okazję zobaczyć, które dzieła przetrwały w historii sztuki, a które dziś straciły swoje znaczenie.

Temat „Kultura Sarmatów” to również często powód do burzliwych dyskusji między zwolennikami legendarnej wizji Sienkiewicza o wspaniałej szlachcie (ku pokrzepieniu serc) a historykami realistami. Słuchacze dowiadują się o siedzibach, strojach i obyczajach szlacheckich a także o przysłowiach „Poznać Pana po cholewach” czy „Hulaj dusza bez kontusza”.

Za interesujący wykład uznawany jest „Komizm w sztuce”. Tu można zobaczyć, że czasem to, co bawiło naszych przodków, dziś wywołuje zdziwienie.

Wielu słuchaczy było zainteresowanych kiczem i oczekiwało jasnych wytycznych na temat jedynie słusznego piękna. Pokazuje źródła kiczu, często to wybitne dzieła, np. obraz prerafaelity Hunta „Światłość świata” nieudolnie kopiowany i przerabiany, staje się kiepskim obrazem. Mamy też świadomość, że dziś nie istnieją sztywne, akademickie kanony piękna i zamiast zamartwiać się czy to słuszne, cieszymy się tym, co nam się podoba. Tak działają kolekcjonerzy kiczu, czyli „sztuki szczęścia”.

Seniorzy z przyjemnością słuchają o sensacyjnych perypetiach dzieł sztuki – fałszerstwach, kradzieżach i odzyskaniach po latach, np. o „Plaży w Pourville” Moneta z Muzeum Narodowego w Poznaniu.

W rozmowach po spotkaniach dowiaduję się, że wiele historii jest im znanych, ale przypomnienie ich jest wartościowe.

Z przyjemnością spotykam się na UTW UWr z seniorami, którzy wiedzą czego chcą, mają swoje pomysły na tematy wykładów, a życzliwa atmosfera i wysoka kultura odbiorców daje mi jako wykładowcy wielką satysfakcję.

Filip Karolczyk

Student pedagogiki Uniwersytetu Wrocławskiego, specjalność: edukacja dorosłych i studiów kulturowych

Dzienniczek praktyk

Koniec końców mój pobyt na praktykach w Uniwersytecie Trzeciego Wieku można sprowadzić do trzech słów: otwartość, ciepło i kreatywność.

Otwartość

Ludzie starsi można powiedzieć, że widzieli w swoim życiu praktycznie wszystko. Bagaż doświadczeń koniec końców bywa przydatny, lecz bywa też ograniczeniem w postrzeganiu niektórych rzeczy na nowo. Wyzwaniem redefinicji swojego jestestwa jest dowiedzenie przed samym sobą, że może być inaczej, bez

uprzedniego upewniania się o tym. Dlatego ciężko jest nam się zmusić do zmian. UTW z pewnością pokazało mi, że seniorzy jak mało kto są głodni nowości. Z łatwością redefiniują starość, swoje możliwości i potencjał.

Jest to o tyle ciekawe, że katalizatorem tych czynności często bywa ich poprzednie doświadczenie. Ciężko jest się wyzbyć starych nawyków, to na pewno, ale o wiele łatwiej jest je przekuć w coś nowego i przydatnego. Jest to dziwny rodzaj otwartości, który bierze się z czystej życzliwości, ale również przyzwyczajenia. Otwartość na praktykantów czy tematy przedstawiane przez wykładowców. Samo powracanie do młodości – które widać dokładnie na przykładzie grupy biesiadnej – oparte na przywracaniu wspomnień dzieciństwa i starości swoich rodziców zestawione z doświadczaniem starości przez samych siebie. Swoista otwartość na zmierzenie się z własną celestnością, do której podchodzi się z gracją, a nie strachem.

Ciepło

Z otwartością w parze również idzie ciepło, którego doświadczyliśmy na zajęciach. Poczucie, że rzeczywiście jesteśmy tam potrzebni w pewnym sensie, mile widziani. Koniec końców byliśmy po tej samej stronie – byliśmy studentami, którzy również potrzebowali pocucia bycia częścią czegoś większego.

Wykładowcy w tym wypadku mają o wiele cięższe zadanie, gdyż dodatkowym wyzwaniem jest podzielenie się zapałem do prezentowanych przez siebie tematów. Zapewnienie komfortu, pocucia troski o drugą osobę i dostosowania się do jej potrzeb. Każdy wywiązywał się ze swoich zadań, ale to również dzięki zaangażowaniu seniorów. Otwartości na drugą osobę, na jej możliwości i to co ma do przekazania.

Kreatywność

Przy wielu okazjach tłumaczyłem, że największym atrybutem każdego seniora – i także człowieka – jest kreatywność. Ona jako jedyna nie zanika z wiekiem, a nawet jej przybywa. To spełnianie swoich wizji w artystycznym duchu daje nam poczucie sprawczości. Pragniemy upustu dla kreatywności, dążymy do ujawnienia tej części siebie na forum – zaprezentowania samego siebie przez pryzmat tego, co stworzyliśmy. UTW jest niewątpliwie jednym z wielu miejsc, gdzie kreatywność spotyka się również z namacalnym wynikiem. Wszystkie koła zainteresowań, trupy teatralne i kabaretowe. Furtki do przeszłości, gdzie eksploracja własnych możliwości odbywa się przez podróż w głąb własnej biografii, gdzie swe zaczątki koniec końców ma kreatywność – w doświadczeniu, otwartości i czystej pasji.

Od czego zależy aktywność w okresie późnej dorosłości

Maria Biegalska

[...] Aktywność w okresie późnej dorosłości zapobiega otępieniu człowieka starszego, absorbuje jego uwagę, myślenie, wyobraźnię i poczucie własnej wartości. Dlatego też aktywność podejmowana w czasie wolnym, którego przecież w okresie późnej dorosłości jest dużo może wpływać na np. poczucie własnej wartości, sprzyjać refleksjom nad bilansem życia, czy jego sensem. Bardzo ważne i niezwykle istotne jest też przygotowanie się do konstruktywnego spędzania wolnego czasu.

Starzenie się jest sztuką i jak wszystko w życiu wymaga od nas gorliwej nauki. Niejednolite oblicze starości to okres naznaczony szczególną mądrością życiową, bez wskazywania na związane z nią ograniczenia. Mądrość życiowa jest najwyższą kategorią rozwoju intelektualnego człowieka. Późna dorosłość nie może być procesem upadku, kunszt sędziwego wieku polega na tym, aby z każdej chwili życia wydobywać nowe wartości. Późna dorosłość jest postrzegana jako wartościowa, kolejna faza rozwoju oraz wyzwania, któremu człowiek musi sprostać pomimo pogarszającego się z wiekiem stanu zdrowia.

Potrzebna jest zarazem świadomość, że to, w jakim stanie człowiek wkracza w okres kalendarzowej starości, zależy w dużym stopniu od niego samego, od przyjętego systemu wartości i stylu życia. Późna dorosłość opiera się na długotrwałej realizacji przez osoby starsze różnych form aktywności.

Aktywność ludzi w okresie późnej dorosłości przejawia się między innymi poprzez realizację własnych zainteresowań, uczestnictwo w życiu kulturalnym m.in. teatr, koncerty, opera czy muzea.

Kolejną przesłanką aktywującą seniorów jest pogłębianie wiedzy z korzystania z nowoczesnych technologii informatycznych. Seniorzy, którzy poruszają się w miarę swobodnie w sieci, czyli potrafią włączyć komputer i korzystać z Internetu, w mniejszym stopniu narzekają na osamotnienie i izolację. Internet pomaga żyć.

Kolejnym ważnym elementem w życiu seniora jest aktywny styl życia, który jest jednym z czynników w znaczący sposób wpływający na zdrowie ludzi starszych. Regularne ćwiczenia fizyczne (np. joga) poprawiają sprawność umysłową. Aktywizacja ruchowa osób starszych jest ważnym elementem opóźnienia procesów starzenia, podwyższając jakość życia i dając tym samym satysfakcję. Ponadto aktywność fizyczna seniora to lepsze samopoczucie, regularne zajęcia fizyczne mogą poprawić zdrowie fizyczne i psychiczne i uzyskać dobrą formę w zaawansowanym wieku. Kluczem do zachowania sprawności fizycznej jest codzienna porcja ruchu. Dzięki niej odbudowują seniorzy sprawność i wytrzymałość zarówno zdrowotną jak i umysłową.

Duże znaczenie dla pozytywnego starzenia się ma kreowanie nowych możliwości uczenia się. Człowiek w wieku późnej dorosłości naukę może traktować jako możliwość samorozwoju. Taką formę samorealizacji edukacyjnej dają Uniwersytety Trzeciego Wieku. W działaniach uniwersytetów istnieje możliwość pogłębiania spojrzenia na świat i innych ludzi.

Uniwersytety Trzeciego Wieku zapewniają seniorom ćwiczenie umysłu, przeciwdziałanie samotności, rozwijanie sprawności intelektualnej, stwarzanie możliwości zdobywania i doskonalenia wiedzy w wielu obszarach zainteresowań seniorów, stymulowanie rozwoju osobowego czy rozwijanie pasji.

Doskonalenie umysłu poprzez uczenie się sprawia, że osoby starsze czują się młodsze i znacznie sprawniejsze. Nauka jest przyjemnością, a także nową życiową przygodą. Uczenie się wpisuje się w styl pozytywnego starzenia się, umożliwia osobie starszej odkrywanie nowej jakości życia i interpretacji dotychczasowych przeżyć.

Jeśli zajmujemy się samokształceniem, zachowujemy intelektualną i psychiczną młodość do głębokiej starości, więc trening intelektu i psychiki okazuje się najlepszym lekarstwem przeciw starzeniu, zwłaszcza w sferze umysłowej seniora.

Ponadto nauka, czytanie literatury pięknej i specjalistycznej, nauka języków obcych, hobby o charakterze intelektualno-twórczym, warsztaty dla seniorów, treningi twórcze czy też inne zajęcia tego rodzaju wymagają pracy intelektu i nie pozwalają na obniżenie sprawności i zdolności umysłowych w podeszłym wieku. Wpływają na wzrost samooceny, poprawę relacji międzyludzkich, dostarczają motywacji, radości i satysfakcji.

Jeżeli w wieku późnej dorosłości twórcza działalność jest jednym z elementów codziennego kształtu życia to wymiar życia twórczego zostaje przedłużony do późnej starości. Zatem aktywizując sferę umysłową, nie dopuszczamy do jej zahamowania bądź regresu.

Aktywność osób w wieku późnej dorosłości wskazuje na występowanie w tym okresie życia dużego potencjału i możliwości efektywnego wspomagania

rozwoju. Człowiek w okresie późnej dorosłości może pozostawać aktywny intelektualnie, fizycznie, psychicznie, może utrzymywać szerokie i pozytywne kontakty towarzyskie, rodzinne, a także rozwijać swoje zainteresowania, realizować swoje marzenia i samego siebie. Aktywny senior posiada zdolność do podejmowania mądrych decyzji, ogromną wiedzę życiową, zdolność rozumienia sytuacji społecznych, umiejętność dawania dobrych rad, empatię, współczucie, altruizm, poczucie sprawiedliwości, akceptację niepewności i radzenie sobie z nią, otwartość na świat i tolerancję, otwarcie się na nowe doświadczenia, nowe idee, uczenie się nowych treści, czy też podejmowania trudnych decyzji.

Zachowanie aktywnego stylu życia jest traktowane jako jeden z warunków dobrego przystosowania się do starości.

[...] Świadomość tego, jak wiele korzyści niesie czynny udział w różnych formach dobrego, pozytywnego dla zdrowia, ciała i umysłu spędzania czasu jest istotna dla seniorów i ich rodzin. Osoby w wieku późnej dorosłości z reguły chcą być aktywne zarówno fizycznie, jak i mentalnie.

Starają się angażować mniej lub bardziej w życie i czerpać z tego satysfakcję, czuć się ludźmi wciąż potrzebnyymi i spełnionymi.

Aktywność jest ważną wartością dla seniorów, ponieważ oddziałuje ona na każdą sferę ich życia. Dzięki niej czują się oni wciąż jeszcze młodzi i samodzielni. Mają dobre relacje z dziećmi, wnukami i otoczeniem, czują się pełnowartościowymi członkami społeczeństwa.

Wszystkich ludzi starszych należy traktować jako „ocalałych: późna dorosłość to zdobycz, którą nie wszyscy młodzi będą mogli się poszczycić, gdyż nie każdy z nich będzie żyć dostatecznie długo, by jej doczekać” (Ian Stuart-Hamilton, „Psychologia starzenia się”).

I ten fakt jest jedynym, który określa bez wyjątku każdą z osób starszych – osób w okresie późnej dorosłości.

Małgorzata Dymerska

W życiu człowieka pojawia się etap zwany: „późną dorosłością”, „jesienią życia”, czy po prostu starością.

Ważną sprawą jest, aby odpowiednio przygotować się do niego, aby dobrze w nim funkcjonować, wykorzystać ten czas odpowiednio. Starość jest nieunikniona, o tym wiemy wszyscy, choć nie wszyscy sobie to uświadamiamy. Nie wszyscy zdajemy sobie sprawę, że możemy do okresu późnej dorosłości przygotowywać się już od naszego dzieciństwa. Wiele zależy od naszego domu rodzinnego, w którym wzorem dla nas są nasi rodzice, ich sposób życia, zainteresowania, sposób spędzania wolnego czasu. [...]

Jest bardzo ważne, aby zaakceptować proces starzenia się, pogodzić się z tym faktem, ale równocześnie odkryć nowe możliwości, postawić przed sobą nowe zadania, plany, być otwartym na nowe wyzwania. Starość, często nazywana jesienią życia, może być przyjemna. Możemy więcej czasu poświęcić sobie, nie musimy się już nigdzie spieszyć. Możemy realizować swoje marzenia, plany, poznawać nowe, ciekawe dziedziny nauki, na które dotychczas nie mieliśmy czasu, bo: rodzina, dzieci, obowiązki w pracy. Teraz jest na to czas – na realizację zainteresowań, swoje pasje, hobby, samorealizację, doksztalcenie, kontakty międzyludzkie, co jest bardzo ważną sprawą w wieku senioralnym; możemy potraktować ten czas jako wieczne wakacje, złoty wiek. W tym miejscu chciałabym zacytować Magdalenę Samozwaniec: „I młodość, i starość mają te same apetyty, lecz nie te same zęby”.

Podsumowując i jednocześnie odpowiadając na pytanie – od czego zależy aktywność w wieku późnej dorosłości, wskazałabym następujące uwarunkowania:

- środowisko domowe, przyzwyczajenia i tryb życia wyniesione z okresu dzieciństwa. Jeśli w dzieciństwie, a następnie jako nastolatki prowadziliśmy aktywny tryb życia, będziemy kontynuować to w wieku dorosłym, a następnie jako seniorzy;
- stan zdrowia. Wiadomo, że okres starości wiąże się ze zmianami w organizmie, pogorszeniem ogólnej wydolności i sprawności narządów ruchu, układu krążenia, co prowadzi do zwiększonego ryzyka występowania wielu chorób somatycznych. Wraz z upływem czasu nasila się również częstość występowania zaburzeń poznawczych, a to zapewne nie sprzyja aktywności seniora;
- poziom wykształcenia, któremu towarzyszą różnego rodzaju pasje, zainteresowania, chęć doksztalcenia się;
- miejsce zamieszkania. Mieszkańcy większych miast mają dużo większe możliwości do ożywionych kontaktów z kulturą (teatry, kina, kluby zainteresowań), a także z instytucjami umożliwiającymi dalszy rozwój intelektualny, do samoksztalcenia, rozwijania zainteresowań, czy też możliwość kontaktów międzyludzkich (Uniwersytety Trzeciego Wieku, Kluby Seniora);
- motywacja własna, doświadczenia życiowe, otwartość na nowe kontakty interpersonalne;
- potrzeba kontynuacji rozwoju dalszego życia;
- sytuacja finansowa, warunki ekonomiczne, a co za tym idzie – jakość życia.

Na zakończenie pokuszę się o stwierdzenie, iż po sześćdziesiątce życie może być piękne, ciekawe, a nawet ciekawsze niż we wcześniejszych latach, ponieważ mamy więcej czasu, aby korzystać z niego. Wszystko zależy w dużej mierze od

nas samych, od tego jak przygotujemy się do okresu naszej późnej dorosłości w latach wcześniejszych.

W tym miejscu, kończąc moje rozważania, pragnę przytoczyć jakże mądre słowa papieża Jana Pawła II, które mogą być wskazówką dla każdego z nas:

Mimo ograniczeń mego wieku, bardzo wysoko cenię sobie życie i umiem się nim cieszyć.

Maria Mielniczek

Późna dorosłość to delikatne określenie wieku dojrzałego, emerytalnego czyli starości. A starość jest naturalnym i nieuniknionym etapem życia człowieka, w którym dochodzi do istotnych zmian w sferze fizycznej, psychicznej i społecznej. Zbliżania się do starości nie można zatrzymać, ale można spowolnić i ograniczyć jej skutki.

Aktywność w okresie późnej dorosłości jest jednym z czynników opóźniających procesy starzenia. Rodzaj aktywności jest uzależniony od indywidualnych preferencji, posiadanych umiejętności, stanu zdrowia itp.

Różne formy aktywności towarzyszą człowiekowi przez całe życie.

Zachowanie wysokiej aktywności fizycznej, umysłowej i społecznej umożliwia ludziom starszym niezależność i utrzymanie dotychczasowej jakości życia. Wpływa też na poczucie własnej wartości, na rozwój osobisty. Przeciwdziała osamotnieniu. Prowadzi do integracji w grupie, na przykład wśród słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Przywraca chęć do życia, wypełnia czas wolny.

Aktywność umysłowa zapobiega otępieniu człowieka dojrzałego, absorbuje jego uwagę, myślenie i wyobraźnię. Wszelkie zajęcia mogą dostarczyć wiele radości, poprawić samopoczucie, kondycję, utrzymać zdrowie.

Wyżej wymienione tezy, złote myśli to sama prawda. Ale można postawić pytanie: dlaczego jeden senior cieszy się życiem, bawi się, zwiedza świat czy chociażby Polskę, śledzi wiadomości, uśmiecha się i po prostu chce mu się żyć?. A drugi jest smutny, narzeka na wszystko dookoła, zamyka się w czterech ścianach? Jak zwykle są różne przyczyny takiego zachowania. Według mnie, ważną rolę odgrywają predyspozycje, geny, stan zdrowia, środowisko w którym żyjemy, poczucie humoru, optymistyczne nastawienie do życia.

Drugą sprawą może być sytuacja rodzinna, zdrowotna, towarzyska. Gdy większość spraw układa się pomyślnie wtedy człowiek jest szczęśliwy, radosny, uśmiechnięty.

I druga strona medalu. Gdy senior musi się opiekować kimś chorym, niepełnosprawnym, to będzie tak przemęczony, wyczerpany fizycznie i psychicznie,

że nawet nie pomyśli o aktywności poza domem. O spotkaniach towarzyskich. O wyjściu do kina, teatru itd.

Istnieje też inny ważny aspekt mający wpływ na aktywność seniorów. Jest to sytuacja finansowa. Nie ukrywajmy, że często różne marzenia nie mogą być zrealizowane z powodu braku finansów. Ale, w myśl powiedzenia, że pieniądze szczęścia nie dają, możemy skupić się na tym, co jest dostępne bez wielkich pieniędzy: relacje międzyludzkie, spotkania, rozmowy, poznawanie nowych osób, pomaganie sobie wzajemnie, wspólne wyjścia np. na koncerty, do kina, do teatru, tym bardziej jest to możliwe, że seniorzy mają ulgowe bilety.

Zresztą nie wszystko trzeba kupować. Przykładem są biblioteki, które oprócz książek oferują spotkania z ciekawymi ludźmi, z pisarzami itp.

Nie można mówić o aktywności, pomijając emocje, uczucia, wrażliwość na drugiego człowieka, budowanie dobrych relacji. Aktywność to też sprawność ruchowa, fizyczna. Powiedzenie: „w zdrowym ciele zdrowy duch”, jest strzałem w dziesiątkę. Wszelkie gimnastyki, wycieczki piesze, rowerowe czy joga pobudzają do jeszcze większej aktywności. Albo temat ogródków działkowych. Łączy się tam aktywność fizyczną, spotkania z sąsiadami, radość i satysfakcja z tego co urosło, co posadziliśmy. I do tego jazda na rowerze, bo przecież trzeba do tego ogródka dojechać.

Jest takie powiedzenie: „chcieć to móc”. I ja jestem tego przykładem. Całe życie chciałam być studentką. Nie wyszło od razu po maturze, ale wszyscy wiedzieli, że na emeryturze od razu wystartuję na Uniwersytet Trzeciego Wieku. Niestety, była tzw. „siła wyższa”. Najpierw opieka nad rodzicami, teściową, pomoc przy wnukach a później pandemia, która zablokowała prawie wszystko i zmieniła ludziom plany. Ale gdy tylko było to możliwe, dostałam się do UTW. I marzenie się spełniło. I chociaż jestem emerytką już kilka lat, w dalszym ciągu brakuje mi czasu na leniuchowanie, bo są przecież harmonogramy, wykłady, spotkania, wyjścia itd. Nieraz nie mam siły i odpoczywam, ale ten odpoczynek jest takim przerwaniem w obowiązkach, w aktywności, a nie sposobem na życie.

Przeczytałam kiedyś bardzo mądre zdanie: „Żyj dziś, bo wczoraj nie wróci, a jutro może nie nadejść”. I tego się trzymajmy.

Moja droga edukacyjna, czyli czego nauczyłem/am się w ciągu życia

Anna Adamska

Moja droga życia – zbudowana na doświadczeniu oraz zdobytej i uzupełniającej na bieżąco wiedzy ogólnej i psychologicznej, pełna jak u każdego wzlotów, upadków, procesu pokonywania własnych słabości, zmierzająca do poznania siebie – daje mi podstawę do wyróżnienia wartości i zasad działania decydujących o kształcie i skutkach tej drogi.

Oto wskazówki-drogowskazy, które sprawdziły się i sprawdzają w moim życiu:

1. Sprawczość i relacje:

a) sprawczość to samodzielne podejmowanie decyzji i działań, budowanie swojej pozycji społecznej i niezależności finansowej, determinacja i odwaga w osiąganiu własnych celów, wzmacnianie psychiki i zdrowia poprzez aktywność fizyczną, zgłębianie wiedzy i wzmacnianie poczucia własnej wartości,

b) relacje

– głównie społeczne, rozumiane jako bliskość z członkami rodziny, przyjaciółmi, kontakty z ludźmi, pełne empatii, życzliwości i uśmiechu,

– relacje szeroko pojęte z tym co nas otacza, ze światem – szacunek do przyrody, miłość do zwierząt, czułość, o której tak pięknie mówiła Olga Tokarczuk w swojej noblowskiej mowie *Czułość jest tą najskromniejszą odmianą miłości. To ten jej rodzaj, który nie pojawia się w pismach ani w ewangeliach, nikt na nią nie przysięga, nikt się nie powołuje. Nie ma swoich emblematów ani symboli, nie prowadzi do zbrodni ani zazdrości. Pojawia się tam, gdzie z uwagą i skupieniem zagłębiamy w drugi byt, w to, co nie jest „ja”*.

2. Wdzięczność i uważność:

a) wdzięczność za to co mamy, bo *nigdy nie jest tak, żeby nie mogło być gorzej* – po latach, bo zdarzały się chwile poczucia niesprawiedliwości i niezgody na to co mnie spotyka, zrozumiałam, że nikt z nas nie zna pełnego obrazu swojego życia, że wszystko jest po coś.

I jeśli tylko mamy analityczne podejście do zdarzeń, ludzi i wyciągniemy właściwe dla siebie wnioski, to okaże się, że bogactwo tych przeżyć jest naszym kapitałem,

b) uważność – tak popularyzowane obecnie „być tu i teraz”. Pozamykać wszystkie bolesne rozdziały naszego życia i nadmiernie nie analizować, oddać

się chwili, prostej czynności, zainteresowaniom, dostrzec piękno w prozie i poezji życia.

3. Elastyczność i równowaga

a) elastyczność – umiejętność dostosowania się do różnego rodzaju zmiany np. miejsca pracy czy warunków materialnych, brak nadmiernych oczekiwań (niewiele oczekując nigdy się nie zawiedziesz), nieforsowanie na siłę własnych przekonań, bo „można mieć racje albo relacje” – do nas należy wybór,

b) równowaga – nieuleganie nałogom, zachowanie balansu pomiędzy pracą a odpoczynkiem, panowanie nad emocjami i wypracowanie wewnętrznego spokoju, tolerancja wobec inności i akceptacja tego co od nas niezależne, pozytywne nastawienie przyciągające dobrą energię. Pozwolić światu płynąć przez siebie.

4. Tzw. zdrowy egoizm – współczesna psychologia mówi, że najpierw trzeba pokochać siebie, poznać siebie i zadbać o swój dobrostan. Wtedy możemy obdarować innych miłością, dobrą energią, pomocą. W moim życiu często z własnej woli i z nadmiernego poczucia obowiązku ta zasada była zakłócona. Na szczęście dziś już to wiem i nad tym pracuję. Podsumowując – mam poczucie spełnienia i zadowolenia oraz wiarę w piękną, radosną późną dojrzałość. *Najlepszy sposób na zachowanie kondycji umysłowej i fizycznej to podróżowanie – poznać tubylców, kulturę, karmić się multisensorycznymi bodźcami. Podróżowanie jest śmiertelnie niebezpieczne dla rasizmu i ciemnoty umysłu (prof. Rafał Ohme).*

Czas trzeba mierzyć wydarzeniami, a nie upływem lat !

I na koniec cytat, który bardzo dobrze oddaje to, co czuję:

Śmiać się często i szczerze. Zyskać szacunek mądrych ludzi i podziw dzieci. Cierpliwie znosić zdradę fałszywych przyjaciół. Doceniać piękno. Znajdować w bliźnich to, co najbardziej wartościowe. Pozostawić po sobie świat nieco lepszym. Mieć świadomość, że choćby jedna istota ludzka odetchnęła lżej dzięki temu, iż my istnieliśmy na tym świecie (Ralph Waldo Emerson).

Joanna Grodziska

Moja droga edukacyjna była bardzo skomplikowana i w dużej mierze zależna od wydarzeń w moim życiu.

Do lat sześciu byłam w domu z rodzicami i bratem. Mama nie pracowała i uczyłam się przez zabawę. W wieku 6 lat rodzice stwierdzili, że nudzę się w domu i po spotkaniu z kuratorem otrzymałam zgodę na wcześniejsze rozpoczęcie edukacji. Ośmioklasowy system edukacji przebyłam bez problemów, z dobrymi wynikami, więc do liceum dostałam się bez egzaminów wstępnych. Lata nauki w liceum przebiegały w wyjątkowych warunkach, ponieważ w jednym budynku mieściły się szkoła podstawowa i liceum ogólnokształcące, więc my uczy-

liśmy się popołudniu. Trudne to były lata. Musiałam tak gospodarować czasem, żeby nauczyć się tego, co nam zadawano, a jednocześnie mieć czas na spotkania z naszą zgraną paczką. Pomagaliśmy sobie wzajemnie, mogliśmy zawsze liczyć jeden na drugiego. Już nigdy potem nie miałam takich przyjaciół jak w liceum. Były przedmioty, które bardzo lubiłam, jak matematyka i fizyka, ale były i takie, które zawsze sprawiały mi kłopoty, jak język polski czy historia.

Po pomyślnym zdaniu matury wyjechałam do Wrocławia studiować matematykę na Uniwersytecie Wrocławskim, którą w niedługim czasie zmieniałam na fizykę, a gdy ta też okazała się nie „tym” kierunkiem, znalazłam ostatecznie to, co pasjonowało mnie od kilku lat – Studium Programowania Elektronicznych Maszyn Cyfrowych. Nauka w studium dała mi wiele zadowolenia. Lubiłam poznawać tajniki programowania, a nauka sprawiała mi bardzo dużą przyjemność.

Po ukończeniu studium znalazłam pracę przy komputerach Odra 1300. Po roku pracy zajęłam się wychowaniem mojej pierwszej córki. Moją karierę zawodową przerwałam na 10 lat, podczas których urodziłam i wychowałam trzy córki. Moja edukacja, choć nieformalna, trwała jednak nadal. Pogodzenie obowiązków wychowania i prowadzenia domu było wielkim wyzwaniem i wymagało osobistej edukacji. Dostępna literatura pozwoliła mi poszerzać swoją wiedzę na tematy wychowania dzieci i prowadzenia gospodarstwa domowego, co nie było takie proste.

Chcąc nadal poszerzać swoje wykształcenie i mając na uwadze przyszłą pracę, podjęłam naukę w zaocznym studium finansów i rachunkowości. Ukończenie tego studium pozwoliło mi podjąć pracę, kiedy najstarsza córka poszła do szkoły, a młodsze do przedszkola. W nowej pracy zastałam już komputery mieszczące się na biurku, a nie w szafach. Po dodatkowych kursach, organizowanych w pracy, szybko opanowałam programy obsługi komputerów. Moja pasja do komputerów pozwalała mi podejmować coraz to nowe wyzwania. Szkoliłam pracowników podejmujących pracę na komputerach, organizowałam kursy komputerowe i zarządzałam całą siecią komputerową w firmie. Niestety, dobra passa trwała tylko 10 lat. Nasza firma upadła, a ja straciłam pracę, którą lubiłam, w której się spełniałam. Następna praca polegająca na prowadzeniu biura małej firmy nie była szczytem moich marzeń, ale wymagała nie tylko znajomości obsługi komputera, zasad księgowości oraz spraw płacowo-kadrowych. Przepisy dotyczące księgowości, płac oraz kadr zmieniały się bardzo często, więc trzeba było stale się doksztalać. Moja edukacja w tym zakresie trwała przez cały okres pracy w firmie tj. 17 lat.

W wieku 62 lat przeszłam na emeryturę. Pomagałam córkom w dopilnowaniu wnuków, czytałam moje ulubione kryminały i zajmowałam się domem. To wszystko nie dawało mi wystarczającej satysfakcji. Uczestnictwo w zajęciach w klubie seniora było dobrym uzupełnieniem moich zainteresowań. Z czasem

i tego było mało. Przez pół roku uczestniczyłam w zajęciach Otwartego UTW na Uniwersytecie Przyrodniczym. Wykłady na OUTW były bardzo interesujące, a zajęcia komputerowe pozwoliły na pogłębianie wiedzy dotyczącej Internetu, co stale się zmienia. Niestety, pandemia przerwała moje uczestnictwo w zajęciach.

Całe życie się uczyłam i nie poznałam wszystkiego, dlatego zapragnęłam poszerzać swoją wiedzę na Uniwersytecie Trzeciego Wieku przy UW. Jestem tutaj od października 2022 roku i jestem bardzo zadowolona. Tak wiele nowych rzeczy dowiedziałam się o sobie samej przez pryzmat nowych wiadomości, o otaczającym nas świecie i wszechświecie, o relacjach międzyludzkich. Poznałam wiele ciekawych osób, nawiązałam nowe znajomości i znalazłam nowych przyjaciół. Każdemu ze znajomych, kogo spotykam, polecam zajęcia na Uniwersytecie.

HSz

[...] Mały stolik w pokoju, przez okno wpada światło, które rozświetla moje stare świadectwa dokumentujące moją edukację. Wzrok pada na pierwsze, najbardziej pożątkłe świadectwo ze Szkoły Podstawowej. Zamyślam się i widzę małą dziewczynkę która codziennie zmierza do szkoły w swoim plisowanym czarnym fartuszką „krzyżaczku”. Bardzo dobrze pamiętam swoje koleżanki i kolegów, oni teraz spoglądają na mnie ze starego klasowego zdjęcia w mundurkach z odpinanymi białymi kołnierzykami – prosta szara rzeczywistość lat 60. 8 lat z tymi samymi osobami, co mi dały? Uczono mnie dyscypliny, odpowiedzialności w socjalistycznej Polsce. Apele, hymny, pieśni patriotyczne, które czasami dzisiaj jeszcze podśpiewuję, żałując, że w obecnej szkole brakuje czasu na zajęcia z muzyki. Jak przez mgłę pamiętam 1968 r., byłam wtedy w 2. klasie i nie rozumiałam płaczu żydowskich dzieci, które musiały nagle opuścić swój dom, kolegów, swoją szkołę przy ulicy Pereca we Wrocławiu. Do tego budynku wróciłam, kontynuując swoją edukację w VII LO. Moje świadectwo dojrzałości – spoglądam na młodą, uśmiechniętą szatynkę (świadectwo ze zdjęciem), szczęśliwą już pełnoletnią. Wspominam swoją wspaniałą, zgraną klasę. To tutaj pojawiły się pierwsze poważne miłości: (mieliśmy dwa klasowe małżeństwa). Przyjaźnie, nieliczne, które przetrwały tyle lat, ale są też tacy, których nigdy więcej nie spotkałam, chociaż na 30-lecie SIÓDEMKI na wielkim balu w Hali Stulecia nasza klasa stawiała się licznie. 50-lecie VII LO im. K.K. Baczyńskiego w 2018 r. niestety przegapiliśmy, spotykając się już prywatnie w nie tak liczny gronie. Liceum to szkoła, która oferuje różne możliwości – a Ty wybierasz jedną z dróg.

Kolejny raz spoglądam na stolik, słońce już tak nie świeci, ale ja doskonale widzę swoje dyplomy. Ukończona filozofia i historia na Uniwersytecie Wrocławskim jeszcze im. B. Bieruta. To już wiedza specjalistyczna, wybrana. Uwielbiałam

swoje studia, moją tylko 20-osobową grupę, już dorosłych ludzi z innymi problemami. To w tamtym czasie zmieniło się moje życie, wyszłam za mąż, zdawałam egzaminy, a na wręczenie Dyplomu w Auli Leopoldina poszłam już ze swoim małym synkiem.

Zostałam nauczycielem w liceum (nie lubię żeńskich, obecnie tak modnych końcówek) i 37 lat związałam się właściwie z jedną szkołą w moim kochanym Wrocławiu. Nauczyciel uczy się przez cały czas, stąd jeszcze moje 2 dyplomy: jeden ze Studiów Podyplomowych z Nauk Politycznych, jeszcze z ul. Pocztowej we Wrocławiu, drugi z judaizmu ukończonego w Krakowie. Obok stoją 3 torby zapakowanych różnych świadectw z warsztatów, spotkań, kursów – one po przejściu na emeryturę zostały zniszczone, trochę ze smutkiem. Tyle lat, tyle spotkań z wieloma wartościowymi ludźmi. Godziny spędzone na kursach kwalifikacyjnych, na których sprzeczałyśmy się, dzisiaj już nie pamiętam nawet o co.

Ostatni na stoliku jeszcze pachnący świeżością leży mój zielony widoczny z daleka indeks UTW z pewnością ostatni. „Studia III wieku” to dla mnie jeszcze brzmi trochę obco. Co tutaj mnie czeka, czego nauczę się w tej dojrzałej szkole? Siwe nie tylko skronie, inne rozmowy, inne zagadnienia w większości kobiety o śmiejących się oczach. Panów jest niewielu. Na razie ich obserwuję, jak cieszą się z małych rzeczy. Te nieśmiałe do tej pory kobiety nawiązują sympatie, uczą się życia na nowo. Wyjeżdżają, chodzą na wykłady, do teatru, pracują w sekcjach, powoli uczą się nie jednego, ale kilku języków obcych. Działają, tryskają energią. Pewnie i są konflikty, nieporozumienia i problemy zdrowotne i kłopoty z wejściem na II piętro do Auli, ale przychodzą i to na długo przed wykładem. Jeszcze tak mocno się z nimi nie identyfikuję, ale myślę, że to przyjdzie. I pewnie dlatego tutaj jestem, emerytka na uniwersytecie, która z nostalgią tłumaczy na korytarzu młodym dziewczynom z psychologii, co my tutaj wszyscy robimy w te poniedziałkowe przedpołudnia, bo życie trwa, jeszcze się nie skończyło. I ja uczę się dalej, chociaż przecież tak niedawno po skończeniu studiów pytałam z płaczem moją mamę. „TO ja teraz już nie będę się uczyła tylko całe życie mam pracować?! Niekoniecznie, w 2022 r. zostałam znowu studentką i absolutnie nie czuję się staro. Tylko dlaczego ustępują mi miejsca w tramwaju?

Barbara Jaworska

[...] Poprzedzający etap edukacji szkolnej był nieformalny i miał miejsce w piaskownicy. Stąd wyniosłam m.in. naukę, że:

- należy dzielić się z innymi,
- nie zabiera się cudzych zabawek,
- znalezioną rzecz należy odłożyć na miejsce,

- należy po sobie sprzątać, myć ręce,
- gdy komuś wyrządzimy krzywdę, przepraszamy.

To są sprawy podstawowe, elementarne. Dalej była szkolna edukacja. [...]

Uczenie się przybiera wiele form, które można sprowadzić do dwóch głównych kategorii: czerpanie ze źródeł wiedzy ogólnej oraz samodzielne dochodzenie do wiedzy. Szkolna edukacja to w zasadzie pierwszy model uczenia się.

Przejście przez system szkolnictwa nie daje pewności, że nauczyliśmy się czegoś lub wiemy jak zastosować nabytą wiedzę. Co utwierdza nas w przekonaniu, że odebraliśmy odpowiednią edukację? Co powinniśmy mieć utrwalone w głowie, wykute na pamięć, by bezpiecznie funkcjonować w społeczeństwie? Na pierwszym miejscu jest oczywiście czytanie i pisanie, a także podstawowe umiejętności matematyczne (dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie). Godziny spędzone w szkole podstawowej zaowocowały tymi umiejętnościami. Dalej nauka miała postać nieustannego, posłusznego ćwiczenia. Pozwalało to zajmować wysokie miejsce na liście najlepszych uczniów. Nie należałam do najlepszych. Byłam jednak powyżej średniej. Wszystko, co utrzymałam w pamięci dla uzyskania dobrych ocen, już mi umknęło. Wkładałam duży wysiłek w coś, co w ogóle nie sprawiało mi przyjemności (fizyka). Ale były też wyjątki. Szkolny kurs historii i wiedzy o społeczeństwie nauczył mnie patrzeć na ludzkie losy z szerszej perspektywy. Nie potrzebuję też korepetycji z demokracji. Biorę udział w wyborach.

Na studiach, oprócz merytorycznej wiedzy jak poruszać się w świecie przepisów, paragrafów, nauczyłam się jak mam się uczyć, by nie ulec egzaminacyjnej panice z powodu braku czasu i ogromu materiału do opanowania. Oczywiście „pamięciówki” jest bardzo dużo, ale wszystkiego zapamiętać się nie da. Gdy do przeczytania jest gruby podręcznik, należy „przesiewać” informacje, łapać główne myśli, zależności, bo one są najważniejsze. I rzecz bardzo ważna – nie pomijać tekstu zapisanego drobnym drukiem. Pytania na testach często dotyczyły kwestii wydałoby się nieistotnych. Początkowo nie docenialiśmy naszych wykładowców. Tylko do czasu. Dodatkowo na wykładach można się zorientować, do czego trzeba się przyłożyć. Dodatkową umiejętnością, którą wyniosłam ze studiów była zdolność kojarzenia i logicznego myślenia.

O tym, jak ważne jest zdobycie praktycznych wskazówek dotyczących sposobów usprawniających naukę, świadczy rosnące zainteresowanie tą tematyką.

Druą formą uczenia się to metody aktywizujące, gdzie stwarza się okazję do zdobywania wiedzy przez doświadczenie i przeżycie. Jest to efektywna metoda. Docenił to Konfucjusz i napisał: „Słyszę i zapominam, widzę i pamiętam, robię i rozumiem”. Ucząc się przez doświadczenie, uczymy się mimowolnie, wiedza sama wchodzi do głowy. Lepiej zapamiętujemy rozwiązania przez nas znalezione, a także lepiej pamiętamy samodzielnie wykonane zadanie. Nie oznacza

to jednak, że prezentowanie gotowej wiedzy powinno odejść do lamusa. Samodzielne dochodzenie do rozwiązania problemu rozwija umiejętność analizowania, uogólniania. Uczenie przez doświadczenie wyzwala kreatywność i kształtuje nawyki samokształceniowe.. Metody aktywizujące są ciekawe, powodują wzrost zainteresowania nabywaną wiedzą. Budzi się ciekawość. Jest to jednak metoda czasochłonna. Zaletą jest jej trwałość i możliwość zastosowania w różnych sytuacjach.

A czego ja się nauczyłam przez doświadczenie i przeżycie?

Nauczyłam się, że złych emocji nie da się uniknąć i trzeba się do tego przyznać, jeśli chce się być uczciwym wobec siebie i innych. Już wiem, że każda zmiana ma pozytywne. Pomaga w uświadomieniu sobie, ile niepotrzebnych rzeczy nagromadziliśmy, a traktowanie ich jako pożytecznych, to po prostu ułuda. Bo tak naprawdę niewiele potrzebujemy. Przywiązujemy się do miejsc, przedmiotów, czasem do ludzi, bez których nasze życie nie staje się uboższe, lecz otwiera się na nowe możliwości. Gdy nie mamy potrzeby posiadania niezliczonej liczby przedmiotów, zyskujemy ogromną wolność.

Nie można, pisząc o edukacji, pominąć bardzo przyjemnego sposobu przyswajania wiedzy. Myślę o edukacyjnej funkcji tekstu literackiego, który kształtuje nasz punkt widzenia, decyduje o wizji świata. Wartościowe teksty są przekazywaniem wiedzy. Książki zawsze były dla mnie ważne. Nie tylko bawiły, kształtowały uczucia, postawę. Po prostu, przy okazji uczyły świata, życia.

Szkoła nie nauczyła jak żyć. Współczesna szkoła też jest często krytykowana za swoje oderwanie od życia, główne zarzuty dotyczą przekazywanej wiedzy.

Bardzo lubię tekst piosenki „Dorośle dzieci” grupy Turbo (słowa Andrzej Sobczak):

*Nauczyli nas regulek i dat,
Nawbijali nam mądrości do łba,
Powtarzali, co nam wolno, co nie,
Przekonali, co jest dobre, co złe.
Odmierzyli jedną miarą nasz dzień,
Wyznaczyli czas na pracę i sen,
Nie zostało pominięte już nic,
Tylko jakoś wciąż nie wiemy, jak żyć.
Dorośle dzieci mają żal
Za kiepski przepis na ten świat!
Dorośle dzieci mają żal,
Że ktoś im tyle życia skradł!
Nauczyli nas, że przyjaźń to fałsz,
Okłamali, że na wszystko jest czas,
Powtarzali, że nie wierzyć, to błąd,*

*Przekonali, że spokojny jest dom.
 Odmierzili każdy uśmiech i grosz,
 Wyznaczyli niepozorny nasz los,
 Nie zostało pominięte już nic,
 Tylko jakoś wciąż nie wiemy jak żyć.
 Dorosłe dzieci mają żal ...
 Nauczymy więc się sami – na złość,
 Spróbujemy może uda się to,
 Powtórzymy od początku nasz kurs,
 Odmierzymy, ile siły jest w nas,
 Wyznamy sobie miejsce i czas,
 A gdy zmienią się reguły tej gry,
 Może w końcu odkryjemy, jak żyć.
 Dorosłe dzieci mają żal...*

Nie chcę przez tekst przytoczonej piosenki powiedzieć, że moja szkolna droga była stratą czasu. Szkoła wprowadza w nowe obszary rzeczywistości społecznej. W szkole zostają wykształcone potrzeby i nawyk uczenia się, poznawania świata.

Dostrzeżenie trudności to przede wszystkim zdanie sobie sprawy ze swojej niewiedzy, to powtarzanie za Sokratesem: „Wiem, że nic nie wiem”.

Uczenie się jest procesem odbywającym się od narodzin do śmierci. Uczenie się trwa (lub może trwać) całe życie! Istnieje wręcz przymus uczenia się trwającego przez całe życie zgodnie z formułą „ucz się lub gin”. Tylko nieustanna nauka pozwala dziś na zmniejszanie dystansu pomiędzy narastającą złożonością rzeczywistości a jednostkowymi możliwościami zrozumienia jej. Ustawiczne uczenie się zapobiega społecznej, kulturalnej i zawodowej marginalizacji. Jest koniecznością.

Uniwersytet Trzeciego Wieku wspiera proces uczenia się. Jest wspólnotą ludzi uczących się. Wyzwała ciekawość, pozwala na poszukiwania w nowych kierunkach, indywidualnie wybranych według własnych zainteresowań.

Żadna wiedza nie jest pewna, tylko proces poszukiwania wiedzy daje podstawy pewności.

Judyta

Żaby kumkają, a Mury gadają

Rzeka Nida często wylewała z brzegów i zalewała okoliczne pola i łąki. Z dzieciństwa pamiętam jej rozlane wody i kąpiące się żaby w rozlewisku. Wieczorami odbywał się koncert żabich talentów. Niedzielne rodzinne spacery na błonia

były doświadczeniem przyrodniczym z obserwowaniem tego, co działo się na łąkach. Kaczeńce tworzyły dywany z żółtych kwiatów. Przyroda rozsypywała różnorodne zapachy. Babcia Wiktoria mieszkała z nami i dużo czasu poświęcała mnie i mojej młodszej siostrze. Kiedy miałam 3 lata, a siostra parę miesięcy, nasza mama zachorowała na płuca i długo leczyła się, przebywając w szpitalu. Na szczęście lekarze i penicylina uratowały mamę. Potem długa rekonwalescencja wiązała się z nieobecnością naszej mamy. Pamiętam uczucie tęsknoty za nią. Szczęśliwie po kilku latach urodził się nasz brat.

[...] Szybko dorastałam jako najstarsza córka moich rodziców. Bardzo dobrze się uczyłam, brałam udział w konkursie matematycznym, z sukcesem dostałam się do Liceum Ogólnokształcącego. Następnym krokiem edukacji była Akademia Górniczo-Hutnicza. Zainteresowałam się ceramiką i studiowałam ten kierunek.

Z sentymentem wracałam do miejsca urodzenia nad Nidą. Cieszyło mnie to, że tak pięknie zmieniał się to miasteczko! Zainteresowała mnie historia związana z postaciami historycznymi, takimi jak król Kazimierz Wielki i Jan Długosz. Kazimierz Wielki ufundował w 1350 roku budowę kolegiaty. Był to jeden z kościołów, które król zbudował jako pokutę za zabójstwo kanonika Marcina Baryczki. W ramach akcji pokutnej wybudował również kościoły w Sandomierzu, Stopnicy, Zagości. W Kolegiacie Wiślickiej ogłoszono „Statuty Wiślickie” (pierwsza konstytucja). W 2004 r. kolegiata została podniesiona do godności Bazyliki Mniejszej Najświętszej Marii Panny. W 2002 r. stanowisko archeologiczne w Wiślicy, czyli Bazylika i Dom Długosza zostały wpisane na listę World Monuments Watch, jako jeden ze 100 zabytków na świecie zagrożonych zniszczeniem. W głównym ołtarzu umieszczony jest posąg kamienny Madonny Łokietkowej z około 1300 r. Według tradycji przed posągiem modlił się o zjednoczenie kraju ukrywający się Władysław Łokietek. [...] Przynajmniej raz w roku odwiedzam to magiczne miejsce nad Nidą, która jest uporządkowana i ujarzmiona.

Do Wrocławia zawitałam 7 lat temu, zainspirowana przez moje dzieci.

Urzekło mnie to miasto, spotkałam miłych ludzi i odkryłam ciekawe miejsca. Niezwykłym dla mnie miejscem okazał się gmach Instytutu Pedagogiki i Psychologii przy ul. Dawida 1.

W 2022 r. zostałam studentką uniwersytetu trzeciego wieku. Kiedy znalazłam się w siedzibie UTW, miałam wrażenie że spotykam ciekawych ludzi i motywujących do ciągłego rozwoju i poszukiwania. To tak jakby mądrość i piękno zapisane były w murach tego gmachu i nie pozwalało osiąść na laurach, pobudzając ciągle entuzjazm do aktywnego życia

Stanisława Kalus

Problem ogarnięcia zasobu wiedzy zdobytej przeze mnie w moim długim życiu jest dosyć trudny, bo obejmuje on nie tylko wiedzę podstawową, zdobytą w szkołach i Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, ale także umiejętności zdobyte od moich rodziców, którzy byli osobami o dosyć szerokim wykształceniu ogólnym i specjalistycznym. Po zawarciu związku małżeńskiego wiedza moja poszerzyła się o wiedzę mojego męża [...].

Pierwszymi moimi mentorami byli oczywiście rodzice. Oboje absolwenci Uniwersytetu Jagiellońskiego: ojciec prawa, matka filozofii, a w szczególności historii. Ojciec mój był człowiekiem niemal renesansowym. Był bowiem wysokiej klasy prawnikiem, ale także znakomitym znawcą języków klasycznych, czyli łaciny i greki, co odziedziczył po swoim ojcu, dziadku Stanisławie, który tych przedmiotów nauczał w szkołach.

Matka moja, przedwojenna harcerka, była historykiem, a zdobycie przez nią uznania było pewnym ewenementem, gdyż przed wojną bardzo mało kobiet podejmowało studia i wykształcenie magisterskie, ale poziom jej wiedzy historycznej niewątpliwie rzutował na moje dosyć głębokie zainteresowanie historią i to historią powszechną, o czym świadczy chyba temat mojej pracy magisterskiej na prawie: *Struktura i kompetencje parlamentu angielskiego według prawa okresu rewolucji purytańskiej i wojny domowej 1628–1660*.

Poza wykształceniem w zakresie historii moja matka zadbała o szereg moich wiadomości w zakresie kulinarnym i moje osiągnięcia w sferze kuchni zdobyły nawet sławę zagraniczną. [...] Umiejętnością bardzo docenianą w okresie powojennym, choć obecnie zupełnie nie wykonywaną przeze mnie, której nauczyłam się od mamy, było szycie odzieży i to bardzo różnej, ale przede wszystkim odzieży dziecięcej. W okresie powojennym było trudno w tym zakresie, mało było ciekawych materiałów, brak było wykrojów w polskiej prasie. Znajomość języka niemieckiego, jaką wyniosłam ze studiów, bardzo mi w tym pomagała. Do dzisiaj pamiętam magazyny niemieckie „Burda Moden”, czy „Neue Mode”, z których nauczyłam się szyc [...].

Prawdziwym skarbem była dla mnie wiedza mojego Ojca. Jako mała dziewczynka uczęszczająca do Podstawowej Szkoły Muzycznej im. S. Moniuszki w Katowicach, odbywałam długie spacerzy, często obciążana nutami, z domu do szkoły. Droga ta była niebezpieczna, więc towarzyszył mi w niej ojciec, który po drodze opowiadał mi szczegółowo Iliadę i Odyseję oraz mitologię grecką, potem rzymską. Tato dbał też bardzo o nauczanie mnie łaciny, co potem nawet zaowocowało nadaniem mi godności „skryby” na wykładach z prawa rzymskiego, gdzie bezbłędnie zapisywałam dyktowane mi cytaty z pism wybitnych przedstawicieli tego prawa.

Szkoła muzyczna nauczyła mnie wiele. Nie tylko gry na fortepianie i flecie, ale także dała mi ogromną wiedzę o muzyce, którą utrwalalam potem, do końca mojego zamieszkania w Katowicach, uczęszczając na koncerty Filharmonii Śląskiej w Katowicach oraz NOSPRu.

Czymś, czego nauczył mnie ojciec, był też zwyczaj bywania w antykwariatach i wyszukiwanie tam ciekawych książek. To były naprawdę bardzo ciekawe wyprawy.

[...] Książki zajmują u mnie miejsce szczególne. [...] Niewątpliwy wpływ na mnie miało także to, że ojciec mój był człowiekiem ciągle coś piszącym i często nie były to pisma procesowe (choć one także nauczyły mnie korzystania z ich struktury i języka prawniczego, który przecież odbiega bardzo od polszczyzny powszechnej. Dobrze jest nauczyć się tego języka, aby posługiwać się nim ze zrozumieniem. Działalność pisarska Taty dotyczyła też wierszy, które zawsze zawierały dobre rymy i były z reguły bardzo długie, przeleżały więc w bibliotece w gabinecie ojca i znikły w czasie przeprowadzki. A szkoda! [...]

Trzecią osobą, która czegoś mnie nauczyła, był mój mąż, inżynier budownictwa. Jednak w okresie intensywnych przemian gospodarczych zajął się bardzo dla nas interesującą i nową problematyką ustalania wartości nieruchomości. Podjął on we współpracy ze mną trud utworzenia nowego zawodu rzeczoznawcy majątkowego i uregulowania problemów z tym związanych w drodze bardzo ważnej ustawy o gospodarce nieruchomościami. Ja poszłam tutaj jeszcze dalej i zaangażowałam się w tworzenie innych zawodów nieruchomościowych: pośrednika w obrocie nieruchomościami i zarządcy nieruchomościami. Zawody te utworzono, ale niestety usunięto regulacje tych zawodów z ustawy.

Umiejętnością, którą także zdobyłam dzięki mojemu mężowi było budownictwo, które przydało mi się przy nadzorowaniu budowy naszego domku letniskowego, a prawdziwy podziw kamieniarza wywołałam wówczas, gdy zażądał on podania mu odpowiedniego kamienia, a „taka prefesorka” dała mu kamień bardzo właściwy, bo łączący dwa dolne kamienie.

Powinnam chyba także wspomnieć o nauczaniu się przeze mnie wielu, wielu zasad i konieczności od moich dzieci. Ale cóż! Znęcałam się przecież nad nimi, podając w moich wykładach z prawa rodzinnego casusy rodzinne z ich udziałem, więc tutaj tego nie zrobię. Muszę jednak podziękować im bardzo za tyle lat, w czasie których mamy wiele kontaktów, ja uczę się od nich wielu rzeczy, które ułatwiają mi życie, jestem bardzo zadowolona z ich prac, które są efektem ich wolnego wyboru, ale które są bardzo ciekawe, więc bardzo je cenię.

Okazuje się jednak, że to nie jest wszystko. Nie mogę przecież przedstawić tylko rodzinnych autorów mojego wykształcenia. Mogę jednak dodać tylko niektórych. Jeśli chodzi o Uniwersytet Jagielloński to chodzi tutaj o tych, którzy prowadzili mnie w czasie studiów, to muszę dodać tutaj Pana Prof. dr. hab.

Lesława Paulego, który oceniał moją pracę magisterską oraz spowodował moje dalsze zainteresowania naukowe, a nawet chciał, abym zajęła się u niego doktoratem historycznym. Ponieważ początkowo pracowałam w Filii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Katowicach, która przekształcona została w Uniwersytet Śląski w Katowicach i zdałam egzamin sędziowski w Sądzie Wojewódzkim w tym mieście, zmieniłam swe zainteresowania naukowe i przeszłam do Katedry Prof. dr. hab. M. Sośniaka z prawa cywilnego. [...]

W zakresie mojej działalności literackiej moimi patronami byli znakomici pisarze i poeci, jak Wilhelm Szewczyk, Tadeusz Kijonka i Feliks Netz.

Bardzo ważną umiejętnością była dla mnie znajomość języków obcych. Wśród tych języków, z punktu widzenia mojej działalności naukowej, szczególne znaczenie miały dla mnie angielski i niemiecki i to nie tylko z powodu korzystania z koniecznej dla mnie literatury, zwłaszcza w tych dwóch językach, ale także możliwości nawiązywania bezpośrednich kontaktów ze wspianymi uczonymi z wielu krajów, ale także z bardzo miłymi ludźmi, w warunkach zupełnie niespodziewanych. Pozostawałam z nimi w wieloletnich przyjaźniach. Do dzisiaj często odzywają się oni w mej pamięci, nawet wówczas, gdy nie mam możliwości zobaczenia się z nimi. Znajomość języka umożliwiła mi zapoznanie się także z takimi krajami jak: U.K., Kanada, Południowa Afryka. Natomiast poznanie języka niemieckiego ułatwiła mi współpraca mojego Uniwersytetu (Śląskiego) z Uniwersytetem w Trewirze, gdzie uczestniczyłam w miesięcznym kursie języka i kultury niemieckiej, oraz z Uniwersytetem w Wiedniu, gdzie ukończyłam letni kurs pt. *Recht an Grunt und Boden*, co umożliwiło mi współpracę wykładową z niektórymi szkołami dotyczącymi zawodów nieruchomościowych w Austrii i Niemczech.

Poza tymi dwoma językami poznałam bliżej także rosyjski, urzeczona tekstami Puszkina, Lermontowa, a przede wszystkim Jesienina, oraz muzyką takich kompozytorów jak Czajkowski, Musorgski, ale także Prokofiew czy Szostakowicz. Było to spowodowane tym, że lektorem tego języka był nauczyciel w liceum, który przyjechał do nas tuż po ukończeniu swoich studiów w Leningradzie (obecnie w Sankt Petersburgu), a był on kopalnią nie tylko tekstów bardzo znanych, klasycznych autorów, ale potrafił, mówiąc pięknym rosyjskim językiem, zapoznać nas z obyczajowością rosyjską, tak przecież inną, aniżeli nasza.

Leonard

Kiedy mówimy o edukacji, w pierwszej kolejności przychodzi nam na myśl przedszkole lub szkoła. To tam stawiamy swoje pierwsze kroki jeśli chodzi o naukę czytania, pisania czy liczenia. Tam nabieramy umiejętności i wiedzę z poszcze-

gólnych przedmiotów, rozbudzamy swoje pasje i zainteresowania, które potem wyznaczają naszą ścieżkę zawodową. Nie nauczymy się tam jednak życia i tak naprawdę nasza droga edukacyjna to nie tylko instytucje. Uczymy się każdego dnia i nie tylko z książek, a od naszych rodziców, rodzeństwa, kolegów czy po prostu z sytuacji, jakie życie nam przynosi.

Moimi pierwszymi i najważniejszymi nauczycielami byli moi rodzice. Mój tata był rolnikiem, właścicielem gospodarstwa rolnego. Był bardzo pracowity, ale i wyrozumiały dla ludzi. Pokazywał mi, jak poznawać świat przyrody i życie w obejściu gospodarczym. Nauczył mnie pracowitości, sumienności, cierpliwości oraz poszanowania ludzi i przyrody. Moja mama natomiast była bardzo spokojna i cierpliwa. Pomimo pracy w gospodarstwie, zawsze znajdowała czas dla nas i odpowiadała na nasze pytania. Nauczyła mnie i rodzeństwo, że rzeczy muszą być ułożone na swoim miejscu, że ważny jest porządek. Pozostało to we mnie do dziś.

Pochodzę z małej miejscowości, a co za tym idzie miałem daleko do szkoły. Każdego dnia musiałem wstawać wcześniej rano, żeby przejść 3 km do szkoły, bez względu na warunki pogodowe. Musiałem być dzielny, nieraz jako dzieciak byłem zmęczony. Nauczono mnie jednak, że są pewne obowiązki, które muszą być spełnione. Takim obowiązkiem była także pomoc rodzicom w pracach na polu czy w domu. Od małego chłopca wiedziałem, że nic się samo nie robi. Nie było miejsca na marudzenie, bez względu na zmęczenie praca w domu i zadania szkolne musiały być wykonane. I tak mi zostało w życiu dorosłym. W pracy skupiałem się jedynie na moich zadaniach. Myślę, że taki sposób wychowania i rytm życia nauczył mnie pracowitości i obowiązkowości. Wychowałem się w rodzinie wielodzietnej. Miałem 3 siostry i jednego brata. Byłem najstarszy z rodzeństwa. Żyliśmy ze sobą bardzo blisko, byliśmy ze sobą związani, musieliśmy się troszczyć o siebie nawzajem. Przez całe moje życie starałem opiekować się moimi najbliższymi, wiedziałem że poza pracą jest też rodzina, z którą spędzałem czas.

Szkoła oprócz nauki pozwala spotkać pierwszych kolegów. Tutaj człowiek uczy się, czasem ze łzami albo z poczuciem krzywdy, że jedni w życiu będą dla nas mili, innych musimy omijać a jeszcze inni, niestety nieliczni, zostaną naszymi kolegami na całe życie. Szkoła średnia oprócz wiedzy pokazała mi, co to znaczy praca w grupach (zespołach) zainteresowań oraz jakie daje to pozytywne korzyści.

Życie nauczyło mnie, że jest ciągłą zmianą. Pierwszy raz przekonałem się, kiedy wyjechałem z rodzinnego domu do miasta do pracy. To uczy, że czasem trzeba opuścić to, co jest nam bliskie, po to, żeby znaleźć swoje miejsce w życiu, poznać nowych ludzi, znaleźć siebie.

Początki są bardzo trudne, ogromna tęsknota za rodziną i miejscem wychowania. Ale życie pokazało mi, że jestem silny i mając bazę w postaci wspierającej rodziny jestem w stanie podjąć trudne decyzje. Z czasem pojawiały się mniejsze

i większe zmiany w moim życiu, było trudno, ale nauczyłem się, że czasem jest trudno, ale z czasem dają sobie radę.

Z kolei praca jako pracownika serwisu sprzętu medycznego dała mi to, że swoje obowiązki należy wykonywać sumiennie, bo od tego zależy życie ludzkie. Bardzo starałem się poznawać różne nowinki techniczne, by być na bieżąco w swojej dziedzinie.

Jednym z największych moich doświadczeń, można powiedzieć edukacyjnych, było założenie przeze mnie własnej rodziny. To uczy bardzo dużo o drugim człowieku. Od tego momentu wiemy, że już nie jestem ja, ale my. Uczymy się, że nasze potrzeby i nasz punkt widzenia to niekoniecznie jest punkt widzenia naszej drugiej połówki. Wiem, że tylko w ten sposób możemy stworzyć rodzinę. Wyrabiamy w sobie umiejętność współpracy i kompromisów z drugim człowiekiem. I to jeśli chodzi o żonę, ale i o dzieci. Dzieci bardzo szybko nauczyły nas, że potrzebują dużego wsparcia, ale ich pomysły na życie różnią się od naszych. To uczy bardzo, że trzeba spoglądać na świat nie tylko ze swojej perspektywy.

Bardzo dużo nauczyły mnie podróże do obcych krajów. Podróżowałem po Europie i to nauczyło mnie szacunku do innych kultur. Poczucie, że ludzie są naprawdę różni. Świat jest piękny.

W całym życiu zdarzyło mi się wiele pięknych momentów, ale i przykrych. Z perspektywy wiem, że życie to pasmo zmian, raz dobrych raz złych, ale nie możemy się poddawać, musimy zawsze wierzyć, że będzie dobrze. Nie raz tak było i trwam nadal. Wszystkie te doświadczenia dają nam mądrość życia. Myślę, że fakt, że od dziecka byłem nauczony pracy, obowiązkowości i bycia aktywnym teraz jest dla mnie naturalne, że nadal korzystam z życia. Uczestnictwo w UTW jest dla mnie niesamowitym doświadczeniem. Jest to jedyna w swoim rodzaju instytucja edukacyjna, ale w tym miejscu jak nigdzie indziej bardziej liczą się wzajemne doświadczenia życiowe i dzielenie się nim z innymi. Pokazuje, że bez względu na wiek nadal moja ścieżka edukacyjna trwa.

Ewa Szpiek

Na imię mam Ewa. Skończyłam 68 lat. Kawał życia już za mną, a wydaje się jakby minęła chwila. Ciągle mi go mało. Tak wiele chciałabym jeszcze zobaczyć i zrozumieć, tak wiele się nauczyć.

Idąc przez życie, nie przestaję się zachwycać, jak piękny jest nasz świat i jacy niezwykli są ludzie. Dzięki swoim talentom, nauce i pracy odkrywają dla nas to, co pozwala światu iść do przodu w różnych dziedzinach życia.

Kiedy zaczęłam zastanawiać się nad moją drogą edukacyjną, uświadomiłam sobie, że nie jest to tylko jedna droga, lecz wiele odrębnych ścieżek.

Pierwszymi moimi nauczycielami byli rodzice, babcia Wisia i moje rodzeństwo. Miałam bardzo fajną rodzinę. Kochali mnie i wychowywali. W domu nie było awantur ani pijaństwa. Przez tatę i babcię byłam rozpieszczana. Nauczyłam się płaczem i smutną miną osiągać swoje cele. Z mamą nie było tak łatwo. Nauczyła mnie, że nie zawsze dostanę w życiu, to czego chcę. Od braci nauczyłam się zaciskać zęby i nie pokazywać jak boli, kiedy bolało (bo np. przewróciłam się i obdarłam do krwi kolana) lub jak trzymać język za zębami, kiedy dopuszczali mnie do swoich tajemnic.

Dużo dobrego wyniosłam z domu. Rodzina towarzyszy mi przez całe moje życie. W międzyczasie przybyło mi jeszcze dwóch braci i siostra. Umarli: brat, babcia, tato i inni członkowie mojej ukochanej rodziny. Wysłałam za męża. Urodziłam i wychowałam córkę i syna. Uczyliśmy ich z mężem tego, czego nauczyło nas życie. Dzisiaj jestem z nich bardzo dumna. Mam też wspaniałe wnuki, z którymi mogę dzielić się swoją wiedzą.

Drugą bardzo ważną ścieżką mojej edukacji były szkoły, do których uczęszczałam. Zdobywałam wiedzę i nauczyłam się przede wszystkim samodzielnie myśleć, a zdobyta wiedza przełożyła się na jakość mojej pracy zawodowej. Dzięki temu, jak również ciągłemu dokształcaniu się, mogłam wykonywać zawody, które bardzo się od siebie różniły. Pracowałam w biurze projektów jako konstruktorka, potem zrobiłam aplikację na urzędnika i pracowałam w urzędzie, następnie przez wiele lat prowadziłam własną działalność gospodarczą.

Szybko przyswoiłam sobie jak ważna jest nauka. Zdobywaniu wiedzy nie można powiedzieć stop. W życiu uczymy się ciągle czegoś nowego i nie ma nic odkrywczego w tym, że stojąc w miejscu, cofamy się.

Inne ścieżki, z których czerpię wiedzę, to media. Tutaj mamy mnóstwo możliwości. Media codziennie zalewają nas nowymi informacjami. Wystarczy z nich umiejętnie korzystać, a mogą być dla nas prawdziwą kopalnią wiedzy.

Moją ulubioną formą nauki są też od zawsze książki. Z tych ostatnio przeze mnie przeczytanych, które zapadły mi w pamięć, to np. *Genialni*. Lwowska Szkoła Matematyczna M. Urbanka, *Wielki wybuch* Simona Singha, *Żydzi*, autorstwa Piotra Zychowicza i jeszcze wiele innych.

W dziedzinie sztuki to wystawy, koncerty, muzea, kino itp.

Bardzo lubię też wyjazdy na wycieczki. Wszyscy znają powiedzenie, że „podróże kształcą”. W tym temacie ciągle czuję niedosyt i jak długo mi na to zdrowie pozwoli, będę podróżowała.

Gromadzimy wiedzę latami z różnych źródeł, w końcu sami stajemy się jej źródłem. Zabrzmiało to trochę zarozumiale, bo przecież tak naprawdę ciągle wiemy tak niewiele. Isaac Newton napisał: *Co my wiemy, to tylko kropelka. Czego nie wiemy, to cały ocean*.

W 2022 r. odkryłam jeszcze jedno źródło wiedzy. Pozwala mi ono uczyć się, jak czerpać radość z życia, To jest UNIWERSYTET TRZECIEGO WIEKU. Od kiedy zostałam studentką UTW uczestniczę w wykładach i innych zajęciach. Spotykam się z ludźmi i jest mi z tym bardzo dobrze. Częściej uśmiecham się sama do siebie.

Piotr Woźny

Moja droga edukacyjna? Czego się nauczyłem? Zaczniemy od zaczepki: jakoby historia każdego człowieka jest jak rzeka, wypływa ze źródła, płynie spokojnie naprzód, zmierza do celu i: umarł w butach.

Do kitu z taką filozofią. Ja, świadomie, wybrałem ocean, wściekły i wzburzony, jak w *Przygodach Sindbada Żeglarza* Bolesława Leśmiana. Pokochałem jego książkę, a w konsekwencji jego poezję, koloryt, przepiękną polszczyznę, którą epatował ten skromny księgowy, Żyd, mikrej postury. A zarazem wielki, rozumny i wspaniały człowiek oraz Twórca i Poeta.

Wiecie czego mnie to nauczyło? Tolerancji, empatii i szacunku dla wszystkich ludzi, odmiennych kultur, odmiennych światopoglądów i religii.

Taka jest siła książki, a z nią siła wyobraźni i marzeń. Kiedy się to wszystko zaczęło? Kiedy miałem siedem lat!

Konsekwencją była Trylogia Mistrza Henryka, historia Piastów i Jagiellonów Jasienicy, *Bajki robotów* wielkiego wizjonera Stanisława Lema, a w wieku dwunastu lat: *Hitler: studium tyranii* Alana Bullocka, potem setki innych, pasjonujących pozycji literackich, dokumentalistycznych, oscylujących w tematyce militarnej, *political fiction*, *science fiction*, itp.

Ot, tak sobie biegam po klawiszach komputera, nie rozpędzam się, zejdźmy parę spacji w dół...

Się posypało:

uczelnia wojskowa, specjalizacja: materiały wybuchowe, szybkie przeprawy przez przeszkody wodne i pola minowe, fajny hardcore, dalej studia, pedagogika, filozofia etyki, kulturoznawstwo.

Dalej, kontrwywiad, fantastyczne kontakty, niewiarygodna przygoda życia... więcej nie mogę pisać...

Przejdźcie do rezerwy, praca: korporacja, bank, zwalczanie przestępczości wewnętrznej bankowej, prowadzenie szkoleń... i znowu na wzburzonym oceanie...

A teraz... przygoda, jaka mi się przydarzyła miała swoje konsekwencje. Krótko, żaden ze mnie Indiana Jones, ale dwadzieścia pięć lat spędziłem poza domem. Było, minęło. Niczego nie osiąga się bez wyrzeczeń.

Wracając do leitmotiv'u tej krótkiej rozprawki z samym sobą: moja droga edukacyjna: to książki, to kontakty z innymi ludźmi, to otwarcie na świat, tolerancja, szacunek dla odmienności, empatia i uśmiech, to pragnienie poznawania, to pragnienie miłości i ryzyka.

Bardzo bym chciał, aby edukacja była wolna od schematów, aby dawała szansę każdej, odmiennej osobowości, bez względu na wiek, predyspozycje i status społeczny. Takim utylitarnym projektem, czyli co pożyteczne, to dobre, jest UNIWERSYTET TRZECIEGO WIEKU!

Wspaniale, że znalazłem miejsce w tej fantastycznej społeczności!

Słuchaczka I roku

[...] Przed rozpoczęciem edukacji formalnej, czyli zanim poszłam do przedszkola, a później do szkoły podstawowej, moi rodzice nauczyli mnie wielu rzeczy, w tym między innymi chodzić, mówić, posługiwać się sztucami, ubierać się i myć. Dom rodzinny to pierwsze miejsce mojej edukacji. Tutaj wzrastałam i rozwijałam się pod każdym względem: fizycznym, psychicznym, emocjonalnym i duchowym. W miarę upływu czasu uczyłam się wielu czynności przydatnych w życiu codziennym, jak choćby dbania o swój wygląd zewnętrzny, odpowiedniego zachowania w danej sytuacji, dobrych manier, szacunku do ludzi, miłości, określonych postaw oraz, co bardzo ważne, komunikacji z innymi.

Kiedy poszłam do szkoły moja edukacja zmieniała się. W pierwszych latach nauczyłam się pisać, czytać i liczyć. Uczyłam się też życia w grupie rówieśniczej, w szkolnym społeczeństwie. W miarę dorastania moje potrzeby i oczekiwania były zawsze innego rodzaju. Rozwijałam się adekwatnie do wieku i środowiska, w którym przebywałam i z którego czerpałam wzorce.

W szkole podstawowej miałam bardzo dobrych nauczycieli. Nie pamiętam, żeby jakiś uczeń był upokorzony, zawstydzony, prześladowany czy pozostawiony bez wsparcia i pomocy. Oczywiście były to inne czasy, takie kiedy nauczyciel cieszył dużym autorytetem zarówno wśród dzieci jak i rodziców. Ale to nie nauczycieli zapamiętałam najbardziej, ale panią, która prowadziła zespół taneczny. Należałam do tego zespołu. Występowałyśmy na wielu akademiach tańcząc wymyślone wspólnie z panią układy taneczne w sukienkach jej pomysłu i w jej własnoręcznym wykonaniu. To właśnie te występy dawały mi ogromną radość i pozwoliły mi przełamać wielką treść, jaką zawsze miałam przed publicznymi występami.

Szkoła podstawowa to również czas na podejmowanie aktywności sportowej. Szkolne koła sportowe prowadziły różnego rodzaju zajęcia sportowe, w których brałam udział. Grałam w piłkę ręczną, koszykówkę oraz uprawiałam lek-

koatletykę. Gry zespołowe integrowały nas, zacieśniały relacje w naszej grupie uczniowskiej.

Jako młoda osoba żyłam dniem codziennym. Nie zastanawiałam się specjalnie nad tym, co będzie gdy będę dorosła. Pamiętam, że dla nas młodych bardzo ważni byli rówieśnicy, nawiązywałyśmy wiele relacji koleżeńskich, które na tym etapie życia były istotnym jego elementem. Uczyliśmy się też od siebie nawzajem wielu rzeczy i zachowań, tych dobrych i tych złych. W szkole, pewnie jak każdy uczeń, byłam zazdrosna o stopnie, o fajną nową sukienkę koleżanki, często rywalizowałam z innymi. Teraz to uczucie nie towarzyszy mi, ponieważ jestem już osobą dojrzałą i świadomą tego, kim jestem, znam swoją wartość.

Szkoła średnia to czas zarówno zabawy jak i nauki. Chodziłam do III Liceum Ogólnokształcącego we Wrocławiu, które wówczas było jedynym we Wrocławiu liceum o profilu matematyczno-fizycznym. W jakimś stopniu na wybór szkoły średniej o tym profilu miała wpływ opinia nauczycielki matematyki w szkole podstawowej. Odpowiedziała to moim rodzicom. Ta decyzja miała również wpływ na wybór wyższej uczelni. [...]. A może, gdyby nie było takiej wybrałabym np. biologię, którą też lubiałam? Ten przykład już dawno uświadomił mi, że w naszych życiowych decyzjach i wyborach ogromny wpływ miało najbliższe środowisko – rodzina, znajomi, koleżeństwo itd. Dlaczego? Wydaje mi się, że nie byliśmy jeszcze wystarczająco niezależni i świadomi świata i siebie. I tak było w moim przypadku. W tamtym czasie nie potrafiłam jeszcze sama podejmować tak odpowiedzialnych i trudnych decyzji. Niemniej jednak, patrząc wstecz, myślę, że moje decyzje były bardzo dobre.

Po skończeniu szkoły średniej dostałam się na Politechnikę Wrocławską na Wydział Elektryczny. Prawie pięcioletnie studia na Politechnice Wrocławskiej wymagały od studentów ciężkiej pracy, w sensie ilości czasu, który należało spędzić na nauce. Nie było wówczas „szybkich” i dostępnych komunikatorów – telefonów komórkowych, komputerów, internetu. Brak tych udogodnień ograniczał nam czas, który moglibyśmy poświęcić na naukę lub inne zajęcia. Pamiętam jak staliśmy całymi popołudniami stłoczeni przed oszkloną tablicą informacyjną zwaną gablotką i przepisywaliśmy ręcznie, umieszczone wewnątrz niej przez osoby prowadzące różne ćwiczenia, zadania do wykonania w domu. To była niezła nauka szybkiego pisania. Liczne wykłady i ćwiczenia zajmowały praktycznie cały tydzień.

Pierwszy rok studiów był bardzo pracowity. Tylko pozytywnie zaliczone wszystkie kolokwia umożliwiały przystąpienie do egzaminów, a ich zdanie było warunkiem zakwalifikowania studenta do kolejnego semestru. Ale systematyczność i skupienie na nauce opłacała się. Zaliczyłam nie tylko pierwszy rok ale i kolejne bez większych problemów.

Bardzo lubiłam wykłady z Miernictwa Elektrycznego. Prowadził je pan profesor Zbigniew Orzeszkowski. Był bardzo dobrym, zawsze świetnie przygotowanym wykładowcą, cierpliwym egzaminatorem, chętnie pomagającym studentom zarówno w ćwiczeniach praktycznych (laboratoryjnych), jak i w teorii. Zawsze serdeczny i otwarty. Szanował studentów a my jego. Byli też inni wspaniali wykładowcy, ale tego wykładowcę zapamiętałam szczególnie. Ze studiów pozostały mi wspaniałe wspomnienia. Oprócz wielu nowych znajomości, które przetrwały do dzisiaj, na studiach nauczyłam się obowiązkowości, samodyscypliny, odpowiedzialności za siebie, stałam się osobą dojrzałą i samodzielną. Tutaj też poznałam swojego męża.

Kolejnym etapem w moim życiu była praca zawodowa, którą podjęłam po urodzeniu i „odchowaniu” dwójki dzieci. To czas największej mojej edukacji zarówno pod względem merytorycznym, w zakresie przedmiotu mojej pracy, jak i życiowym. Również ciągle doksztalałam się, skończyłam np. studia podyplomowe kierunku Prawo Inwestycyjne na Uniwersytecie Wrocławskim. Zmieniały się przepisy prawne dotyczące prowadzenia inwestycji, wobec tego na bieżąco brałam udział w licznych szkoleniach w tym zakresie. W tym okresie spotykałam bardzo wielu różnych ludzi, którzy mieli często inne zdanie niż ja, inne spojrzenie na te same sprawy. Właśnie takie sytuacje uczyły mnie umiejętności współpracy w zespole, skuteczności w negocjacjach, sztuki argumentowania i orientacji na osiągnięcie celów. Z perspektywy czasu już jako osoba dorosła widzę te same rzeczy i sytuacje zupełnie inaczej. Patrząc na wiele spraw wieloaspektowo, wielowymiarowo i wszędzie widzę człowieka, którego już nie osądzam.

Staram się patrzeć na życie pozytywnie, świadomie kroczyć drogami, które często prowadzą do pięknych miejsc i ciekawych ludzi. Przykładowo tym pięknym środowiskiem mojego życia jest dla mnie moja rodzina, krąg dobrych starszych znajomych, a obecnie Uniwersytet Trzeciego Wieku. Decyzja o przystąpieniu do UTW była w moim przypadku przemyślana i świadoma. Oprócz chęci poznania innych ludzi miałam nadzieję na pogłębienie już posiadanej wiedzy oraz dalszy rozwój osobisty. Uczęszczając na zajęcia w UTW zmieniłam swoją jakość życia „in plus”. Lepiej zaspokajam swoje różne potrzeby, m.in. uczęszczam na zajęcia gimnastyki pleców (zdrowie), uczę się języka angielskiego (wiedza, komunikacja, podróże), uczestniczę w zajęciach psychologicznych (poznanie siebie i innych, zachowań, postaw, mechanizmów decyzji itd., itp.) a przede wszystkim staram się budować nowe pozytywne relacje z nowo poznanymi ludźmi.

Już po pierwszym semestrze wykładów na UTW dowiedziałam się lub poszerzyłam swoją wiedzę między innymi z medycyny, psychologii, filozofii, geologii, astronomii, zdrowego odżywiania. Te wszystkie zdobyte informacje, oprócz oczywistych nowych walorów poznawczych, uczą mnie również odpowiedzial-

nego i głębszego spojrzenia na życie i otaczającą mnie rzeczywistość a przez to, jako człowiek bardziej świadomy, czuję się po prostu lepiej.

Powiedzenie, że człowiek uczy się przez całe swoje życie, często jest niezrozumiałe, zwłaszcza dla bardzo młodych ludzi. W całym naszym życiu nie jest tak, że uczymy się tylko w szkole, w okresie życia na to przeznaczonym, a później już znamy rozwiązanie wszystkich problemów. Żyjemy w okresie nieustannych różnych przemian, dynamicznych i coraz szybszych. Wszelkie nowości zaraz staną się „starociami” i te zachodzące wokół procesy również dopingują mnie do poznawania nowych rzeczy by zrozumieć świat w każdej chwili, oraz w jakiś sposób dostosować się do nowego. [...]

Na obecnym etapie życia, kiedy myślę o tym, co już osiągnęłam, co przeżyłam, co mogłabym zrobić inaczej, a czego nie zrobiłam, mój bilans życia jest ciągle pozytywny. Staram się nie oglądać za siebie i nie wracać do wszystkich minionych okresów. Chcę cieszyć się dniem dzisiejszym i ufnie, pełna wiary w dobro patrzeć w przyszłość. Mam szacunek do siebie i innych ludzi, ponieważ jestem świadoma swoich mocnych i słabych stron, swoich wad i zalet.

Nie chcę być uciążliwa dla innych, dlatego dbam o swoje ciało, umysł i ducha. Na uwadze mam przysłowie hinduskie mówiące, że każdy z nas jest domem z czterema pokojami – ciała, umysłu, emocji i ducha. Człowiek mądry każdego dnia odbywa wędrówkę odwiedzając każde z pomieszczeń. Ja świadomie staram się być obecna w każdym z nich codziennie:

- pokój ciała – np. dużo chodzę, nie jeżdżę często samochodem, ćwiczę, smacznie i zdrowo jadam, uczę się, dbam o finanse, odpoczywam,

- pokój relacji – np. staram się nie tłumić swoich emocji, cenię i szanuję przyrodę, nawiązuję nowe wzbogacające mnie relacje, rozwijam swoje pasje, lepiej wyrażam siebie, jestem asertywna,

- pokój umysłu – np. zdobywam nową wiedzę i aktualizuję wiedzę już posiadaną, czytam i piszę, uczęszczam teraz na UTW, ćwiczę sprawność umysłową, poszerzam swoją percepcję postrzegania, swoją świadomość, formułuję swoje cele,

- pokój ducha – np. doceniam piękno, chodzę na wydarzenia kulturalne, marzę, doceniam etykę i moralność u innych, medytuję, dbam o rozwój duchowy.

Poprzez takie świadome codzienne przebywanie w poszczególnych pokojach, sądzę, że podnoszę swoją jakość życia, staję się człowiekiem lepiej spełnionym, pełną życia, żyję w harmonii ze sobą i otaczającym mnie Wszechświatem.

Jestem głęboko przekonana, że to niekończąca się droga i moja edukacja jeszcze się nie zakończyła. Wierzę, że nigdy się nie skończy i to jest moim celem życiowym.

Moje doświadczanie uniwersytetu trzeciego wieku – ja jako słuchacz UTW w UW

Jolanta Kamińska

Tak naprawdę to powinnam pisać na inny temat, bo byłoby mi znacznie łatwiej formułować zdania. Ale przecież moja przekorna natura podpowiada inaczej. Na rozmowę wstępną zapisałam się w ostatniej chwili. Był to impuls a nie przemyślana, metodycznie przygotowana decyzja.

Na rozmowę poszłam spięta i czułam się tak, jakbym przystępowała do bardzo ważnego egzaminu. Miałam ułożone w nocy expose, które wg mnie miało zapewnić stuprocentową skuteczność w znalezieniu się w grupie słuchaczy pierwszego roku UTW.

Sympatyczne powitanie, ciepły uśmiech członków komisji spowodowało, iż całe napięcie mnie opuściło i zaczęłam rozmawiać a nie przemawiać.

A potem INAUGURACJA, wręczenie indeksów i legitymacji. Wzruszyłam się bardzo, z trudem powstrzymywałam łzy (a przecież ze mnie „twarda sztuka”). Występ Grupy Biesiadnej uatrakcyjnił tę uroczystość. Radośnie i skocznie niemalże natychmiast zintegrował „pierwszaków”.

Dobrym pomysłem jest noszenie imiennych identyfikatorów – tak niewiele a wiele. Koniec z anonimowością.

No i do dzieła.

Zaplanowałam sobie udział we wszystkich zajęciach stacjonarnych tj. wykładach audytoryjnych, wykładowych cyklach tematycznych, warsztatach, lektoratach taka byłam „głodna” nowej wiedzy, posłuchania pięknej polszczyzny.

Po kilkudziesięciu latach pracy w środowisku trudnym, patologicznym, często z osobami uzależnionymi, karanymi, o niskim poziomie wykształcenia, mój zasób słów zubożał. Ponadto pandemia i izolacja zrobiły swoje.

Niestety, szybko musiałam zweryfikować swoje plany. Moja mama w trybie pilnym poddana była operacji onkologicznej. Dość szybko została wypisana ze szpitala i zamieszkała ze mną, bowiem wymagała całodobowej, intensywnej opieki.

Chciałam zrezygnować z UTW, ale opiekun roku dr hab. Małgorzata Derkacz odwiodła mnie od tego.

Tak więc opracowałam sobie program minimum. Na UTW mogę studiować wiele lat, bez ograniczeń, zatem wszystko mogę nadrobić.

Nie udało mi się rozpocząć zajęć z lektoratu j. angielskiego, ponieważ lista osób przyjętych na kurs dla początkujących bardzo szybko zapełniła się. Zo-

stałam zapisana na kurs podstawowy. Byłam tylko na jednych zajęciach i zrezygnowałam. W grupie tej wszyscy już w miarę swobodnie posługiwali się tym językiem. Spróbuję w następnym roku akademickim dostać się do grupy dla początkujących.

Z przyjemnością i zaciekawieniem słuchałam wykładów pod nazwą „Aktywność edukacyjna późnej dorosłości” prowadzonych przez panią kierownik UTW dr Magdalenę Wnuk-Olenicz. Moja wiedza na temat okresu późnej dorosłości była niewielka i raczej teoretyczna. Wykłady dały mi odpowiedź jak czuć się bezpiecznie w świecie pełnym stresu i presji, utrzymania jak najdłużej samodzielności i niezależności, zapewnić sobie lepszą jakość życia oraz jak zdobywać kompetencje, które umożliwiają rozwiązywanie problemów, które przynosi życie.

Natomiast dr Tomasz Frąckowiak w ramach cyklu „Psychologia późnej dorosłości” zainspirował mnie do weryfikacji poglądów odnośnie do starości. Przedstawienie badań doświadczeń osób długowiecznych przeprowadzonych przez zespoły badawcze w różnych krajach, a także w Polsce zaskoczyły mnie rolą religijności i duchowości w życiu stulatków, wykorzystaniem mechanizmów radzenia sobie w stresujących wydarzeniach życiowych opartych na religijności.

Pan Leszek Grudziński obudził mój „muzyczny apetyt”. Z werwą i swadą prowadził „Spotkania z muzyką”, zaś prof. dr hab. Andrzej Ładyżyński spowodował, iż częściej uśmiecham się do zięcia.

Żałuję, że nie mogłam uczestniczyć w żadnych warsztatach. Nie zapisałam się też do żadnej sekcji.

Na jednym z dyżurów obowiązkowych dla „pierwszaków” poznałam Ewę. Po krótkiej rozmowie stwierdziłam, że mamy podobne doświadczenia i byłyśmy o krok od „depresji emerytalnej”. Teraz nie wyobrażam sobie siedzieć na zajęciach obok innej osoby, wymieniamy się spostrzeżeniami odnośnie do zdobytej, nowej wiedzy, refleksją nad biegiem życia. Zachęcam ją (jeszcze nie udało mi się) do udziału w gimnastyce ogólnousprawniającej, prowadzonej przez p. Pawła Batora. Profesjonalizm, zaangażowanie i serce, jakie wkłada w prowadzone zajęcia, powodują, iż zapomina się o wieku. Dąży do sytuacji, w której ciało i umysł są gotowe na pożądane działanie. Muszę i chcę systematycznie wykonywać poznane ćwiczenia, choć nie ukrywam, iż czasami zwycięża lenistwo.

Chcę poszerzać i pogłębiać wiedzę, realizować swoje zainteresowania, kontynuować nawiązywanie nowych relacji z innymi słuchaczami UTW. Wierzę, iż przede mną jeszcze wiele ciekawych zdarzeń, wierzę w możliwości pokonania wielu trudności i przeszkód, bowiem mam wsparcie życzliwych ludzi wokół.

Już wiem, że UTW jest dla mnie ważny.

Elżbieta Klaus

Uczestnictwo w zajęciach Uniwersytetu Trzeciego Wieku zaplanowałam już 10 lat przed ostatecznym przejściem na emeryturę – zaraz po osiągnięciu wieku emerytalnego, czyli 60. r.ż. Nie wiedziałam i nie planowałam, ile lat będę jeszcze pracowała, ale doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że mój emerycki czas wolny nie może być czasem wolnym w rozumieniu wielu koleżanek i kolegów.

[...] Kiedy teraz patrzę wstecz, widzę życie jako swoje mieszkanie, a spędzone w nim okresy są pokojami umieszczonymi w amfiladzie, z których kolejno przechodziłam – z jednego do następnego, ze zdobytym w poprzednich – doświadczeniem i wiedzą. Nie zatrzaśkiwałam drzwi za sobą, jedynie je lekko przymykałam, aby mieć możliwość bycia w drugim bez urazu i żalu. A teraz na końcu tej amfilady znalazłam się w pokoju, z którego przechodzę do „tajemniczego ogrodu”. Bo dla mnie czas emerytury, to właśnie ten tajemniczy ogród, do furtki którego znalazłam, czekający na mnie od 10 lat, klucz. Ogród jest zdziczały i nie uprawiany a więc wymaga pielęgnacji, organizacji i umiłowania. Nigdy nie przepadałam za pracą w ogrodzie, ale ten jest mój własny i czuję przyjemność, że mogę wszystko w nim „de novo” organizować. Nie koncentruję się tylko na sobie, tak jak nigdy nie chciałam wybierać pomiędzy rodziną a pracą – zawsze wszystko starałam się łączyć przy ogromnym zaangażowaniu mojej rodziny: męża i dzieci. Teraz także rodzina i czas emerytalny to uzupełniające się różne sfery życia. Ale dopiero teraz zdaję sobie sprawę jak ważne w życiu człowieka jest postępowanie zgodnie z sentencją Waltera Hagana:

*Nie spiesz się,
nie martw się, jesteś tutaj tylko
z krótką wizytą.
Dlatego nie zapomnij
zatrzymać się, aby wchłonąć
zapach kwiatów.*

Uprawianie mojego „ogrodu” rozpoczęłam od zapisania się/złożenia dokumentów/przyjęcia mnie do społeczności Uniwersytetu Trzeciego Wieku w UW. Dlaczego UTW w UW? Ponieważ jestem absolwentką Uniwersytetu Wrocławskiego – a więc sentymentalne podejście z jednej strony a z drugiej – największy wśród wrocławskich UTW (sprawdziłam) wachlarz oferowanych słuchaczom aktywności edukacyjnej, kulturalnej i fizycznej oraz brak ograniczeń w określaniu lat korzystania z zajęć. Wszyscy są słuchaczami dotąd, dopóki mogą i dopóki chcą – to jest ich/nasz wybór. Bez względu na wiek i liczbę lat studiowania jesteśmy koleżankami/kolegami, mówimy sobie po imieniu, mimo że stanowi to pro-

blem ze względu na liczbę słuchaczy i częstotliwość spotkań, ale z tymi osobami, z którymi mamy częstszy kontakt poprzez uczestniczenie w tych samych cyklach wykładowych, w spotkaniach w ramach klubów, sekcji lub warsztatów, czy na lektoratach lub zajęciach fizycznych zapamiętanie imion nie stanowi – już po prawie dwóch semestrach – problemu. Na pewno wspaniałym rozwiązaniem we wzajemnym poznawaniu są identyfikatory – niestety, tylko na początku pierwszego semestru słuchacze pierwszego roku (tylko) je nosili i stopniowo o nich zapominali, a szkoda. Czy, a więc nie tylko wszyscy słuchacze, w tym pełniący funkcje w UTW (z zapisaną pełną nazwą funkcji – szczególnie Zarząd Słuchaczy UTW), dyżurni, ale także i pracownicy (dając przykład?) powinni je przypinać do garderoby lub wieszać na szyi za pomocą tzw. „smyczy”? Dlaczego? Dlatego, że taka jest funkcja identyfikatora: po pierwsze identyfikuje daną osobę – nawet tylko z imienia – jako słuchacza a po drugie i najważniejsze: identyfikatory służą nawiązywaniu kontaktów. O ile ułatwiłoby to nam kontakty gdybyśmy – zamiast nerwowo szukać w głowie prawidłowego imienia lub wypowiadać nieprawidłowe i wprawiać tym w zakłopotanie zarówno siebie jak i osobę, z którą rozmawiamy, po prostu przeczytali z identyfikatora, że właśnie rozmawiamy z Kasią, Basią czy Zbyszkciem. Zdajemy sobie przecież sprawę, że w polskiej kulturze nie ma tak wielkiej różnorodności imion (kalendarz!) i w danej grupie wiekowej spotkamy co najmniej 4–6 osób o tym samym imieniu. A tak jesteśmy najczęściej „na Ty” bezosobowo ☺. A może jednak noszenie identyfikatorów zbyt kojarzy się wielu osobom z obowiązkiem, pracą i stąd awersja do tego typu symboli kojarzących się ze słowem „muszę”?

Najważniejsze jednak jest to, że jesteśmy właśnie tu – w UTW. Nawiązujemy kontakty, rozmawiamy, uczymy się, integrujemy. Nie jesteśmy zostawieni sami sobie, nawiązujemy relacje koleżeńskie, a nawet przyjaźnie. Jest to szczególnie ważne dla osób, które są samotne, dla których alternatywą są cztery ściany i brak możliwości kontaktu z innymi ludźmi. Wiem, że są też ludzie, którzy nie lubią innych osób i nie chcą nawiązywać dobrych relacji interpersonalnych, ponieważ chcą dominować z pozycji „bo mnie się (seniorce/seniorowi) należy”. Dlaczego? Wydaje mi się, że wynika to przede wszystkim z niewiedzy, braku dostępnych informacji o możliwościach uczestnictwa w różnego typu aktywnościach, a może i ze strachu przed wchodzeniem w kontakt z innymi, nowymi osobami?

Akceptacja w nowym środowisku jest dla każdego „pierwszaka” bardzo ważnym elementem rozwoju i podejmowania wszelkiej aktywności. W wieku senioralnym szczególnie jesteśmy wrażliwi na to, czy będziemy zaakceptowani tacy jacy jesteśmy – już nie piękni dwudziestoletni (Marek Hłasko) lub piękni trzydziestoletni (zespół Organek/Tomasz Organek „Wiosna”), ale osoby z wyglądem takim sobie, z problemami zdrowotnymi, z bagażem dobrych i złych doświadczeń. A właśnie społeczność UTW akceptuje każdego dorosłego takim

jakim jest, akceptuje bezwarunkowo jego odmienność, dziwactwa a to – według mnie – prowokuje często do zmiany swojego nastawienia do życia i do osób nowych, nieznanych oraz budzi w nas na nowo tę, tak charakterystyczną dla ludzi młodych, ciekawość życia i chęć poznawania tego, co było nieznane do tej pory lub znane w ogólnych zarysach, fragmentarycznie.

UTW otwiera przed nami, słuchaczami, perspektywy głębszego zapoznania się z dziedzinami, na które nie mieliśmy dotychczas czasu albo chęci a teraz budzą naszą ciekawość. Tematyka, zarówno wykładów audytoryjnych jak i wybranych przeze mnie wykładowych cykli tematycznych, prowadzonych przez wspańiałych, przyjaznych seniorkom/seniorom, wykładowców spoza jak i z UTW sprawiła, że uczestnictwo w tych zajęciach traktuję jako reedukację, co – według słownika PWN – oznacza m.in. „ponowną edukację osoby, która z jakichś powodów utraciła posiadane poprzednio umiejętności czy wiadomości”. Tymi „jakimiś” powodami było zaabsorbowanie zdobywaniem, poszerzaniem, uzupełnianiem doświadczenia i wiedzy zawodowej do tego stopnia, że zapomniałam o tym, co mnie kiedyś interesowało i ciekawiło. Co kiedyś mnie ciekawiło a na co nie miałam czasu? – np. budowa wszechświata i poszukiwanie życia we wszechświecie! – wspaniałe wykłady poparte moimi wspomnieniami z obserwacji gwiazd i planet na nieboskłonie przy pomocy rozstawionych teleskopów różnych rozmiarów i fachowych informacji udzielanych przez towarzyszących nam astronomów na pustyni Atacama w Chile, wzbudziły ponownie moje zaciekawienie tą tematyką. A humanistyczne rozważania o naturze ludzkiej? Etyczno-estetyczne poszukiwania wartości? – takich zagadnień i refleksji nigdy nie jest za dużo na każdym etapie naszego rozwoju. Jaką wspaniałą niespodzianką są spotkania z muzyką, światem przyrody czy rozwiązywanie zagadek z życia człowieka! Poznawanie kulisów cenzury książek i informacji z czasów naszej młodości, roli kamienia w architekturze i sztuce, świata przyrody i pięknych krajobrazów są ciekawe i inspirują do poszerzania nabytych wiadomości. Cykle tematyczne związane z naszą, późną dorosłością, zarówno od tej nieznanej strony a więc andragogiki, poprzez gerontologię, do zrozumienia znaczenia zdrowia, kultury fizycznej i rehabilitacji na tym etapie życia pozwala na spojrzenie na proces starzenia się z innej, głębszej perspektywy a nie tylko jak na ten niechciany, smutny proces. Chyba bardziej przeraża mnie teraz – z perspektywy czasu – okres dojrzewania nastoletkowego niż proces starzenia się ☺ a już na pewno nie boję się słowa „starzenie” – trzeba je po prostu „oswoić”.

W ramach spotkań z innymi grupami pokoleniowymi w ramach kontaktów UTW jest możliwość uczestniczenia w zajęciach z dziećmi i młodzieżą współpracujących z nami szkół i ze studentami, biorącymi udział (bierny) w naszych zajęciach (wykładach, warsztatach, sekcjach, klubach) w ramach swoich uczelnianych praktyk. Ciekawi mnie jednak, jak właśnie te młode osoby nas odbierają,

oceniamy? Kim dla nich jesteśmy? Prawdopodobnie dla dzieci i młodzieży ze szkół podstawowych słuchacz UTW jest synonimem babci/dziadka a dla studentów? Obiekt badań poznawczych? Czy tylko po prostu starzy ludzie, którym jeszcze, o dziwo, coś się chce robić 😊?

Po roku bycia słuchaczem (a może studentem?) UTW najważniejsze jest dla mnie to, że mój „tajemniczy ogród” nie jest już dziki i nieuporządkowany, ale emanuje z niego ciepło i piękno.

Maria Serek

...A jednak jestem „szczęściarą”! Kilka lat nosiłam się z zamiarem bycia słuchaczem Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Uniwersytecie Wrocławskim i w Roku Dobrych Relacji 2022 stało się.

Jestem słuchaczką UTW w UW r z czego bardzo się cieszę, gdyż po dramatycznych wydarzeniach w moim życiu, wyzwoliłam się z dobrowolnej alienacji.

Nie spodziewałam się, że spotkam tu tak cudownych, wspaniałych ludzi, że poszerzę swoje horyzonty myślowe, że będę uczyła się języka obcego i słuchała wykładów, które mnie naprawdę zainteresują, że będę bardziej dbała o siebie, o swoje zdrowie i lepsze samopoczucie. Poprawa kondycji fizycznej poprzez zajęcia ruchowe, taniec, tai chi bardzo mi pomogły, a wszystko to dzięki UTW, bo to właśnie UTW upiększa jakość życia, łączy z pięknem, sztuką, wspomaga psychicznie i fizycznie.

Teraz „chcę” a nie „muszę” uczestniczyć w zajęciach, spotkaniach, dyskusjach.

Późna dorosłość i bycie słuchaczem UTW, moim zdaniem to piękny czas, ma same plusy, gdyż uaktywnia nas, pozwala być użytecznym, pogłębia empatię.

Życie w samotności nie ma uroku, koloru, głębszego sensu, a bycie wśród ludzi to wszystko zmienia.

Rok 2022, Rok Dobrych Relacji i rok rozpoczęcia mojej edukacji na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Uniwersytecie Wrocławskim ma dla mnie również symboliczne znaczenie, uważam, że wtedy rozpoczęłam „nowe życie”.

Rozwijamy się przez całe życie, a dzięki studiowaniu mam poczucie wolności i dobrowolności.

Spotkania ludzi ze sobą w UTW mają cudowną moc, dodają chęci do życia, pozwalają na zdobywanie nowych doświadczeń-jednym słowem uczą wchodzenia w późną dorosłość.

Na zakończenie powtórzę za Panią dr Walentyną Wnuk, że „Uniwersytet Trzeciego Wieku to fenomen wieku współczesnego”, ponieważ uskrzydla ludzi

dojrzałych i zatrzymuje galopujący czas, daje poczucie akceptacji siebie, czyni ich niezbędnymi.

*...Uparcie i skrycie, och życie
kocham cię, kocham cię nad życie,
poznawać pragnę cię w zachwycie...*

Barbara Traczyk

Kilka lat temu, gdy w moim towarzystwie ktoś opowiadał o studentach Uniwersytetu Trzeciego Wieku, dziwiłam się, że można chcieć przebywać (i dobrze się bawić) w grupie ludzi, których społeczeństwo kwalifikuje jako starych. Żyjemy coraz dłużej, ale starości nie lubimy. Niektórzy starają się – o ile na to pozwala biologia – ją ignorować, inni demonstracyjnie siadają na tapczanie i „odpoczywają”, popadając powoli w swoisty marazm, inni rzucają się w wir pomocy rodzinie, poświęcając swój czas i siły wnukom lub gotowaniu. W moim przekonaniu wszystkie te sposoby są nieskuteczne, głównie dlatego, że wypieranie rzeczywistości, na dłuższą metę nie działa. Niezależnie od tego, jak dalece starość wydaje się być opresyjna, trzeba zmierzyć się z faktami, i o ile to możliwe, tworzyć nowe – takie, które pozwalają przeżyć ten ostatni etap życia **wystarczająco dobrze**. To pojęcie uważam za kluczowe dla całego procesu starzenia się. Inne ważne dla mnie to – docenianie chwili obecnej, rezygnacja z nadmiernych oczekiwań i zachowanie pogody ducha.

Mając powyższe na uwadze, za namową (nie ukrywam, że usilną) przyjaciół i rodziny zapisałam się na wrocławski UTW. Mieszkam we Wrocławiu dopiero kilka lat, jestem introwertykiem, mam wolny zawód, grono sprawdzonych przyjaciół poza Wrocławiem, nie jestem typem „brat łata” – to wszystko zatem nie nastrojało mnie optymistycznie do takiego kroku. Równocześnie jednak jako osoba zawsze ciekawa nowości, pomyślałam – spróbuję. Zobaczę samą siebie w nieznanych okolicznościach, skonfrontuję własne wyobrażenie o sobie z rzeczywistością, a w konsekwencji może dowiem się czegoś nowego.

Na początku prezentowałam wyłącznie postawę Obserwatora. Z daleka przyglądałam się różnym reakcjom różnych ludzi i często byłam zdziwiona, jak bardzo różnią się od moich. Kontrola i ocena – niezbędne w pracy zawodowej, tu oczywiście nie miały żadnego sensu, na plan pierwszy wysunęła się tolerancja i akceptacja, nawet bez zrozumienia. Bez wnikania w szczegóły – nie było prosto. Jednak w różnorodności siła, zatem wiedziałam już, że „tędy droga”. Następny krok to był wybór zajęć, na których konieczna jest grupowa współpraca. Z Obserwatora stałam się Uczestnikiem.

Jesteśmy różni, ale potrzeby mamy podobne, podobno jedną z ważniejszych jest autentyczna, życzliwa relacja z drugim człowiekiem, a jeszcze lepiej z wieloma. Nawiązanie takich właśnie kontaktów w późnym wieku nie jest proste, ale też nie jest niemożliwe. Wymaga pracy nad sobą, przełamania uprzedzeń i stereotypów. Mam wrażenie, że w moim przypadku UTW spełnił rolę swobodnego coucha wieku późnego. Przede wszystkim dowiedziałam się o sobie sporo nowego, nauczyłam się spoglądać na otoczenie, z góry je akceptując, pozwalałam sobie znacznie więcej rzeczy odpuszczać. Okazało się, że taka postawa procentuje również w życiu poza-universyteckim. Oczywiście proces trwa, spodziewam się, że szybko się nie zakończy ale jak w piosence „...I never promised you a rosen garden”.

Słuchaczka II

Moje pierwsze doświadczenie związane z Uniwersytetem Trzeciego Wieku miało miejsce jeszcze na wiele lat przed tym, zanim weszłam w poczet studentek i studentów tej uczelni. Pracowałam wtedy na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu i w holu, w którym znajdowały się drzwi do mojego pokoju była Kasa. Zawsze jesienią o tej samej porze ustawiały się do niej bardzo długie kolejki ludzi dojrzałych wiekiem. Przyglądałam się im z zaciekawieniem. W jakim celu stoją w tak gigantycznej kolejce? Dowiedziałam się, że Ci ludzie chcą wpłacić wpisowe na Uniwersytet Trzeciego Wieku. Pomyślałam wtedy, że to fantastyczny pomysł na spędzanie czasu, kiedy aktywność zawodowa się skończy. Rodzice od wczesnego dzieciństwa wpoili we mnie i moje rodzeństwo jak ogromną rolę w życiu człowieka pełni nauka.

Później przez wiele lat niewiele myślałam na ten temat. Zmagałam się wtedy z ogólnym kryzysem sił.

Czułam się wyczerpana fizycznie i psychicznie. Pojawiły się problemy ze zdrowiem: operacje, chroniczne zmęczenie i jednocześnie zdziwienie – ja matka trójki dzieci, perfekcyjna pani domu, super pracownik walczyłam o to by znaleźć siły na przeżycie kolejnego dnia? Jak to możliwe?

Praca na uczelni stawiała się coraz większym wyzwaniem – ciągłe reorganizacje, zmiany.

Uczelnia coraz częściej przypominała korporację. Ciągły stres, pośpiech wywalał z ludzi najgorsze instynkty. Później przyszedł ciężki czas pandemii, który jeszcze bardziej pogorszył atmosferę pracy. Nie będę rozwijać tego wątku, gdyż nie jest to główny temat mojej pracy. W każdym razie właśnie w tym trudnym czasie, zaczęłam bliżej przyglądać się pracy Uniwersytetów Trzeciego Wieku.

Znalazłam się na stronach internetowych UTW w Uniwersytecie Wrocławskim. Czytałam i byłam jak zauroczona.

Wtedy podjęłam decyzję – tylko **UTW na Uniwersytecie Wrocławskim**. Bogaty, ciekawy program. Wykłady, warsztaty, sekcje, kluby, lektoraty, zajęcia z obszaru kultury fizycznej. Dzieci dorosłe poza domem, wnuków nie mam. Chcę się uczyć, chcę uczestniczyć w takich zajęciach – pomyślałam, że to jest dla mnie. Tak chcę spędzić mój czas po ustaniu aktywności zawodowej. Udało mi się nawet dodzwonić do sekretariatu i przeprowadzić miłą rozmowę z Panią sekretarką. Opowiadała mi o wszystkim, co się dzieje na UTW. Byłam naprawdę szczęśliwa. Słowa, które powiedziała pozostaną na długo w mojej pamięci – „Czekamy ma Panią”! To było jak siła napędowa. Do emerytury pozostawały jeszcze długie miesiące pracy w stresie i ogromnym napięciu. Nigdy nie potrafiłam odpuścić – moja jakość pracy musiała być perfekcyjna, aż do końca.

Ale wszystko, co było przede mną zaczynało nabierać kolorów. Tak, chcę być studentką UTW, to jest fantastyczne – chcę uczyć się nie dla oceny, zaliczeń, uzyskania tytułu tak jak w młodości. Uczyć się z przyjemnością, bo tak chcę, tak wybrałam. Zapragnęłam – jak się później dowiedziałam na jednym z wykładów z „Aktywności edukacyjnej późnej dorosłości” – przewietrzyć swój pokój mentalny, czyli zadbać o swój rozwój intelektualny, zaktualizować posiadaną wiedzę, zadbać o sprawność umysłową. Wzbogacać swoją wiedzę i dzielić się nią z innymi. Ostatnie miesiące pracy, choć niełatwe, minęły szybko. Pożegnałam się z koleżankami i pracą i pilnie śledziłam strony UTW, aby nie przegapić terminu rozmowy kwalifikacyjnej. Wreszcie nadeszła ta chwila i dzień mojej rozmowy. Przekroczyłam próg UTW cała spięta i w stresie, choć wokół pełno było prześmiałych Pań uśmiechających się życzliwie. Nie było łatwo. To był dla mnie duży stres. Później kilkudniowe oczekiwanie – co zrobię jeśli nie dostanę się do grona szczęśliwców i ...wielka radość – tak jestem **Studentką Uniwersytetu Trzeciego Wieku na UW**. Natychmiast podzieliłam się tą szczęśliwą wiadomością ze znajomymi, koleżankami z byłej pracy i oczywiście z rodziną.

Jeszcze przed rozpoczęciem roku akademickiego, miałam okazję od razu zaangażować się w przygotowania do Konferencji Naukowej „Uniwersytet Trzeciego Wieku przestrzenią dobrych relacji”, która miała miejsce 29 września 2022 r. Moja naprawdę niewielka rola została dostrzeżona i uhonorowana przepięknym podziękowaniem co sprawiło mi ogromną radość. Mam nadzieję, że w przyszłości stan mojego zdrowia umożliwi mi większe zaangażowanie w tego typu działalności.

Uroczystą inauguracją roku akademickiego 10 października 2022 rozpoczęliśmy zajęcia.

W poniedziałki (w miarę swoich możliwości zdrowotnych) uczestniczę w wykładach audytoryjnych o różnorodnej tematyce. Większość wykładów jest

naprawdę ciekawa. Czasem są również dla mnie mniej interesujące, ale przecież dla kogoś innego może to być właśnie to, na co czekał. Zawsze przed zajęciami witamy się uśmiechem i miłym słowem.

Z ogromnym zadowoleniem i ciekawością uczestniczę w wykładowych cyklach tematycznych: „Nasze zdrowie w naszych rękach”, „Sztuka i obyczaje”, „Zagadki z życia człowieka”, „Humanistyczne rozważania o naturze ludzkiej”, „Początki krajów i ludów w najdawniejszych kronikach”, „Zdrowie od kuchni”, „Poszukiwanie życia we wszechświecie”, „Aktywność edukacyjna późnej dorosłości”, „Psychologia późnej dorosłości”, „Historia cenzury dzieł literatury światowej”, „Zdrowie i ja”, „Spotkanie z muzyką”. Ostatnio pojawił się krótki, bardzo interesujący, dwuwykładowy cykl tematyczny o Sztucznej Inteligencji, który miałam przyjemność wysłuchać.

Jeśli chodzi o naukę języków, przypominam sobie moją już „lekką zakurzoną” znajomość języka angielskiego uczestnicząc w lektoracie języka angielskiego, a także w Klubie Angielski w zabawie. Pragnę zaznaczyć, że zarówno na lektoraacie z panią Joasią, jak i w Klubie mamy świetną atmosferę, śmiejemy się, żartujemy, czasem do łez. Każdy z nas cieszy się obecnością drugiego. Jestem również członkiem Sekcji Przygoda z książką. Każda z nas (są same Panie) czyta zadaną książkę i dzielimy się refleksjami, uczuciami, jakie w nas wywołują przeczytane pozycje. Można usłyszeć wiele ciekawych spostrzeżeń, czasem różne punkty widzenia – zawsze z ogromnym szacunkiem. Mamy też wspaniałe koleżanki, które zawsze dzielą się wspaniałymi ciasteczkami, które pieką, a jedna z koleżanek zrobiła dla wszystkich uczestników małe prezenty z okazji Świąt Wielkanocnych. Było to bardzo miłe dla nas wszystkich. Powiedziała, że uwielbia robić prezenty i dzielić się z innymi. To sprawia jej wielką radość. Byłyśmy bardzo wzruszone i równocześnie od razu wzbudziła się w nas potrzeba odwzajemnienia – może i nam uda się coś przygotować na następny raz.

W moim doświadczeniu Uniwersytetu Trzeciego Wieku nie sposób pominąć udział w Klubie Miłośników Sztuki Również Filmowej. Chodzimy po muzeach, zwiedzamy wystawy, spotykamy się z artystami i twórcami, którzy dzielą się z nami swoimi pasjami. Szczególnie miło wspominam ciekawe spotkanie w Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu. Mieliśmy okazję poznać niezwyklego artystę z Armenii, który tworzy obrazy ze skóry. Również spotkanie z kierownikiem tego Klubu zaowocowało ofertą dalszej współpracy. Cudowne przeżycia.

Jeśli chodzi o zajęcia z obszaru kultury fizycznej i relaksacji, biorę udział w Gimnastyce Ogólnousprawniającej i Jodze dla Zdrowia z Panem Pawłem Bato-rem. To nie tylko dbałość o sprawność fizyczną, Pan Paweł dba o naszą psychikę. Uczy nas cieszyć się każdą chwilą, niezależnie od sytuacji. Oprócz więc ćwiczeń fizycznych mamy terapię dla ducha. Niesamowita atmosfera.

Czasem trudno się zmobilizować, bo to piątek, zmęczenie, ale myśl o utracie tego co będzie na zajęciach automatycznie mobilizuje.

O sprawność naszego umysłu dbamy także na ćwiczeniach z zakresu „Trening mózgu” w Orpeii.

Konkretne ćwiczenia poprawiające stan pamięci, w miłej, przyjaznej atmosferze.

Od jakiegoś czasu zaczęłam też być słuchaczką Dyskursywnego Klubu „Okno”. Bardzo ciekawy cykl nie tylko o niezwykłych ludziach, którzy zostawili swój trwały ślad w historii, ale i o niezwykłych zjawiskach.

Istnieje jeszcze wiele ciekawych zajęć w Klubach i Zespołach, nie na wszystkie wykłady tematyczne udaje mi się też dotrzeć.

Ostatnie, niełatwe lata pandemii, wybuchu wojny tuż za naszą wschodnią granicą, pokazały jak istotne dla naszego zdrowia psychicznego są relacje z innymi ludźmi. Spotykając się w obszarze Uniwersytetu Trzeciego Wieku na Uniwersytecie Wrocławskim, staramy się wspólnie budować dobre relacje – poznajemy się, rozmawiamy, wzajemnie wspieramy dobrym słowem, umiejętnością wysłuchania drugiego człowieka i zainteresowaniem jego historią. Jesteśmy ciekawi siebie nawzajem. Łączy nas potrzeba przynależności do grupy. I choć jesteśmy ludźmi dojrzałymi wiekiem, wiele nauki jeszcze przed nami. Musimy uczyć się wzajemnej tolerancji, szacunku do siebie – każdy z nas jest inny, ma inną historię życia-czasem bardzo trudną. Przychodzimy tu, żeby się spotkać w miłej atmosferze i obdarować uśmiechem. Żeby nasze relacje były dobre i wartościowe, czasem trzeba trochę „zapomnieć o sobie”, o tym, że dzisiaj nie mam humoru, bo źle spałam, że znowu coś bolało.

Zdarzeniami, które negatywnie wpływają na nasze relacje, są pewne zachowania – powiedziałabym egoistyczne: są osoby, które pomimo licznych prośb nie wyłączają komórek i przeszkadzają innym w odbiorze wykładów. Albo osoby, które przerywają ciekawy wykład, bo chcą koniecznie zaistnieć. Czasem naprawdę trudno się nie zirytować.

Myślę, że jeszcze wiele ciekawych i interesujących chwil czeka nas jako studentów Uniwersytetu Trzeciego Wieku w UW. W miarę moich możliwości chciałabym też, aby inni uczestniczący w zajęciach czuli się dzięki mnie coraz lepiej, chciałabym przysłużyć się do budowania jak najlepszych relacji ze spotkanymi tu koleżankami i kolegami.

Jak miło jest przekroczyć próg i usłyszeć: „Dobrze, że jesteś, jak miło znowu Cię zobaczyć”, „Jak się czujesz?”, „Czy wszystko dobrze u Ciebie?”

Zakończę fraszką Pana Jana Zacharskiego:

Długa jesień

Taka mnie od uczelni spotkała przysługa,

Że moja jesień życia będzie bardzo długa,

*Będzie pozbawiona złości i zawiści,
I będzie pełna kolorowych liści.*

Słuchaczka III

Przyznam, że z wielkim niepokojem myślałam o nadchodzącej emeryturze. Życie zawodowe spędziłam na różnych budowach otoczona gwarem i towarzystwem ludzi młodych i w moim wieku. Bywały momenty, że życie zawodowe było dodatkiem do życia rodzinnego. Z koleżanką w podobnej sytuacji, zaczęłyśmy poszukiwania w internecie. Prawie wszystkie wrocławskie uczelnie miały swoje propozycje. Wybrałyśmy UTW w UW r ze względu na niezwykle bogatą ofertę zajęć i możliwość wieloletniego studiowania. Martwiła nas tylko trochę konieczność rozmowy kwalifikacyjnej. Umówiliśmy się, że jak któraś z nas się nie dostanie, będziemy obie próbowały w innym miejscu. Może to bezstresowe podejście pomogło, bo dostałyśmy się obie.

Zajęcia rozpoczęły się inauguracją roku akademickiego 2022/2023 „Roku Dobrych Relacji”. Wspaniały wykład i wspaniała rada, że zmiany w relacjach należy zaczynać od siebie. Tą radą podzieliłam się ze swoją wnuczką, która bez przerwy instruuje swojego o dwa lata młodszego braciszka. [...]

Wiedziałam, że oferta zajęć jest bogata, ale nie przypuszczałam, że aż tak ogromna. Planowałam uczestniczyć w wybranych wykładach tematycznych, ale nie było to takie łatwe. Na przeszkodzie stały nagle sytuacje z moimi super seniorami, rodzicami i obowiązki związane z opieką nad wnukami. Postanowiłam więc uczestniczyć w zajęciach jak tylko pozwalał mi na to czas, mając nadzieję, że zaległości nadrobię w następnych latach studiowania. Zajęcia na UTW są odskocznią od trosk dnia codziennego. Idąc na uczelnię, wkraczam w inny, beztroski, bezstresowy świat. Cieszę mnie również nowe znajomości, które mam nadzieję kontynuować w przerwie wakacyjnej. Z niecierpliwością będę czekała na rozpoczęcie następnego roku moich studiów.

Leszek Grudziński

Muzyka dla seniorów

„Muzyka wpływa na uszlachetnienie obyczajów” – Arystoteles
„Muzyka łagodzi obyczaje” to tytuł felietonów Jerzego Waldorffa

Programy muzyczne dla seniorów UTW miały początek w styczniu 2019 roku i zostały zatytułowane MUZYKA OPEROWA wypełniając lukę w czysto uniwersyteckim programie wykładów UTW. Początkowo miały charakter związany wyłącznie z teatrem operowym, tzn. z wydarzeniami, które odbywały się wyłącznie w budynku opery. Należały do nich spektakle operowe, operetkowe i baletowe. Nie chodziło tylko o wybrane części tych przedstawień jak arie operowe i operetkowe, czy solowe popisy baletowe, ale również o przedstawienie ich wykonawców: śpiewaków, tancerzy, kompozytorów i dyrygentów. Każda pozycja w tych programach muzycznych była opatrzona komentarzem dotyczącym historii danego przedstawienia, ciekawostek z życia kompozytora i wykonawców. W wielu przypadkach omawiane były życiorysy kompozytorów i wykonawców (wokalistów, tancerzy, dyrygentów). Ponadto często wplatane były pieśni np. neapolitańskie, ale wykonywane przez wybitnych śpiewaków operowych. Programy były tak wybierane, aby były przystępne dla każdego odbiorcy, nawet mało obeznanego z takim gatunkiem sztuki. Były to w znakomitej większości przypadków operowe hity muzyczne.

Zrealizowany został cykl muzyczny poświęcony najwspanialszym, nie żyjącym już, wokalistom operowym, który obejmował 30 śpiewaków polskich i zagranicznych, święcących triumfy od połowy XIX wieku do połowy ubiegłego wieku. Poza nagraniami w ich wykonaniu przedstawione były ich życiorysy artystyczne. Polskich śpiewaków reprezentowali m.in. bracia Reszke, Adam Didur, Ada Sari, Jan Kiepusza, Bogdan Paprocki, Andrzej Hiolski i Bogna Sokorska. Śpiewaków zagranicznych reprezentowali Amerykanie m.in. Lili Pons, Anna Moffo, Richard Tucker, Mario Lanza, śpiewaków włoskich Enrico Caruso, Licia Albanese, Beniamino Gigli, Mario del Monaco, Maria Callas, Renata Tebaldi, Giuseppe di Stefano, a także Australijka Nelli Melba, Szwed Jussi Bjorling oraz Hiszpanka Montserrat Caballé. Ich nagrania to perełki światowej wokalistyki.

Prawie w każdym programie muzycznym pokazywane były sceny baletowe najwybitniejszych kompozytorów. Tak więc Piotra Czajkowskiego reprezentowały sceny z baletów „Jeziro łabędzie”, „Śpiąca królewna” i „Dziadek do orzechów”, Léo Delibesa balet „Coppélia”, Ludwiga Minkusa balet „Don Kichot”, a Adolpha Adama balety „Korsarz” i „Giselle”. W większości przypadków solistami w tych baletach byli Rudolf Nurejew, Michaił Barysznikow, Natalia Osipova, Margot Fonteyn i Maja Plisiecka.

Od 2021 roku cykl MUZYKA OPEROWA został zastąpiony cyklem SPO-
TKANIA MUZYCZNE, który jest realizowany do dnia dzisiejszego. Ta zmiana pozwoliła na poszerzenie tematyki muzycznej o inne formy, takie jak koncerty instrumentalne (skrzypcowe, fortepianowe), koncerty orkiestrowe, taniec artystyczny, musicale i żarty muzyczne.

Oddzielnym programem omówiony został życiorys i dorobek artystyczny narodowego kompozytora polskiego Stanisława Moniuszki z wybranymi scenami z oper „Halka” i „Straszny Dwór”. W innym programie przedstawiono życiorys artystyczny giganta włoskiej opery Giuseppe Verdiego z fragmentami oper „Traviata”, „Trubadur”, „Otello”, „Aida”, „Nabucco” i „Rigoletto”, a w jeszcze innym Giacomo Pucciniego z operami „Cyganeria”, „Tosca”, „Manon Lescaut” i „Madama Butterfly”. Przedstawiono też opery Gioacchino Rossiniego „Cyrulik sewilski”, Pietro Mascagniego „Rycerskość wieśniacza”, operę „Pajace” Ruggero Leoncavalla oraz opery „Carmen” i „Poławiacze pereł” Georges Bizeta.

Należy dodać, że niektóre arie lub duety z przedstawianych oper były prezentowane kilkakrotnie ale zawsze przez inne teatry i innych wykonawców, aby dać porównanie w interpretacji artystycznej jak również jakości głosu poszczególnych śpiewaków. Zawsze się starano, by pokazać wszystkie jakości głosów żeńskich i męskich, rozróżniać ich barwę i subtelności brzmienia.

Dla poszerzenia grona słuchaczy i zadośćuczynienia prośbie wielu odbiorców wprowadzono nowy cykl muzyczny. Tym kolejnym cyklem muzycznym zrealizowanym w 2023 roku i składającym się z 4 spotkań była operetka. Omówione zostały życiorysy następujących kompozytorów: Jacquesa Offenbacha, Johanna Straussa, Karla Zellera, Franca Lehara, Imre Kalmana, Paula Abrahama, Rudolfa Frimla. Ich życiorysy uzupełniały wybrane nagrania z operetek: „Orfeusz w piekle”, „Zemsta nietoperza”, „Baron cygański”, „Ptasznik z Tyrolu”, „Wesoła wdówka”, „Kraina uśmiechu”, „Rose Marie”, „Księżniczka szardasza”, „Hrabina Marica”, „Bajadera”, „Wiktoria i jej huzar”, „Bal w Savoyu”.

Te prezentowane programy muzyczne dla osób niezainteresowanych mogą się wydawać audycjami czysto rozrywkowymi, nie licującymi z powagą uniwersytecką. Nie ma nic mylnego, ponieważ w każdej prezentacji przekazywane były treści obejmujące zarówno historię muzyki, treści wybranych spektakli, charakterystykę przedstawianych artystów i ich predyspozycje, rodzaje instrumentów,

uwarunkowania specyficznych gatunków sztuki, ale zawsze w sposób bardzo przystępny, wręcz popularny. Mają zatem w pewnym sensie charakter popular-nonaukowy.

Ewa Alfut

Kocham cię, życie – radosna recepta na dobre dni Zespołu Muzyczno-Poetyckiego „Art”

Gdy wiosna każdego dnia ubiera się w coraz piękniejsze i coraz barwniejsze sukienki, gdy ptasie trele budzą w sercach radość i sprawiają, że chce nam się uśmiechać do mijanych przechodniów, gdy coraz jaśniej świecące słońce zdaje się do nas mrugać szelmowsko, na usta cisną nam się słowa: *Kocham cię, życie, poznawać pragnę cię w zachwycie.*

Słowa znanej piosenki, brawurowo wykonywanej przez E. Geppert, do której tekst napisał W. Młynarski, stały się mottem majowego programu zespołu „Art”, prowadzonego przez kol. Teresę Piturę.

Wykorzystano w nim piękne i jakże znaczące teksty Agnieszki Osieckiej, Wojciecha Młynarskiego, Jonasza Kofty, Edwarda Stachury i innych. Koleżanki i koledzy z „Artu” zabrali nas w muzyczno-poetycką podróż przez życie, w którym głównymi filarami są: Wiara, Nadzieja, Miłość.

Ileż to razy wiara pozwala nam uwierzyć, że wszystko jest możliwe, miłość dodaje skrzydeł i nadaje życiu sens, nadzieja wytycza kierunek działania i stawia cele, a wszystkie trzy sprawiają, że: „jeszcze w zielone gramy, choć skroń niejedna siwa” i sami sobie oraz kolegom mówimy w chwilach zwątpień i smutków: „tylko nie ulegajmy przedwczesnym niepokojom, bądźmy jak stare wróble, które stracha się nie boją”.

Zadumani, zasłuchani widzowie wędrowali po ogrodach, bo „w żar epoki użyczą nam chłodu tylko drzewa, tylko liście”, zawalcowali na balu, śpiewając życiu radośnie i wesoło, posłuchali żałosnego zawodzenia wiatru – gitarzysty, szaląputa i pędziwiatra, za którym tęskni zakochana akacja, współczuli nieszczęsnej Małgoście, skonstatowali, że „życie, to jest teatr...”.

Był czas na zadumę i refleksję, przy „Modlitwie” Bułata Okudźawy czy przy „Zamiast” Małgorzaty Czapińskiej, był czas na radość i wspomnienia, a wszystko to za sprawą wspaniałego scenariusza, doboru tekstów, empatycznych wykonań. Nie zabrakło momentów humorystycznych, gdy po scenie snuli się smętni okularnicy z nosami w książkach i skryptach lub gdy pan usiłował uzyskać od pani odpowiedź na pytanie: „Czego się boisz, głupia”.

Czas minął szybko, a chciałoby się jeszcze słuchać, chłonać, przeżywać...

Dziękujemy koleżankom i kolegom z „Artu” za te niezwykle chwile wzruszeń i radości.

Wszak życie upływa szybko, jak wspólnie zaśpiewaliśmy na zakończenie. Zatem „w pamięci wiernej unieśmy obcy świat, kochane jasne twarze, przyjaciół z dawnych lat” i zawołajmy radośnie: „Uparcie i skrycie, och życie kocham cię, kocham cię nad życie.

Wanda Koleśniak

Klub Miłośników Kultury Hiszpańskiej i jego działalność

Przez wiele lat mieszkałam w Hiszpanii, w Almerii. Poznałam kraj, ludzi, kulturę i przyrodę. Po powrocie do Polski, za przykładem moich koleżanek, zostałam słuchaczką UTW w Uniwersytecie Wrocławskim. Postanowiłam wykorzystać swoją znajomość kultury hiszpańskiej zakładając Klub Miłośników Kultury Hiszpańskiej, który rozpoczął działalność w roku akademickim 2018/2019.

Przez czas pandemii Covid-19 działaliśmy online, co jak wszyscy wiemy, nie było łatwe. Na każde spotkanie przygotowuję temat wiodący. Po przedstawieniu tego tematu, dyskutujemy i dzielimy się opiniami. Klub ma charakter otwarty i każdy z członków może przedstawić propozycję tematu następnego spotkania.

Tematów wiodących, które przedstawiliśmy kolegom było ponad trzydzieści. Wymienię kilka z nich:

– Miguel Cervantes y Saavedra, *Życie i twórczość*. Urodzony w Alcalá de Henares niedaleko Madrytu, żołnierz, poeta i dramaturg. Jako żołnierz brał udział w bitwie pod Lepanto w 1571 r. Jego powieść *Don Quijote de La Mancha* stała się klasykiem literatury światowej.

– *Folklor – wiedza ludu – symboliczna i artystyczna dziedzina kultury ludowej*.

– *Spacerkiem po Costa Verde, nieznana północ Hiszpanii*. Zwiedziliśmy Bilbao a w nim Muzeum Guggenheima, miasto A Coruña z wielkim pomnikiem Herkulesa nad brzegiem morza, Guernica – miasto i symbol zniszczeń wojennych a w nim mural Pablo Picassa wg jego obrazu Guernica, miasteczko Comillas a w nim willa „Capricho”, kaprys wg projektu Antonio Gaudiego.

Rok akademicki 2022/2023 rozpoczęliśmy od dwóch wizyt w muzeach. Jedna w Zamku Królewskim, Joan Miró. Druga w Starym Ratuszu – Salvatore Dali.

Innym z ciekawych tematów był *Moja wyprawa na Teneryfę*, który przedstawił kolega Jerzy Czerwonka.

Na kilku spotkaniach kolega Stanisław Filipek poprowadził nas przez drogi Św. Jakuba Starszego wspólnika Piotra Apostoła. Wędrowaliśmy więc z nim po słonecznych drogach Hiszpanii, po pełnym pól zbożowych Burgos i innych prowincji. Zatrzymywaliśmy się w „albergues” miejscach noclegowych pielgrzymów, spotykając ciekawych ludzi z całego świata.

Na nowy rok akademicki 2023/2024 przygotowujemy dwa temat. Pierwszy temat:

Pablo Picasso w 50. rocznicę śmierci – Rok Picasso świętowany w Maladze, mieście rodzinnym artysty i całej Hiszpanii. Innowacyjność, z której twórca kubizmu był znany, zostanie podkreślona dwiema wystawami w Muzeum Picasso w Maladze.

– *Materia y Cuerpo*, *Materia i Ciało*. To o Picasso rzeźbiarzu bo rzeźbiarstwo to jeden z jego najmniej znanych talentów.

– *El Eco de Picasso*, *Echo Picasso*. Wpływ artysty na sztukę XX wieku do współczesności.

Drugi temat: *Antonio Gaudi, jego ukochana Barcelona*, *Sagrada Familia* i wiele innych zaprojektowanych przez niego budynków, jego geniusz architektoniczny i wizjonerski.

„Linia prosta należy do człowieka a krzywa do Boga” powiedział Gaudi. W Świątyni *Sagrada Familia* ani jednej prostej linii.

Ostatnie spotkanie semestru letniego członków Klubu Miłośników Kultury Hiszpańskiej odbyło się w obecności naszych hiszpańskich gości, seniorów z UA de Universidad de Alicante.

AMIGOS – Spotkanie słuchaczy z Wrocławia i Alicante

Przybyli oni do naszego Uniwersytetu na kilka dni w ramach programu Erasmus+.

Uroczyste powitanie gości nastąpiło w siedzibie Uniwersytetu Trzeciego Wieku w UW r.

Pani Kierownik dr Magdalena Wnuk-Olenicz w serdecznych słowach powitała słuchaczy UA de Universidad de Alicante i przedstawiła program pobytu gości we Wrocławiu. Rozmowa toczyła się płynnie w trzech językach w bardzo przyjacielskiej atmosferze. Rozdałam gościom przetłumaczony przeze mnie na język hiszpański program tej wizyty.

Członkowie Klubu razem z gośćmi z UA de Universidad de Alicante i przewodnikami Anną Błońską i Teresą Ciszewską zwiedzili: Dworzec Główny a w nim hol, 3. peron, kaplicę i bibliotekę, Rynek a w tym Stary i Nowy Ratusz,

Plac Solny, Kościół Św. Elżbiety i Jatki. Piwnica Świdnicka jako najstarsza restauracja w Europie bardzo im się podobała. Pokazaliśmy im Panoramę Raclawicką, wystawy w Muzeum Narodowym, Katedrę, Ogród Botaniczny, budynek NOT-u i fontannę przy pergoli z feerią barw i muzyką, Wytwórnię Filmów Fabularnych na Wystawowej, Muzeum Czterech Kopuł i sztukę Magdaleny Abakanowicz, Dzielnicę Czterech Wyznań i Halę Targową.

Goście nasi obecni byli również na zakończeniu roku akademickiego. Tego dnia popłynęliśmy również statkiem „Kaczuszką” po Odrze.

Zwiedzając miasto, spotykaliśmy wiele krasnali, opowiedzieliśmy też gościom historię ich obecności w naszym mieście. Nasi przyjaciele z Alicante na każde spotkanie z krasnałem bardzo się cieszyli i uwieczniali go na zdjęciach.

Wieczorem któregoś dnia Goście cieszyli się z naszego Jarmarku Świętojańskiego. Znaleźli na jednym ze stoisk wyroby z bursztynu i nakupili sobie biżuterii.

Kolejnego ranka Goście obejrzeni gmach Uniwersytetu Wrocławskiego, jego dwie aule, w tym Aulę Leopoldina, weszli na wieżę matematyczną i z tarasu podziwiali panoramę naszego miasta.

Następnego dnia uczestniczyli w zajęciach naszego klubu. Przedstawiłam bliski im temat „Dama de Elche – Ikona kultury iberyjskiej. Staszek Filipek przygotował kilka pytań i zagadek dotyczących historii i kultury hiszpańskiej skierowanych do członków klubu i gości. Między gośćmi z Hiszpanii a Staszkiem wywiązała się gorąca dyskusja.

Następnie goście wzięli udział w Warsztatach Krytycznego Myślenia prowadzonych przez Panią Martę na temat „Empatia i inteligencja emocjonalna”.

W czwartek goście wysłuchali wykładu Pani Prof. dr hab. Beaty Baczyńskiej, Dyrektora Instytutu Filologii Romańskiej. Wykład (w języku hiszpańskim), był na temat sztuki hiszpańskiej, między innymi o Pedro Calderon de La Barca i jego najwybitniejszym dramacie „La vida es sueño” – „Życie jest snem”. Akcja tej sztuki toczy się w dalekiej krainie zwanej Polska (XVII wiek). Po wykładzie nasi goście uczestniczyli w występie grupy Biesiadnej. Jak zawsze było tam muzycznie i wesoło.

Kolejny dzień rozpoczął się prezentacją przygotowaną przez naszych gości. Każde z nich miało do zreferowania inny temat wraz z prezentacją.

Bardzo podobała mi się prezentacja którą przedstawił Miguel. Dotyczyła wiodącej roli architektury hiszpańskiej w Europie i nie tylko, na przestrzeni wieków.

Inma opisała nam Uniwersytet z Alicante, jego położenie na mapie miasta, działalność edukacyjną, ujmując w tym udział seniorów UTW. Wymieniła ilość godzin i rodzaj wykładów i innych zajęć dla seniorów w każdym roku akademickim.

Isabel i Flor opisały nam pokrótce działalność służby zdrowia w ich kraju. Określiły ją jako dobrą, dodały jednak, że też boryka się ze swoimi problemami i na wizytę u specjalisty trzeba też czekać.

Rosa opisała nam samo Alicante, nadmorskie miasto w regionie Valencia, jego położenie geograficzne, a także ciekawe miejsca, dla których warto to miasto odwiedzić.

W pokoju Samorządu UTW otrzymaliśmy dobrą kawę i ciasteczka. Wtedy też przyszły do nas prowadzące Sekcję Rękodzieła koleżanki Ania Budziszewska i Ela Turczyńska przynosząc dla naszych gości piękne okolicznościowe kartki wykonane przez uczestniczki tej sekcji.

Nie mniejszą niespodziankę zrobiła naszym gościom inna słuchaczka Prof. dr hab. Stanisława Kalus, która przyniosła im w podarunku tomik swoich wierszy. W środku tego tomiku znajduje się wiersz o Hiszpanii.

W auli UTW odbył się również dla naszych gości wykład o Wrocławiu. Nasze miasto opisała w języku hiszpańskim dr M. Krzyżostaniak, z-ca dyr. Instytutu Filologii Romańskiej.

Ostatniego dnia wizyty w naszym UTW goście uczestniczyli również w lektoracie języka hiszpańskiego. Killkoro ze słuchaczy na prośbę lektorki Pani Magdaleny Kowalskiej przygotowało w języku hiszpańskim historyjkę z własnego życia.

W poniedziałek odbyło się zakończenie roku akademickiego na Uniwersytecie Wrocławskim, Goście nasi byli tam również obecni.

Na krótkim wideo otrzymanym od seniorów z Alicante ważne jest ostatnie zdanie komentarza, umieszczone przed ich odjazdem już na lotnisku „Regreso de esta inolvidable experiencia” – „Powrót z tego niezapomnianego przeżycia”.

Wizyta seniorów z UA de Universidad de Alicante, nasze poznanie i możliwość zaprezentowania im naszego UTW oraz Klubu dają nam motywację do dalszego szerzenia kultury Hiszpanii. Kultura europejska bez bogatej kultury hiszpańskiej byłaby bardzo uboga.

GRACIAS AMIGOS Y HASTA PRONTO.

Jerzy Sosnowski

Z humorem i śmiechem zgłębiamy korzenie... i nie tylko

Tytuł artykułu nie jest prowokacją. Jeśli już, to inspiracją. A tak naprawdę tytułem przedstawienia Kabaretu UTW-jacy, którego premiera miała miejsce 24 kwietnia 2023 r. w auli UTW. Od premiery 8 maja 2017 r. przedstawienia pt. „My” konsekwentnie realizowane są założenia programowo-konstrukcyjne naszych spotkań kabaretowych. Założenia te przekazałem czytelnikom Kuriera Nr 28/2018 w artykule „Dlaczego kabaret?”, w którym podjąłem próbę wyjaśnienia, jak specyficzną, sceniczną formą sztuki jest kabaret. Nie ukrywałem tego, że korzystałem z wiedzy uzyskanej po przeczytaniu publikacji „Zarys teorii kabaretu” autorstwa prof. Michaela Fleischera z Instytutu Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Autor artykułu powołuje się na badania funkcjonujących w znanej obecnie formule kabaretów od około 100 lat, przeprowadzone przez J. Henningsena. Myślę, że nie czas i miejsce na szczegółowe omawianie publikacji i artykułu zamieszczonego w Kurierze. Osoby zainteresowane zapraszam do skorzystania z lektury (dostęp online:

<https://bibliotekacyfrowa.pl/dlibra/publication/114086/edition/104954/content>).

Przypomnę tylko wnioski, jakie posłużyły mi do budowania scenariuszy i reżyserii przedstawień kabaretowych. Kabaret ma wykorzystywać dwa generalne mechanizmy (rozrywki i uczenia się), z priorytetem pedagogicznego charakteru. Kabaret to gra z nabytymi zależnościami w wiedzy publiczności. Warunki niezbędne do jego zaistnienia to: obecność aktywnej publiczności, konstrukcja programu składającego się z następujących po sobie i tematycznie związanych ze sobą numerów (skeczów). Kabaret powinien maksymalnie wykorzystywać wniesioną przez publiczność wiedzę, odnosząc się do niej w trakcie programu, ale też musi mieścić się w przyjętych normach, kanonach i oczekiwaniach. Konstrukcja programu powinna stwarzać możliwości aktywnego uczestnictwa publiczności w odbiorze przedstawienia.

Zastanawiając się w zespole kabaretu nad tematyką kolejnego przedstawienia, staraliśmy się odpowiedzieć na zapotrzebowanie ze strony koleżanek i kolegów z UTW. Przewijające się w rozmowach i ofercie programowo-edukacyjnej tematy związane z historią i kulturą Wrocławia, podziwianą przez wszystkich wielokulturowością, były inspiracją do stworzenia programu „Z humorem i śmiechem zgłębiamy korzenie... i nie tylko”. Konstruując scenariusz, chcieliśmy w nim,

oczywiście w ogromnym skrócie, pokazać genezę powojennego Wrocławia, počawszy od Kresów, Lwowa, Krakowa, Siewierza, Wąchocka itp. Nasz powojenny Wrocław ma już 78 lat. Wpływ na jego rozwój i obecny kształt miało wiele pokoleń mieszkańców, počawszy od pionierów Wrocławia, którzy wnieśli do kultury, sztuki i nauki swoją wiedzę i doświadczenie z regionów, z których przybyli. Dlatego Wrocław szczyti się mianem miasta wielokulturowego. W programie przedstawienia w bardzo dużym skrócie postanowiliśmy pokazać te związki, określone w formule satyrycznej przedstawienia jako korzenie. Czy nam się udało? Pozostawiamy ocenie naszych widzów. Za konstrukcję scenariusza przedstawień jako jego prowadzący ponoszę pełną odpowiedzialność, ale nie wyobrażam sobie wywiązania się z tego obowiązku bez inwencji twórczej moich wspaniałych koleżanek i kolegów, członków kabaretu. I tak też było w przypadku tego przedstawienia.

Ponadto, bez względu na tematykę przedstawienia, zawsze zaczynamy występ hymnem kabaretu, w którym zapraszamy wszystkich do śpiewania razem z nami:

„...Raduj się i basta, bo pięknie dorastasz,
że z uśmiechem ci do twarzy,
śpiewaj hymn kabareciarzy,
teraz niech żale i smutki
dzisiaj mają żywot krótki.
Odkrywaj na nowo, żart i dobre słowo,
niech ci radość niesie złota życia jesień...”

W trakcie przedstawienia widzowie uczestniczą w ćwiczeniach w ramach terapii śmiechem, wg dr. Aleksandra Łemka. Konsekwentnie przypominamy naszej publiczności, że umiejętność śmiania się wzmacnia poczucie wartości i odporność na choroby, a nawet uśmierza ból. Minuta śmiechu przedłuża życie o godzinę!

W początkowej fazie przedstawienia wykonujemy piosenkę z motywem przewodnim. Tym razem był to utwór do słów Andrzeja Waligórskiego, z muzyką Józefa Kani, „My wrocławianie”, którym również zakończyliśmy spektakl. Widzowie otrzymali (co jest już tradycją) zaświadczenia, że znają się na żartach, nie przejawiają zaburzeń poczucia humoru, doświadczają uśmiechów, wiedzą, że przeciwności losu są śmiechu warte, że śmiech to zdrowie, za co ręczymy słowem humoru.

Pozwolę sobie pokrótce przedstawić przebieg przedstawienia. Zaczęliśmy piosenką „Wrocławskie serca bicie” na melodię „Senior za seniorem”, do której słowa napisała Ewa Alfut (tekst w załączeniu). W ten sposób wprowadziliśmy naszych widzów w tematykę przedstawienia, by następnie, skeczowym wejściem, zainteresować zebranych problematyką lwowską i kresowymi powiązaniem

z Wrocławiem. Irek Leśniowski ujawnił związki swojej rodziny z Zaleszczykami. Nie mogło zabraknąć popularnych piosenek lwowskich, do śpiewania których włączyła się nasza wspańska publiczność.

Członkowie kabaretu, cytując wyrazy i określenia z gwary lwowskiej, która jest mieszaniną różnych języków, ze śpiewnym przeciąganiem samogłosek, zaprosili do odgadywania ich znaczenia widzów. Określenia typu: absztyfikant, bajbus, lafirynda, chawira, chabazie, bimbać, bajerować itp. spotkały się z pozytywnym odbiorem i ich znajomością znacznej części widowni. Jak już wspomniałem, przewodnią piosenką, której fragment stanowił motto naszego przedstawienia, był utwór „My wrocławianie”.

Mówiąc o kresowych korzeniach, wspomnieliśmy o przywiezionych pamiątkach, wpływie ludności napływowej na kulturę, sztukę i naukę wrocławską. Parę razy powołaliśmy się na hrabiego Aleksandra Fredrę, który od 15 lipca 1956 r. cierpliwie siedzi na wrocławskim rynku, a z kościoła św. Maurycego czasami grozi nam palcem. Nie mogło zabraknąć jego fraszek, które mimo upływu lat zaskakują aktualnością.

Budując scenariusz bardzo się staraliśmy, przekazując w satyrycznym wydaniu wiedzę o korzeniach i naszym pięknym wielokulturowym mieście, pokazać, że jesteśmy wielkimi miłośnikami Wrocławia. Temu między innymi służyło wykonanie „Piosenki o Wrocławiu”.

*Kocham cię miasto najmiłsze, olśniona twoją urodą.
Tyś miastem marzeń spełnionych i nowych pragnień, i tęsknot.
Za urok kocham cię legend, za twoją starość i młodość,
za błękit wtopiony w Odrę, i za historii twej piękno...*

Od początku funkcjonowania w obecnej formule kabaretu UTW-jacy, zgodnie z tematyką danego przedstawienia, fraszki i wiersze do programu pisze nasz przyjaciel Jan Zacharski. (Fraszki zaprezentowane w programie zamieszczone zostały w niniejszym wydaniu „Kuriera”).

Po napisaniu 14 fraszek do programu, w kolejnych tygodniach stworzył ponad 200 fraszek wrocławskich o historii i dniu dzisiejszym miasta, obiektach kultury i sztuki, o mieszkańcach i... krasnoludkach wrocławskich. Fraszkę o krasnoludkach spowodowały przeistoczenie się członków kabaretu w grono krasnali, które w pomarańczowych czapeczkach, ze śpiewem na ustach nawiązało do ich korzeni w ramach wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy Waldemara Frydrycha z lat osiemdziesiątych. Wszystkie fraszki Janka przeczytałem i jako wrocławianin od 76 lat, jestem pełen podziwu. Szkoda, że jak dotąd nie znalazł się wydawca tych dowcipnych wierszyków.

Ważnym zagadnieniem jest, czym i jak najlepiej poruszać się po Wrocławiu? Oczywiście tramwajami, do czego już wiele lat temu przekonywała nas Maria Koterbska w piosence „Wrocławskie tramwaje”, ale też Janusz i Mirek w tematycznym skeczu. Jeszcze dźwięczy mi w uszach melodia, którą, tak jak wszystkie piosenki, pięknie wykonała, razem z zespołem kabaretu, wspinała publiczność.

Po podróży tramwajami sprawdziliśmy wiedzę o mijanych miejscach we Wrocławiu.

Za każdą prawidłową odpowiedź widz otrzymywał w nagrodę... lizaka. Pozostali musieli obejść się smakiem. Wzorem Irka niektórzy członkowie kabaretu ujawnili swoje korzenie – Janusz Traczyk z Wąchockiem (kieleckie scyzoryki) i Wielkopolską (poznańskie pyry), Zosia Sokołowska z Małopolską (krakowianki, co mają wianki). Ania Lemirska gwarą galicyjską podjęła próbę przekonania, że ma korzenie nowosądeckie. Zosia Sokołowska z Mają Garczyńską, Grażynką Niedużak – Mazurek i Mirkiem Siwkim zabrali nas śpiewnie do Siewierza. Dla osób związanych z Małopolską i Krakowem wspólnie zaśpiewaliśmy „Jestem sobie krakowianka”.

Na zakończenie jeszcze raz przypomnieliśmy piosenką „My wrocławianie”, że jesteśmy

*...My wrocławianie, drogi panie, wrocławianie,
przystojni chłopcy, piękne panie
mamy fason, styl i gest
My wrocławianie – tak jest!*

Myszę, że z przebiegu przedstawienia, tak członkowie kabaretu, jak i widzowie, mogą być zadowoleni. Tak naprawdę w wypełnionej po brzegi auli UTW nie było podziału na aktorów i widzów. Na pewno sporym atutem był program zbudowany z utworów szeroko znanych, do których wykonania włączyła się publiczność. Wspomnę także, że dzięki ogromnemu zaangażowaniu Sekcji Fotograficznej nasze przedstawienie miało wspaniałą oprawę scenograficzną. Wystawione zostały plansze ze zdjęciami Wrocławia z różnych miejsc i okazji. Oczywiście nie mogło zabraknąć fotografii wrocławskich krasnali. Ala Zgrzywa i Janek Urbaniak przygotowali prezentację multimedialną ze zdjęciami miejsc, o których wspominaliśmy w wykonywanych utworach. Na ekranie wyświetlały się teksty piosenek do wspólnego śpiewania. Wykonane elementy strojów i scenografii to zasługa wszystkich członków kabaretu we współpracy z Anią Lemirską, Krysią Sebzdą i Alą Ugrewicz. Za oprawę muzyczną i wspaniały akompaniament należą się gratulacje: Hani Wodzyńskiej – pianino, Eli Symie i Wiktorowi Wesołowskiemu – skrzypce, Staszкови Stembalskiemu – gitara. Ewa Śnigór i Łucja Żyłka Hill wniosły swoje doświadczenie chóralskie do wykonywanych piosenek.

Z uwagi na rozmiar artykułu nie jestem w stanie wymienić wszystkich osób zaangażowanych w stworzenie i przebieg przedstawienia. Pisząc o tym, chcę uzmysłwić czytelnikom niezaangażowanym czynnie w prace zespołów artystycznych, że scenarzysta, reżyser firmują imiennie przedstawienia, ale efekt końcowy to wynik pracy zespołowej.

Wszyscy członkowie kabaretu mogą być dumni z efektu swojej pracy. Uodowodnili, że są zespołem osób lubiących się i, mimo różnych przeciwności, gotowych do realizowania trudnych zadań. A przy wsparciu wspaniałej i życzliwej publiczności mogą podjąć się nowych wyzwań.

Do zobaczenia na kolejnych przedstawieniach, bo śmiech to zdrowie! Pozwólcie, że te moje refleksje na temat przedstawienia zakończę fraszką Janka Zacharskiego.

*Jest takie powiedzenie stare,
Że nasze życie to jest kabaret,
Jesteśmy ilustracją wzoru,
Że można studiować poczucie humoru,
To się szerokim odbija echem,
Bo stosujemy terapię śmiechem.*

Załącznik do artykułu

Piosenka „**Wrocławskie serca bicie**”, słowa: Ewa Alfut

Serdecznie witamy wszystkich tu zebranych,
dziś w sentymentalną podróż zapraszamy.

Pojedziemy z wami, wraz z wagonikami,
co są wierszem, pieśnią oraz wspomnieniami.

Pamięć zapisała historyje różne,
z wielu stron przybyli do miasta podróżni.

Niektórych przywiodła bardzo trudna droga,
przybyli z dobytkiem od samego Lwowa.

Z miast kresowych i wsi tu przywędrowali,
by założyć domy, które pokochali.

Na wrocławskim Rynku lwowiak Fredro stoi,
każdego przechodnia uśmiechem pozdrowi.

Po ulicach biega krasnoludków chmara,
znakiem miasta dziś jest ta ruchliwa wiara.

Po szynach kursują niebieskie tramwaje,
błyskiem słońca w oknach codziennie witają.

Nad Odrą rozpiętych jest tu mostów wiele,
z kochanym tak bardzo Grunwaldzkim na czele.

Nie sposób w piosence, nazbyt krótkiej na to,
wyśpiewać kto, za co, kocha swoje miasto.

Zapraszamy zatem w podróż razem z nami,
zapewne łzę z oczu otrzemy czasami.



„Z humorem i śmiechem zgłębiamy korzenie... i nie tylko” – występ Kabaretu UTW-jacy



Kabaret UTW-jacy

 Jerzy Czerwonka

Wczoraj – Dziś – Jutro

Każda społeczność, od tej rodzinnej po ogólnoswiatową, musi mieć w swojej tożsamości świadomość, że istniało tytułowe „wczoraj”, tak jak jest „dzisiaj” i będzie „jutro”. Z przeszłości i teraźniejszości nie można wybrać tylko tej części, którą akceptujemy historycznie bądź kulturowo. Jesteśmy bowiem ogniwem łańcucha, który rozpoczął się nie wiadomo jak i nie wiadomo kiedy i w podobny sposób się skończy.

Od kiedy sięgnę pamięcią, a jest to już 70 lat, moim miastem jest Wrocław. Do 1945 r. był uważany za jedno z piękniejszych miast Europy. W swej historii miasto było elementem wielu politycznych tworów, z których każdy pozostawił po sobie ślad. Po zwycięskich wojnach śląskich (1740–1763) pruskich Hohenzollernów z austriackimi Habsburgami, Wrocław stał się poważnym pretendentem do bycia stolicą całego Królestwa Prus. Żyzna Nizina Śląska i Sudety z bogactwem surowców (między innymi: złoto, miedź, cyna, węgiel) były zdecydowanie lepszym zapleczem nowego rozwoju niż okolice Królewca (*Königsberg*), bogatego jedynie w drewno i produkty drewniane. Jeden z rozbudowanych pałaców w centrum miasta otrzymał oficjalny status rezydencji królewskiej. Po zwycięskiej wojnie z Francją w 1870 r. znacząca część reparacji została przeznaczona na rozbudowę infrastruktury. W mieście powstały wodociągi, nowoczesna uliczna kanalizacja, oświetlenie gazowe, a także liczne gmachy publiczne. Zbudowane z czerwonej li-cowanej cegły szkoły, szpitale, urzędy czy okazała siedziba sądu, do dziś stanowią rozpoznawalny element w przestrzeni miejskiej. Uregulowano Odrę w obrębie miasta, a samą rzekę uczyniono spławną tak, że możliwy był transport towarów do i z Europy Zachodniej. Wytyczono szeroką, długą na 3,5 kilometra i szeroką na 30 metrów ulicę na miarę paryskich Pól Elizejskich czy petersburskiego Newskiego Prospektu (Kaiser Wilhelm StraÙe, obecnie ul. Powstańców Śląskich). Wzdłuż ulicy budowano rezydencje dla starej i nowej arystokracji oraz kamienice dla najbogatszych przedstawicieli mieszczaństwa. Przeprowadzono przez centrum bezkolizyjną linię kolejową o przebiegu wschód – zachód, a do portu w Malczycach (*Maltsch*) z zagłębia węglowego Wałbrzych – Nowa Ruda (*Waldenburg* – *Neurode*) zbudowano linię kolejową. Niestety po zjednoczeniu Niemiec pod egidą Hohenzollernów, Wrocław nie był w stanie konkurować z Berlinem.

W 1913 r. miały miejsce obchody stulecia wydanej przez Fryderyka Wilhelma III odezwy „Do mojego ludu” (*An Mein Volk*) wzywającej do powszechnego oporu przeciwko Napoleonowi Bonaparte. Powstało wtedy gigantyczne dzieło Maxa Berga w postaci Hali Stulecia (*Jahrhunderthalle*) wraz z otaczającymi licznymi pawilonami wystawowymi. Wrocław był znaczącym miejscem europejskich targów kwiatów i roślin ozdobnych. Wtedy też Cesarstwo Japońskie ufundowało ogród w stylu kraju kwitnącej wiśni. Podczas inauguracji Hali, wbrew intencjom cesarza, pominięto pamięć o zwycięskiej bitwie pod Lipskiem, będącej zwieńczeniem wspomnianej odezwy. Wystawiona wtedy sztuka *Festspiel im deutschen Reimen* noblisty Gerharda Hauptmana zawierała krytykę wojny i miała wydźwięk pacyfistyczny. Wybuchł skandal, po protestach weteranów wojennych i naciskach z Berlina, sztukę zdjęto z afisza.

Z Wrocławiem jestem także związany emocjonalnie ze względu na pamięć o moim stryjecznym dziadku, konsulu RP w latach 1932–1936. W rodzinnym przekazie zachowały się jego wspomnienia o Wrocławiu.

Przez niemal całą II wojnę światową miasto było jakby na jej uboczu. Dla alianckiego lotnictwa było za daleko, podobnie dla sowieckiego. Niestety w 1945 r., w mieście ogłoszonym wcześniej twierdzą, najpierw bezsensownie wyburzono w centrum miasta pas o długości 2 kilometrów i szerokości pół kilometra, aby przygotować miejsce pod lotnisko. Wyburzono wspaniałe kamienice, wielki protestancki kościół, a z lotniska wystartował jeden samolot, którym zbiegł hitlerowski dostojnik. W niedzielę Wielkanocną 1945 r. Sowieci mogli już użyć swoich samolotów i z pomocą głównie bomb zapalających zamienili znaczną część starego miasta wraz z Rynkiem w ruiny. Resztę dopełniły też wojska radzieckie, które zdobywając miasto od zachodu i południa, najpierw artylerią równały z ziemią przedpole. Wzdłuż wspomnianej reprezentacyjnej ulicy nie ocalał prawie żaden budynek. Pamiętam jak z centrum miasta kolejką wywożono gruz na wielkie usypiska odległe o trzy cztery kilometry od Rynku, burząc uprzednio nawet budynki, które można było uratować. Niestety jako ponemieckie nie były uważane za wartościowe. Dodatkowo, ponieważ „cały naród budował swoją stolicę”, potrzebna była cegła i tak zniknęło wiele budynków, w tym całe ocalałe dzielnice. Resztę zniszczeń dopełnił „szaber”, na który władza przymykała oko, ponieważ dotyczył dóbr niemieckich. Pamiętam, jak jadąc tramwajem w połowie lat 50. mijało się szeregi wielopiętrowych kamienic, patrzących wypalonymi oknami. Zniknęły one przez kolejne lata, ustępując klockowatym blokowiskom. Wśród nowych mieszkańców znaczącą część stanowili lwowiaci, dla których utrzymywanie wzajemnych kontaktów było niezwykle ważne. Wszyscy znali sąsiadów z bliższej i dalszej okolicy.

Do początku lat 60. mieszkałem w ocalałej kamienicy, położonej na obrzeżu wspomnianego lotniska. Wybieraliśmy z rówieśnikami z gruzów niewielkie ce-

gły o białej, szklwionej głównej ścianie, które świetnie nadawały się na dziecięce imitacje pociągów i tramwajów. Rodzice wyznaczyli mi ścisły obszar, w którym mogłem się poruszać. Oczywiście łamałem ten nakaz wyprawiając się na przeciwległe obrzeże placu po lotnisku. Tam bowiem o godzinie 10. zjawiał się drewniany specjalnie zaprojektowany, oczywiście poniemiecki, wóz przywożący kolejną dostawę świeżego pieczywa. Pamiętam do dziś zapach kajerek o mocno spieczonych wystających rogach, czy precli, przypominających kształtem tubę z orkiestry dętej, którego dolny gruby zawijas pokryty był solną glazurą. Niestety bardzo często podziwianie rozładunku przerywał mi karcący głos jakiejś dorosłej osoby: „A kawaler co tu robi!!!!?”. Pojawiło się bowiem obce dziecko, wymagające przywołania do porządku. Wtedy co sił w nogach pędziłem z powrotem do swojego matecznika.

Nad kamienicą i podwórzem panował stróż imieniem Józef. Moi rodzice nie mieli o nim dobrego zdania (a to spóźniał się z wymianą uszczelki w kranie, a to niedokładnie sprzątał klatkę schodową). Jednak, kiedy przychodził ze skargą na moje zachowanie (w moim mniemaniu oczywiście bezzasadną), Tata przyjmował zawsze jego wersję, a mnie karmił słowami „wstydu nie masz, żeby p. Józef musiał zwracać ci uwagę”. Obecnie chyba nie do pomyślenia. Rodzice natychmiast stają w obronie swojej pociechy. Dzieci co najwyżej wychodzą do piaskownicy przed domem, gdzie są pod czujnym okiem często mamy i babci jednocześnie, które natychmiast stają po stronie swojego potomka przy jakimkolwiek dziecięcym konflikcie. Starsze dzieci nie wychodzą z domu w ogóle i zamiast do upadłego uganiać się za piłką czy „zajeżdżać się” na rowerze, a w przypadku dziewczynek „poskramiać” na wszelkie sposoby trzepak, wpatrują się w ekran smartfona czy monitora komputera.

Potem przeprowadziliśmy się do blokowej kostki. Mieszkanie zamiast 100 m² miało 40, ale za to było centralne ogrzewanie. Zamiast ciągle dymiącego pieca były kaloryfery i przez 11 miesięcy ciepła woda zamiast jednego dnia w tygodniu (sobota), kiedy Tata rozpałał w zimnej łazience ogień pod miedzianym cylindrem, aby można było się wykąpać. Natomiast zniknęły już definitywnie wzajemne relacje, zwłaszcza wśród dorosłych.

Przez cały okres nauki w szkole, później na studiach przekazywano mi przeświadczenie, że ta historia sprzed 1945 r. nigdy nie istniała, a kanclerz NRF Konrad Adenauer w białym krzyżackim płaszczu dybie na moment, w którym odbierze nam Wrocław i nie tylko. Do dziś historia mojej szkoły, (wówczas podstawowej i liceum w jednym) na jej stronie internetowej rozpoczyna się w 1946 r. A przecież w budynku który zbudowano w 1929 r. mieściła się szkoła św. Marii Magdaleny o tradycji sięgającej XIII wieku. Studiowałem na uniwersytecie, który próbował nawiązywać do lwowskiego uniwersytetu Jana Kazimierza, nosząc jednak miano Bolesława Bieruta (od 1952 r.). W czasie strajków w marcu 1968 roku,

a może wcześniej, pojawiło się wśród studentów określenie, iż inicjały BB pochodzą nie od pamięci komunistycznego prezydenta-sekretarza tylko od Brigitte Bardot. Dopiero po roku 1990 dotarło do mnie, iż w moim mieście i na mojej uczelni studiowało i pracowało dwunastu noblistów z fizyki, chemii, medycyny, ekonomii i literatury. Ich losy i postawy były różne. **Max Born**, obok Einsteina czy Plancka jeden z najwybitniejszych teoretyków fizyki, ze względów etycznych odmówił uczestnictwa w realizacji Projektu Manhattan, efektem którego było powstanie bomby atomowej. Żył on jeszcze w okresie moich studiów (zmarł w 1970 r.) i niestety nie doczekał się ani zaproszenia, ani uhonorowania ze strony uczelni. Natomiast inny fizyk **Phillip Lenard** głosił jawnie poglądy antysemickie i faszystowskie, wprowadzając nawet termin „fizyka aryjska”. Z kolei **Fritz Haber** był jednym z organizatorów produkcji i zastosowania gazów bojowych przez armię niemiecką podczas I wojny światowej. W latach 20. XX wieku opracował metody produkcji Cyklonu B przewidzianego jako środek do dezynfekcji. Podczas II wojny światowej (już po śmierci Habera) hitlerowcy zastosowali ten gaz w komorach obozów koncentracyjnych.

Zmiany w podejściu do przeszłości postępują opornie. Przywrócono nazwę Hali Stulecia. Odrestaurowany zamek pozostał królewskim. Jednak głównej ulicy miasta nie zwrócono historycznej nazwy Ogrodowa (*Gartenstr.*) tylko powiązano z kolejnym aktualnie uznawanym za wzór politykiem.

W 1989 r. Uniwersytet Wrocławski po wielu staraniach ze strony pracowników naukowych pozbył się niegodnego patrona. Senat uczelni postanowił pozostać przy nazwie obowiązującej w latach 1945–1952.

W małym śląskim miasteczku, z którego pochodzi moja żona, przez lata każda wizyta autokaru na niemieckich numerach rejestracyjnych wywoływała falę co najmniej niechętnych komentarzy. Kiedy jednak ustała natarczywa propaganda, przy kolejnej wizycie w rodzinnym domu żony zobaczyliśmy na klatce schodowej stare fotografie. Przedstawiały one dom sprzed 1945 r. Mieściła się tu rozlewnia i dystrybucja piwa z okolicznych browarów. Okazało się, że te fotografie podarowali potomkowie dawnych właścicieli podczas wizyty w miasteczku. I spotkanie kolejnych pokoleń nagle zostało pozbawione dawnej wrogości. Ostatnio przeczytałem iż w plebiscycie na patrona jednej ze szkół w Wałbrzychu uczniowie i ich rodzice oraz nauczyciele i pracownicy szkoły wybrali księżnę **Daisy Hochberg von Pless** ostatnią właścicielkę zamku Książ. I uczynili to w uznaniu za wkład księżnej w rozwój miasta i okolic.

Czy można oczekiwać, że przyszłość nie będzie tak silnie dotknięta politycznymi zmianami? Chciałbym, żeby tytułowe „jutro” pamiętało o tym, co jest dziś i co było wczoraj. Bez wczoraj i dziś nie ma bowiem prawdziwego jutra, które nieuchronnie stanie się dniem dzisiejszym, a potem wczorajszym.



Freiburgerstrasse – tu za skrzyżowaniem po prawej mieścił się Konsulat RP – obecnie ulica Świebodzka (pozostał jedynie narożnik budynku sądu na pierwszym planie po prawej)



Promnitzstrasse (kreutz Franfurterstrasse) – obecnie ulica Białowieska (skrzyżowanie z ulicą Legnicką)



Kornerstrasse (kreutz Augustastrasse – obecnie ulica Trwała (skrzyżowanie z ulicą Radosną)



Gartenstrasse – obecnie ulica Piłsudskiego

* Fotografie współczesne – Jerzy Czerwotka, fotografie przedwojenne: <https://fotopolska.eu/wroc%C5%82aw+> [dostęp: 14.02.2023].

Ewa Alfut

Wrocław – moja miłość

Bądź pozdrowione miasto, wielkie i pełne tajemnic

H. Heine

Odkąd pamiętam zawsze kochałam Wrocław. Tutaj się urodziłam, ale wkrótce los rzucił mnie nieco dalej. We Wrocławiu pozostali bliscy, których często odwiedzałam.

Fascynowała mnie dolnośląska stolica i wierzyłam, że kiedyś tu wrócę. Widzę siebie, nastolatkę, która na słomianej macie (takowa wisiała niegdyś w pokoju każdej małolaty) przypina pocztówki nadodrzańskiego grodu i napis „Wrocław – moja miłość”.

Wróciłam. Zapуściłam korzenie, kocham swoje miasto. Trudno jest mi wskazać miejsce to naj, najbardziej ulubione. Lubię spacerować po Rynku, gołębie na Placu Solnym, zawsze przystanę przy stoiskach z kwiatami, poprzyglądam się różom, popodziwiam te królewskie kwiaty, czasem zamienię kilka słów z kwiaciarzami. Chętnie przechadzam się Świdnicką, wstępuję do kościoła Bożego Ciała, chowam się w cieniu arkad, oglądam wystawy sklepowe...

Jest jednak miejsce, które bardzo lubię o każdej porze roku. To widok z mostu Pokoju na Ostrów Tumski. Ilekroć znajdę się tutaj, wciąż od nowa oszałamia mnie piękno Wrocławia. Widok jak z pocztówki. W burej wodzie odbijają się najpiękniejsze zabytki miasta, najpiękniejsza i najstarsza jego część. Nad wszystkim górują wieże katedry św. Jana Chrzciciela. Rzeka, obejmująca swymi ramionami miasto, cicho szumi i płynie leniwie, szepcząc wrocławskie legendy, nucąc piosenki, tę o niebieskich tramwajach, i tę o wrocławianach, których już wiele niesłychanie.

Lubię wiosną, kiedy dopiero zieleni się trawa i liście nieśmiało wyglądają z pąków, przejść się wzdłuż wałów Odry, zaczynając właśnie od Mostu Pokoju, patrzeć na wodę, na ukochany Wrocław. Często spotykam studentów ASP, którzy na białych kartonach uwieczniają piękno oglądanego miejsca. Cieszę się oddechem i urodą ukochanej pory roku w najmilszym sercu miasteczka.

Lubię latem, kiedy mocno świeci słońce, przystanąć na chwilę na moście, popatrzeć na gmach Muzeum Narodowego, na park, na rozpościerającą się przede mną przestrzeń, na rzekę, po której płyną stateczki pełne roześmianych turystów, na nadbrzeżne bulwary tętniące życiem.

Najpiękniej jest jesienią, kiedy złocą się liście. Od lat zachwyca pyszniący się kolorami imponujący bluszcz otulający ceglane ściany Muzeum Narodowego. Idę wzdłuż wałów, bulwarem Ksawerego Dunikowskiego i wciąż na nowo chłonę urok mojego ukochanego miejsca. Wszystkim, których goszczę we Wrocławiu, pokazuję zakątek, gdzie króluje woda, drzewa, historia i piękno ukryte w starych murach.

Zdarza mi się przejeżdżać tamtędy nocą. Odra szemrze tajemniczo, a podświetlone wieże katedry ślą pozdrowienia i uśmiechają się do mnie.

Skądkolwiek bym nie wracała, nawet z miast uznawanych za najpiękniejsze (ja także chylę głowę przed ich urokiem), zawsze cieszę się, że wracam do mojego Wrocławia. Do miasta pełnego tajemnic, do niedźwiadka przed Piwnicą Świdnicką (ponoć spełniającego życzenia, gdy się go pogłaszcze), do wielu mostów, parków, kolorowych kamieniczek w Rynku i hrabiego Fredry, któremu często tajemniczy wielbiciel kradną pióro.

Cieszę się, że znów stanę na Moście Pokoju, a potem udam się na spacer wzdłuż wałów Odry. Jeśli pogoda dopisze, odpocznę na ławeczce niedaleko Hali Targowej lub na ławeczce przy kościele Najświętszej Marii Panny na Piasku. Popatrzę na ukochane miejsca w ukochanym mieście i szepnę: „Bądź pozdrowione miasto, wielkie i pełne tajemnic”.

Alicja T. Pawlik

Pięć przystanków tramwajem plus jeden

Początek czerwca, poranek pięknie zapowiadającego się słonecznego dnia; wprawdzie to jeszcze nie lato, ale nastały pierwsze zwiastujące je gorące dni. Muszę jechać na cotygodniowe spotkanie, aż na ul. Św. Jadwigi na Ostrowie Tumskim i nie zdradzę tajemnicy, jeśli wyznam, że jeżdżę tam głównie dla miejsca, gdzie odbywają się te zajęcia. Nie wezmę samochodu, skorzystam dzisiaj z komunikacji miejskiej, z korzyścią dla zdrowia, środowiska i by oglądać miasto przez szyby autobusu i tramwaju, bez konieczności skupiania uwagi na zatłoczonych ulicach.

Najpierw muszę jechać autobusem, który kończy kurs pod kolejowym Dworcem Głównym, ale wolę wysiąść przystanek wcześniej, pod galerią Wroclavia, by popatrzeć na mój ukochany dąb na rogu ulic Borowskiej i Swobodnej. Dąb jest wysoki, rozłożysty i przeżył już niejedno ludzkie działanie zagrażające jego egzystencji, np. ostatnio budowę olbrzymiej galerii handlowej w pobliżu. Drzewo się nie poddaje i wciąż wygląda świetnie. Jest ogrodzone niziutkim płotkiem, ma zie-

loną tabliczkę z informacją, że jest pomnikiem przyrody i nazywa się Pielgrzym, choć stoi w tym miejscu bez przerwy już 400 lat! Wsiadłam z autobusu, spoglądałam na Pielgrzyma i... zaraz! Gdzie jest wronie gniazdo, zresztą jedyne, jakie zawsze było wysoko w koronie dębu? Nie ma, nie widzę go! Gorączkowo myślę, co mogło się stać i gdzie mogłabym interweniować. Czyżby znowu jakaś okropna ludzka ingerencja, czy może wrony miały dość zgiełku i szumu pobliskiej galerii handlowej i wyprowadziły się? Ale co się stało z gniazdem?! Nadjechał mój tramwaj nr 8 i żeby się nie spóźnić, musiałam podbiec do przystanku. Byłam bardzo zdenerwowana i zmartwiona; gdzie jest gniazdo i co się stało z wronią rodziną?!

Na następnym przystanku mój nastrój poprawiły śliczne drzewka obsypane różowym kwieciem, ozdabiające przestrzeń wokół Dworca Głównego. Nie wiem, jak one się nazywają, ale są cudne i nadzwyczaj dobrze swą różowością podkreślają czas wiosny.

Naprzeciwko dworca, po drugiej stronie ul. Piłsudskiego, trwa kapitalny remont słynnego hotelu Grand, którego ukończenie planowane jest na 2024 r., a pieczołowicie rewitalizowana elewacja od strony ul. Piłsudskiego i od strony ul. Kołłątaja ma być odsłonięta lada moment, bo w połowie 2023 r. Jestem bardzo ciekawa efektu rewitalizacji hotelu, bo noszę w sobie wiele sentymentalnych wspomnień z nim związanych; spotykałam się w restauracji Grand na dancin-gach z moim mężem, wówczas narzeczoną, to były wieczory! Hotel, który no-sił wtedy nazwę Nord Hotel, odzyskał przedwojenną wieżę. Podobna wieża była (i jest) na szczycie Hotelu Piast, stojącym na przeciwległym rogu ulic Piłsudskiego i Kołłątaja. Obie tworzyły jakby bramę wjazdową miasta prowadzącą do Rynku.

Ruszamy spod dworca w ulicę Kołłątaja, przez okno tramwaju widzę szyld z nazwą „Łap Ciuch”. Nazwa mnie rozbawiła, ale i nieco zdziwiła. To chyba second hand, sklep z odzieżą używaną. Ale kto chce kupować w „łapciuchu” i czy ma wyglądać jak „łapciuch”, czyli jakiś oberwaniec, łapserdak? Ciekawe, czy są klienci w tym sklepie? Właściciel może chciał sparafrazować hasło: Łap okazję, ale według mnie wyszło niefortunnie...

Jedziemy i dwa przystanki dalej mogę podziwiać z okna tramwaju wielki mural na ścianie budynku na rogu ulic Teatralnej i Piotra Skargi. Mural przedstawia piosenkarkę Marię Koterbską, która wyśpiewała kiedyś przebój „Piosenka Wrocławska”, powszechnie znany jako „Mkną po szynach niebieskie tramwaje...”. To było dawno temu, chodziłam wtedy do przedszkola, ale później, jeszcze przez wiele lat, piosenka była grana i śpiewana. Nie wiem tylko, dlaczego na muralu pod postacią M. Koterbskiej widnieje tramwaj nr 17. Po powrocie do domu sprawdziłam, czy ma on trasę zgodną ze słowami piosenki: „...przez Sępólno, Zalesie i Krzyki niesie piosenkę wrocławski wiatr...” – i faktycznie, trasa 17-ki również dzisiaj wiedzie przez ulice Sępólna i Zalesia do Krzyków. Do następnego przystanku nucę w myślach:

*Mkną po szynach niebieskie tramwaje
przez wrocławskich ulic sto.
Tu przechodnia uśmiechem witają
dzieci i kwiaty, i każdy dom.
Na przystankach nucą słowiki,
śpiewem ich brzmi cały świat.
Przez Sępolno, Zalesie i Krzyki
niesie melodię wrocławski wiatr...*

Po kolejnym przystanku mijamy okazały budynek IX LO im. Juliusza Słowackiego przy ul. Ks. Piotra Skargi 31. Wybudowany na przełomie XIX i XX w. w stylu neogotyckim ma elewację z jasnożółtej cegły z elementami glazurowanymi w kolorach zieleni i brązu oraz zdobiony jest sterczynami i portalami. Lubię ten budynek; pamiętam, jak moja nieco starsza kuzynka robiła tam maturę w systemie wieczorowym i rozpaczliwie namawiała mnie, abym poszła za nią na egzamin pisemny z polskiego; skończyło się na moim dyżurze ze ściągami w okolicach szkolnej łazienki. Dyżur był tylko wsparciem psychicznym, kuzynka poradziła sobie bez ściąg.

Na jednym ze szczytów można zauważyć datę 1891, na szczycie drugiej części gmachu rok 1893, natomiast pod jednym z ozdobnych daszków umieszczono kamienny herb Wrocławia. Wśród interesujących detali zewnętrznych widzę płaskorzeźbę głowy i nad nią widoczny instrument muzyczny, chyba lirę, otoczony motywami roślinnymi (liście laurowe?). Nigdy wcześniej nie przyjrzałam się tej płaskorzeźbie, a teraz wydaje mi się, że ta głowa to podobizna Chopina, i w dodatku ten instrument... Nie, to chyba niemożliwe, przecież Liceum jest im. Juliusza Słowackiego, to co by tu robił Fryderyk Chopin? Po powrocie do domu wyszukałam informację, że to popiersie znakomitego niemieckiego kompozytora, pianisty i dyrygenta Carla Marii von Webera i jest tam pod spodem tablica (słabo czytelna) upamiętniająca jego miejsce zamieszkania we Wrocławiu w okresie 1804–1806. Ha! Więc dowiedziałam się czegoś nowego.

Na przystanku pod Galerią Dominikańską wsiadło, jak zwykle, sporo osób. Na wolnym miejscu naprzeciwko mnie usiadł, ciężko dysząc, mocno starszy pan i postawił przy sobie dużą torbę na kółkach wypełnioną zakupami; zmęczony, ocierał pot z czoła. Na kolejnym przystanku mój sąsiad wstał, a ja, myśląc że idzie do wyjścia, patrzyłam, czy sobie poradzi, czy może mu pomóc. Nie, pan przesiadł się na zwolnione miejsce po przeciwnej stronie tramwaju, za starszą tęgą kobietą. Po paru sekundach, gdy odsapnął (nawet nie zdążyłam odwrócić wzroku), przechylił się do przodu, sięgając po wypełnioną czymś torbę, którą kobieta przytrzymywała z boku siedzenia. Kobieta gwałtownie się obróciła i spojrzawszy na mężczyznę puściła rączki torby, którą on podniósł i umieścił na swoich kolanach,

uśmiechając się przy tym do tej pani. Odwróciłam wzrok, lecz urzeczona tym uśmiechem myślałam, ile w tym było czułości i oddania, i pogody, mimo widocznego zmęczenia usprawiedliwionego wiekiem i pierwszym gorącym dniem wiosny. Niby zwykły gest zwykłych ludzi, a może dać tyle ciepłego uczucia, nawet, takim jak ja, postronnym osobom.

Wysiadam na piątym przystanku, pod zabytkową, wciąż czynną Halą Targową i już w klimacie starego pięknego miasta przechodzę przez most Piaskowy w ul. Św. Jadwigi i otoczona pięknym widokiem tego traktu, zmierzam do mojego docelowego miejsca.

Już po spotkaniu, zaraz po wyjściu z budynku nie mogę się powstrzymać i skręcam w Bulwar Włostowica, zwabiona zapachem kwitnących drzew, krzewów i kwiatów, a także śpiewem kosa; zrobię krótki spacer przed powrotem do domu. Jak przecinek na tym sielskim obrazku siedzi żebrak; gorączkowo szukam w torebce pieniędzy, a drugim okiem i uchem wychwytuję skrzypka – jest, gra na Moście Tumskim i muszę mieć dla niego też jakiś grosik. Dzielę na pół znalezione w torebce pieniądze i wrzucam do puszeki żebrakowi (trochę zbija mnie z tropu jego młode, bezczelne spojrzenie) i idę trochę dalej posłuchać skrzypka – wrzucam pieniądze do otwartego futerału na skrzypce; uśmiechamy się do siebie – czy może być coś miłszego? Nie wracam już na „swój” przystanek pod Halą Targową, lecz podchodzę do wcześniejszego na pl. Bema. Naprzeciwko przystanku, po drugiej stronie ulicy bardzo długa kolejka (jak zwykle) pod słynną piekarnią, gdzie jest podobno najlepszy chleb w mieście. Kiedyś nawet spróbowałam, ale może nie miałam szczęścia? Zdecydowanie wolę swój orkiszowy z Chleboteki. Zapach chleba dobiegający przez szerokość ulicy do nas, stojących na przystanku tramwajowym, jest naprawdę cudowny.

Nadjechał tramwaj nr 8, którym jadę z powrotem pod Wrocław, aby się przesiąść do autobusu prowadzącego pod mój dom. Jestem w bardzo dobrym nastroju, tylko myślę o tym brakującym wronim gnieździe na dębie. Po wyjściu z tramwaju, zanim poszłam na przystanek autobusu, podeszłam do Pielgrzyma i zaczęłam go dokładnie, szczegółowo oglądać, gałąź po gałęzi. I co? Jest! Jest gniazdo! – ale chyba wrony je przeniosły i nieco zmodyfikowały, bo zdecydowanie jest mniej rozłożyste, a właściwie jakieś bardziej podłużne, a może to ostatnie mocne podmuchy wiatru narobiły w nim szkody? Ale jest i wrona; uff, mogę spokojnie wrócić do domu.

Siedząc już w autobusie, rozmyślałam o tym, co mnie spotkało, co udało mi się zobaczyć, co wprowało mnie w tak dobry nastrój, a było to tylko pięć przystanków tramwajowych plus jeden dodatkowy na ul. Bema.

Jan Zacharski

Fraszki wrocławskie

Na fali

Od stycznia do grudnia
miasto nam zaludnia.
Zawsze jest na fali
tłum miejskich krasnali.

Rządzą nami

Wrocławianie, na bok smutki,
rządzą nami krasnoludki.
Na pierwszoplanową postać wyrasta
krasnal – honorowy obywatel miasta.

Bardzo wiele

Znana z Konopnickiej sierotka Marysia
jest we Wrocławiu nieobecna dzisiaj.
Są za to bajkowi jej przyjaciele,
bo krasnoludków u nas bardzo wiele.

Orędzie

Tłum krasnoludków o tym pamięta,
aby się zwrócić do Prezydenta.
Pan, Panie Sutryk, Ty nami rządz,
Ty naszym głównym krasnoludkiem bądź.

Specjalność

Brzmi zadowolenia nutka,
wszędzie spotkasz krasnoludka.
On miasto w świecie rozsławia,
bo to specjalność Wrocławia.

Kultura wysoka

W Klubie Muzyki i Literatury
obcujemy z dziełami kultury.
Są w tej dziedzinie możliwości duże,
kłaniam się nisko wysokiej kulturze.

Z cokołu

Fredro kierując się swoim talentem,
obdarzył nas Cześnikiem, jak również Rejentem.
Teraz z cokołu swojego pomnika
ocenia styl rządzenia przez Jacka Sutryka.

Sentyment

Do wspomniania szczyć się talentem,
kieruję się dziś lwowskim resentymentem.
Dlatego nie bez podstaw kieruję te słowa,
że każdy wrocławianin jest trochę ze Lwowa.

Trochę ze Lwowa

Szczepcio i Tomcio to moi idole,
mój wschodni akcent ważną pełni rolę.
Dlatego dzisiejsza rzeczywistość sprawia,
żem trochę ze Lwowa, a trochę z Wrocławia.

Rynek

Co do Ratusza to przyznać muszę,
że ja się bardzo zachwycam Ratuszem.
Dwie kamieniczki Małgosia z Jasiem
też się na mojej znajdują trasie.
Do losów miasta to jest przyczynek,
nowe oblicze ma Stary Rynek.

Most

To rozwiązanie jest całkiem proste,
jest most Grunwaldzki wiszącym mostem.
Nie muszę stawać w jego obronie,
bo co ma wisieć, to nie utonie.

Panorama

Wielką atrakcją, jak głosi fama
jest Raławicka Panorama.
To wyróżnienie doprawdy rzadkie,
tej ważnej bitwy być czynnym świadkiem.

Ossolineum

To jego losów epoka nowa,
Ossolineum przyszło ze Lwowa.
Odtąd w wysokiej bywają cenie
jego wrocławsko-lwowskie korzenie.

Krasnal

Moja mowa będzie krótka,
Wrocław kocha krasnoludka.
Nikt nie powie mu wynocha,
on też nasze miasto kocha.



Dni Seniora – Wrocław 2023. Marsz Kapeluszy z udziałem Słuchaczy UTW w UWr.

Ewa Alfut

Oni są wśród nas, Poeci

Poeta, któż to jest? Co wyróżnia poetę spośród innych, czy w jakiś sposób emanuje czymś niezwykłym, czy też niczym szczególnym nie wyróżnia się spośród tłumu?

Definicja słownikowa określa tak zwyczajnie, że poeta, to ten, kto pisze wiersze. Ot, tak po prostu...

Pani Stanisława Kalus, prawnik, sędzia, profesor nauk prawnych, profesor zwyczajny Uniwersytetu Śląskiego i innych uczelni, specjalista w zakresie prawa cywilnego, poetka, mówi w jednym ze swoich wierszy: „Nie jestem poetą”. Czy aby na pewno, czy słowa te nie są jakimś rodzajem kokieterii i puszczania do czytelnika przysłowiowego oczka?

Na te pytania próbowałam uzyskać odpowiedź, przeglądając tomiki wierszy pani Stanisławy (wydała ich kilka), szczególnie ten ostatni „Zaskakujący finał naszej ziemskiej podróży” (wszak *navigare necesse est*).

We wspomnianym tomiku odnajdziemy smutek przemijania, refleksje dotyczące starości, która „przychodzi niepostrzeżenie, nieproszona, nieoczekiwana, niepotrzebna, nieakceptowalna” („Starość”), niepokoje wywołane pandemią, osamotnieniem, samotnością, rozważania dotyczące naszej egzystencji i tego, czy można nad nią panować, kierować w tym niespokojnym, pędzącym świecie.

Na ważne pytania dotyczące życia, codzienności, próbuje dać odpowiedź człowiek dojrzały, poeta. W wierszu „Starość dawniej i dziś” padają słowa: *Starość dawniej snuła się powoli, mierzona tylko zerwanymi z kalendarza kartkami, świętami coraz gęściej na siebie nachodzącymi...*, dawniej, ale teraz już jest i poetka, mimo smutku i niepokoju, próbuje nam dać receptę, a może raczej podpowiada, jak się odnaleźć, gdy wydaje nam się, że jesteśmy niepotrzebni, bo młodość odeszła, wraz z nią często także bliscy nam ludzie, gdy *zwinęto nam świat i nikomu nie jest potrzebna nasza praca, przecież inni wiedzą lepiej* („Niepotrzebni”)...

Znajdziemy tu także egzystencjalne pytania, które bombardowały nas niepokojnie w okresie czarnego okresu pandemii, szczególnie jej pierwszego etapu, gdy wielu z nas nie wiedziało: *kto mi skradł mój świat, tak piękny, czysty i znajomy, dokładnie zwiedzony, odczytany, rozpoznany wielokrotnie, wyteścniiony, taki mój* („Kto mi skradł mój świat”).

Przeplatają się w tych wierszach smutek, tęsknota, zaduma, ale i radość życia, zachwyt światem, gdy poetka patrzy przez okno i widzi białe ściany, czerwone dachy i dźwigi wznoszące miejskie, grożące potokiem samochodów, blokowiska, ale i wypływające na niebo chmury, jakże różnych kształtów i kolorów..., stwierdza: *Widzę wtedy, że świat jest niezwykle piękny i wielki... Ciągle zachwyca swoimi przemianami* („Kiedy jestem sama”).

Odnajdziemy zapewne swoje troski i niepokoje, być może niejeden czytelnik dojrzy w tych utworach skrawek własnego życia.

Znajdziemy tu także 30 wierszy, trenów, powstałych po śmierci męża, długoletniego towarzysza ziemskiej podróży.

Warto sięgnąć również po inne tomiki poezji pani Stanisławy Kalus i może spróbować odpowiedzieć na pytanie, które postawiłam na początku, pytanie o byciu poetką, który widzi inaczej. Inaczej, czyli jak – barwniej, czulej, mocniej i do którego wiersz:

Przychodzi czasem nocą
 We śnie
 Skojarzenie, pomysł, idea.
 Wypuszcza ona jak gałąź drzewa na wiosnę
 listki słów
 nadające jej kształt, barwę,
 muzykę na wietrze.
 Zapuszcza też korzenie.
 Wiąże się z rzeczywistością,
 nabiera powagi, stałości.
 Pnie się także w górę
 Do słońca, ciepła, światła i życia
 do odwiecznej siły istnienia i dobroci...
 („Jak powstaje wiersz”).

Stanisława Kalus

STAROŚĆ DAWNIEJ I DZIŚ

Starość dawniej snuła się powoli,
 mierzona tylko zerwanymi z kalendarza kartkami,
 świętami coraz gęściej na siebie nachodzącymi.
 Tyle ciągle mieliśmy pomysłów,
 tyle planów na dłuższy czas,

ciągle wiele potrzeb, które czekać nie mogą,
 odwiedzin znajomych, którym trzeba pomóc.
 Pojawiła się teraz nagle straszliwa pandemia,
 wcisnęła nas w zakamarki naszych mieszkań,
 zabroniła wyjścia na puste od razu ulice,
 wprowadziła obowiązkowy zakaz kontaktów,
 wpędziła nas w paniczny strach przed zakażeniem.
 A przecież jednak nie zmarliśmy od razu,
 oceniamy rozumnie zasady i sposoby,
 uniknięcia zarazy, która dla nas
 i tak już poważnie chorych i starych
 byłaby powodem ostatecznego odejścia.
 Czytamy, co jeszcze nam pozostało,
 słuchamy muzyki klasycznej w najlepszych wykonaniach,
 piszemy o naszych przeżyciach, tak wspaniale pamiętanych,
 rozmawiamy z naszymi laptopami
 i poprzez nie z wielu jeszcze aktywnymi przyjaciółmi.
 Słuchamy starych nagrań
 z naszych wspaniałych tłumnych spotkań
 gdy byliśmy tacy młodzi, śpiewający do dziś pamiętane
 jazzowe ballady, przy akompaniamencie gitar,
 w kołyszącym rytmie perkusji, w jedności i radości.
 Pieśni nasze były pełne wielkiej tęsknoty za wolnością,
 otwarciem na świat dotąd szczelnie zamknięty,
 wyciąganiem rąk do innych ludzi
 bez względu na ich przekonania, kolor skóry,
 poszukiwaniem w nich dobra i piękna.
 Szkoda, że to nasza historia,
 przychodząca tylko w chwilach załamania.
 Dobrze jednak, że możemy się nią z młodymi podzielić, dać im
 choć chwilę oddechu, powrotu do starych wartości,
 do muzyki i tekstów, które łagodzą obyczaje.

NIEPOTRZEBNI

Przeżyliśmy tak wiele lat
 od wojennego głodu i ciągłej obawy śmierci
 poprzez czas wiecznych braków
 ale opromieniony radością tego,
 co udało się zbudować, osiągnąć,

ukochać i stworzyć.

Teraz jednak zwinięto nam świat,
zniszczono wszystko,
co udało nam się osiągnąć, wylano tony błota
na nasze w trudzie osiągnięte sukcesy.
Staliśmy się nikim, trudnościami, problemami,
my niepotrzebni.

Zajmujemy przecież mieszkania,
które z trudem zbudowaliśmy,
ale których młodym, nic nieumiejącym
bardzo by się przydały.

Zajmujemy czas lekarzom, którzy są albo zbyt zajęci,
albo ich po prostu nie ma, a nasze dolegliwości
są ich zdaniem niepoważne.

Bierzemy nasze oszczędzone pieniądze,
zdeponowane na właściwych funduszach,
ale przecież kto już nie pracuje,
to niech już też nie je.

Tyle napisaliśmy, tyle wykładów wygłosili,
tyle dyskusji odbyliśmy, tak wiele zaplanowaliśmy,
ale teraz jesteśmy niepotrzebni.

Nikomu nie jest potrzebna nasza praca,
przecież inni wiedzą lepiej,
po co te godziny, dni i lata studiów
nie tylko w kraju, ale i w świecie szerokim,
skoro przeważa pogląd, że należy usiąść
przy komputerze, który zebrał inną wiedzę
a to on jest tylko decydom potrzebny.

Co nam zatem pozostało,
Nam zupełnie niepotrzebnym?

KTO MI SKRADŁ MÓJ ŚWIAT?

Kto mi skradł mój świat?
 Taki piękny, czysty, znajomy,
 dokładnie zwiedzony, czytany,
 rozpoznany wielokroć, wytęskniony,
 taki mój.
 Jeszcze do wczoraj wiedziałam
 co to lazur południowych mórz,
 co to zapach i smak frutti di mare,
 gdzie rosną najlepsze wina.
 gdzie ludzie najserdeczniejsi,
 gdzie słońce najmiłsze,
 gdzie raj.
 Kto wyciszył mój świat,
 zgasił dźwięki światowej muzycznej klasyki,
 wyrzucił zespoły jazzowe, orkiestry symfoniczne,
 stłumił głosy chórów i solistów
 zapomniał tylko wyłączyć żałobne marsze.
 W jakie obszary wieczności odeszli
 najwięksi twórcy muzyki
 i jej najwspanialszy wykonawcy
 czy teraz zapadnie martwa cisza?
 A jeszcze tak niedawno
 świat był szeroko otwarty,
 mieliśmy tak wielu przyjaciół,
 często z nami skontaktowanych.
 Cieszyliśmy się ich sympatią,
 czasem pomocą i współpracą.
 Co się stało, że nagle to wybuchło,
 że wbito nas w kwarantanny,
 areszty domowe,
 zakazy ściśle egzekwowane?
 Teraz nie ma już nic,
 niedostępne jest przecież nawet
 oczekiwanie wiosennego wysypu tulipanów,
 uśmiechów żółtych krokusów i srebrnych bazi
 odeszli gdzieś mili ludzie tak bliscy,
 pustka dookoła,
 niepewność i strach.

Jerzy Sosnowski

Samotny tłum. Postscriptum

Inspiracją do napisania do „Kuriera” nr 32/2022 artykułu zatytułowanego „Samotny tłum” był fakt ogłoszenia przez Prezydenta Wrocławia „Roku 2022 Rokiem Dobrych Relacji – przeciwko samotności”. W UTW podchwyciliśmy tę inicjatywę i zorganizowaliśmy 29 września 2022 r. konferencję naukową pt. „Uniwersytet Trzeciego Wieku przestrzeni dobrych relacji”. Wydany z tej okazji Kurier UTW dotarł do uczestników i gości konferencji oraz szerokiego grona słuchaczy. Nie ukrywam, że byłem bardzo zadowolony z reakcji czytelników, z wymiany zdań, niekoniecznie akceptujących mój punkt widzenia. Nigdy nie ukrywałem i nie ukrywam, że jest to bardzo osobisty punkt widzenia w oparciu o doświadczenia życiowe. Ale to co mnie spotkało poza UTW, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

Pewnego marcowego dnia wychodząc z UTW w kierunku przystanku autobusowego usłyszałem zachrypnięty głos:

– Dzień dobry panu.

To mężczyzna około sześćdziesięciu lat, z parodniowym zarostem, w bardzo zniszczonym, wręcz brudnym ubraniu, o powierzchowności osoby bezdomnej lub z marginesu społecznego.

– Dzień dobry panu – odpowiadam

– Szanowny panie, jest pan pierwszą osobą, która odpowiedziała na moje słowa powitania.

Odpowiedział pan po spojrzeniu na mnie i mój bardzo niechlujny wygląd. Nie było to dla pana żadną przeszkodą.

– Drogi panie, nauczyłem się w swoim już dosyć długim życiu nie oceniać ludzi po wyglądzie, tylko tym, co reprezentują sobą. Staram się w każdej sytuacji dostrzegać drugiego człowieka i odczytywać intencje. Trudno, żebym na słowa powitania skierowane do mnie, nie odpowiedział.

– Niestety wiele osób tak nie uważa. Nie wiem, czy zgodzi się pan ze mną, ale w otaczającym nas świecie mamy coraz częściej do czynienia z samotnym tłumem, gdzie czujemy się coraz bardziej samotni, wyobcowani.

Po tych słowach stanąłem jak wryty. Pan zapytał:

– Czy coś się stało? Czy może czymś pana uraziłem?

– Nie, tylko zaskoczył mnie pan tym porównaniem. Czyżby przeczytał pan książkę pod tytułem „Samotny tłum” amerykańskiego socjologa Davida Riesmana?

– Nie, nie czytałem. Nawet nie słyszałem o takiej książce. Od paru lat nie miałem żadnej w ręce, ale kiedyś, szczególnie w młodości, dużo czytałem. Chyba wszystkie powieści Conan Doyle’a i Karola Maya, Henryka Sienkiewicza. A do określenia obecnych relacji między ludźmi jako samotnego tłumu doprowadziły mnie doświadczenia życiowe. Mógłbym godzinami panu opowiadać, jak rozwalało mi się życie osobiste. Jak straciłem pracę. Jak popadłem w kłopoty finansowe. Wiem, że prawie każdy w swoim życiu musi się mierzyć z problemami i je rozwiązywać. Gdy wszystko nam się dobrze układa, mamy wokół siebie wiele osób, które z przyjemnością ocierają się o nas. Gdy wpadamy w kłopoty, to tłum jest, ludzie ocierający się też, ale nie dostrzegają nas i wyciągniętej ręki. Czyż nie jest to samotny tłum? A ja jestem osobą samotną, która może liczyć tylko na siebie.

Popatrzyłem na mojego rozmówcę ze zrozumieniem i współczuciem. Zobaczyłem w nim człowieka po przejściach. Dostrzegłem jednak iskierkę nadziei na poprawę sytuacji życiowej. Zadałem pytanie:

– A może chciałby pan zostać słuchaczem Uniwersytetu Trzeciego Wieku, który tu się mieści (wskazałem ręką budynek). W sierpniu będziemy przyjmowali podania od osób w wieku ponad 60 lat, będących na emeryturze lub rencie.

– Drogi panie, skończyłem już 60 lat, ciągle pracuję i muszę pracować po kilkanaście godzin na dobę, aby mieć z czego żyć i uregulować liczne długi. Może w przyszłości skorzystam z zaproszenia.

– Trudno, dziękuję za rozmowę i życzę panu, aby w tym może nie zawsze samotnym tłumie spotkał pan przyjazne mu osoby z wyciągniętą ręką. Życzę, by udało się rozwiązać problemy.

– To ja panu dziękuję. Nawet nie zdaje sobie pan sprawy, ile dla mnie znaczy ta rozmowa. Gdy wrócę do domu, umyję się i ogolę. Zrobię pranie i postaram się nieco ogarnąć. Dziś mam piękny dzień. Natchnął mnie pan nadzieją, że w tym tłumie można spotkać osoby pozytywnie reagujące na drugiego człowieka bez względu na powierzchowność.

W autobusie wpadłem w tak głęboką zadumę, że omal nie przegapiłem „mojego” przystanku. W domu nie mogłem powstrzymać się przed sięgnięciem do wspomnianego we wstępie artykułu o samotnym tłumie.

Zastanawiałem się, czy „mądre” słowa w artykule nie znalazły potwierdzenia w sytuacji z jaką miałem do czynienia „...ważne jest, aby bezkrytycznie nie ulegać kulturze masowej, abyśmy przewartościliśmy stosunek do otaczającego środowiska do otaczających nas ludzi. Stąd nieodzownym warunkiem sukcesu w naszych relacjach międzyludzkich jest postawa wysoce uspołeczniona. Relacje międzyludzkie towarzyszą nam w codziennym życiu prywatnym i zawodowym, bez względu na wiek, wykształcenie i status społeczny. W budowaniu i utrzymaniu dobrych relacji ważny jest wzajemny szacunek, zaufanie, empatyczne podejście do drugiego człowieka, próba zrozumienia, co chce nam przekazać...”.

Nie wiem, jak potoczą się losy spotkanego rozmówcy, ale jeśli uwierzy, że w samotnym tłumie jest szansa na spotkanie osób, które będą dostrzegać go i reagować na to, co ma do przekazania, to znajdzie w sobie wewnętrzną siłę na pokonanie przeszkód na swojej drodze. „...ważne jest słuchanie ze zrozumieniem drugiego człowieka, empatyczne reagowanie na to, co ma nam do przekazania i nawet jeśli to, co usłyszymy, nie do końca jest po naszej myśli, używanie języka bez nadmiernych emocji i złośliwości...”.

Wiem, że znajdzie się wiele osób, które powiedzą, że z niewiele znaczącego spotkania wyciągam zbyt daleko idące wnioski. A czemu nie? Jeśli tylko pojawia się nawet niewielka szansa, starajmy się działać na przekór zasadom funkcjonowania samotnego tłumu.

Jerzy Sosnowski

Jak żyć?

Już jako parolatek często zadawałem mamie pytania dotyczące otaczającej nas rzeczywistości w powojennym Wrocławiu i zasad postępowania. Pewnego razu podszedłem do mamy w trakcie prac w kuchni i zapytałem:

– Mamusiu, czy możesz mi powiedzieć: jak żyć?

Mama o mało nie upuściła talerza, który trzymała w rękach.

– Synku, skąd ci do głowy przyszło takie pytanie?

– Mamusiu, wczoraj wieczorem gdy byłem w przedpokoju, usłyszałem, gdy tatuś (mój ojczym, mój ojciec Karol parę dni po moich narodzinach został zamordowany przez hitlerowców) zadał ci pytanie: Melu, jak żyć? Zawsze mi powtarzałaś, że gdy dorośli ze sobą rozmawiają, dzieci nie powinny tego słuchać, więc poszedłem do swojego pokoju i nie słyszałem twojej odpowiedzi.

– Synku, i dobrze zrobiłeś, bo odpowiedź byłaby dla ciebie zbyt trudna i niezrozumiała. Jesteś za mały na zajmowanie się tak poważnymi tematami. Gdy podrośniesz, chętnie udzielę ci odpowiedzi.

– Ale mamusiu, przecież żyję już 7 lat i chciałbym wiedzieć, jak mam żyć. Proszę, powiedz mi.

– Dobrze, synku, skoro nalegasz, powiem ci możliwie najprościej: żyj tak, aby nikt przez ciebie nie płakał.

Z tym przesłaniem musiałem się mierzyć od dzieciństwa po późną dorosłość. Wraz z gromadzonym bagażem doświadczeń słowa te nabierały szerokiego znaczenia i zastosowania. Już w wieku młodzieńczym zetknąłem się z określeniem, że oczy są zwierciadłem duszy. Nie ukrywam, że denerwowały mnie określenia

dla mojej postawy ze strony rówieśników i osób starszych: Powaga chodząca lub niebieskie smutne oczy. Dziś, z perspektywy czasu, powinienem być wdzięczny osobom spotkanym na mojej drodze życiowej, że patrząc na mnie, patrzyły w moje oczy. Nie ma bowiem lepszego sposobu na dostrzeżenie, czy ktoś cierpi, niekoniecznie z naszego powodu, czy jest smutny lub wesoły, niż spojrzenie mu w oczy. Kontakt wzrokowy i słowny daje nam szansę na nawiązanie komunikacji i zrozumienia sensu tego, co mamy sobie do przekazania. Prawda, jakie to proste? Ale, obserwując otaczającą nas rzeczywistość, niestety nie zawsze stosowane.

Bardzo często kontakt z drugą osobą rozpoczynamy od oceny powierzchowności, ubioru, sprawności fizycznej itp. Czy te elementy mogą nam dać wyobrażenie o stanie mentalnym i emocjonalnym drugiej osoby? Tak naprawdę skąd mamy wiedzieć, gdy spuszczaamy głowę, jakie emocje wywołujemy u bliźniego – czy wywołujemy uśmiech czy łzy?

Postępuj tak, by nikt przez ciebie nie płakał... Bardzo proste, a jednocześnie bardzo trudne. Trafiłem kiedyś na taką myśl: Oczy są zwierciadłem duszy, a łzy to krew sącząca się z rany. Gdy widzę twoje łzy, to moja dusza krwawi.

Dokładnie tak. Bo gdy widzimy, jak bliska nam osoba cierpi, to cierpimy razem z nią i przeżywamy to samo, co przeżywa ona. A serce nam się kroi i dusza krwawi... A czy przez to i nasza dusza jest czystsza? Czy wtedy klarowniej widać w nich dobroć człowieka?

Podając te rozważania i zadając sobie te pytania, mam świadomość, że nie znajdę jednoznacznej odpowiedzi. Ale jestem absolutnie pewien, że unikając patrzenia w oczy drugiego człowieka i obserwowania, czy pojawia się w nich łza, czy nie potrzebuje naszej pomocy, nie uzyskamy odpowiedzi.

Przepraszam za tę bardzo osobistą, emocjonalną wypowiedź, ale uważałem że jestem winien ją mojej Najukochańszej Mamie Melanii, która przez 66 lat podpowiadała mi jak żyć, by nikt nie płakał z mojego powodu. Nie zawsze mi się to udawało, choć starałem się naprawiać swoje błędy i wyciągać wnioski na przyszłość, mając pokorę w formułowaniu jednoznacznych opinii i recept w rozwiązywaniu problemów na „drodze życia”. Często dokonując bilansu mojego życia, korzystam z sentencji: Nie wymażę nic z mojego życia. Każda rzecz, nawet najmniejsza, doprowadziła do tego, kim jestem. Rzeczy piękne nauczyły mnie kochać życie. Rzeczy złe nauczyły, jak żyć.

Na pewno nie wymażę ze swojej pamięci rozmów z bliskimi, w tym z moimi kochanymi wnukami. Nie wiem, co moja wnusia Zosienka zapamięta z kontaktów z dziadkiem Jurkiem, ale pozwolę sobie na przytoczenie wspomnienia jednego z nich, gdzie pojawił się temat oczu.

Gdy siedziałem przy stole w trakcie spotkania rodzinnego, podeszła do mnie Zosienka i spojrzała mi w oczy.

– Dziadku, chciałabym mieć oczy takie, jak ma Piotruś (brat) i mama. Powiedz mi, dziadku, dlaczego nie mamy takich samych oczu.

– Zosieńko, ty masz śliczne oczy, które mi się bardzo podobają. Kolor oczu uzależniony jest od rodzaju i ilości pigmentu w tęczówce. Kolor oczu to często cecha dziedziczna... I w tym momencie zauważyłem w jej oczach brak zrozumienia dla tego co mówię, ale też pytanie: To dlaczego ja nie odziedziczyłam koloru oczu po mamie? Tu na końcu języka miałem wyjaśnienie, że w ludzkim genomie nie ma jednego genu odpowiedzialnego za kolor oczu. Prawdopodobnie jest ich nie mniej niż 16. Uznałem jednak, że naukowymi wywodami nie rozwieję wątpliwości Zosienki, tym bardziej, że jej pytania mają charakter emocjonalny. Postanowiłem zakończyć stwierdzeniem, że tak naprawdę kolor oczu nie ma znaczenia, tylko to, jak korzystamy z nich w postrzeganiu świata i innych ludzi, i czy gotowi jesteśmy odpowiadać spojrzeniem na spojrzenie. Mam świadomość, że wszelkie próby odpowiedzi na pytanie wnuczki na tym etapie jej życia, nie do końca są akceptowane i zrozumiałe. Myślę, że z wiekiem zrozumie, że kształt i kolor oczu nie mają znaczenia w postrzeganiu świata i kontaktach z drugim człowiekiem. Bez względu na kolor oczu starajmy się tak żyć, by nikt przez nas nie płakał.

Urszula Grycner

Relacje międzyludzkie – kolejne pokolenia – przyjaźń

Kanadyjska psycholog Susan Pinker w książce *Efekt wioski. Jak kontakty twarzą w twarz mogą uczynić nas zdrowszymi, szczęśliwymi i mądrzejszymi* przekonuje, że osoby, które spotykają się z przyjaciółmi, żyją średnio piętnaście lat dłużej niż „samotnicy”. Bezpośrednie kontakty i więzi międzyludzkie mają ogromne znaczenie. Dobre relacje są ważne dla naszego poczucia szczęścia i dobrostanu psychicznego. To dzięki przyjaciołom muzyka jest słodsza, wino ma pełniejszy smak, śmiech dźwięczy donośniej – wszystko dlatego, że są z nami.

Pragnę zauważyć, że niezależnie od wiedzy zdobywanej na uniwersytetach mamy, jako seniorzy, doświadczenie i mądrość, której nie ma w podręcznikach najlepszych uniwersytetów świata. I której nikt i nic nie może nam zabrać.

Niezależnie od miejsca zamieszkania, tradycji, mamy swoje wartości. W połączeniu z wiedzą zdobytą na uniwersytetach możemy zostać najlepszymi nauczycielami świata. Dzielmy się tym doświadczeniem, uczmy nawzajem, niezależnie od wieku. Możemy wzbogacić nie tylko nasze życie, ale również przyjaciół należących do innych pokoleń.

Wszyscy mamy znajomych, koleżanki i kolegów, przyjaciół z dzieciństwa czy przyjaciół z ważnych chwil, które choć zdarzyły się tylko raz, pamiętamy całe życie. Chciałabym zwrócić uwagę na relacje i przyjaźń z młodymi ludźmi.

Nie zamykamy się tylko we własnym kręgu, bądźmy otwarci na innych, na młodych. W kontakcie międzypokoleniowym, młodszy napędzają nowym życiem starszych, a starsi służą radą młodszemu. Każda z tych ról, rola nauczyciela i osoby poszukującej, dziecka lub dorosłego, oferuje charakterystyczne dla siebie formy satysfakcji i szczęścia.

Bez ryzyka możemy znaleźć dużo radości dzięki bogactwu różnorodności, jaką dać nam mogą przyjaciele należący do innego pokolenia niż my.

Niezależnie od ilości lat, zmarszczek, zdobytych tytułów czy dyplomów, możemy i powinniśmy stale się rozwijać, znajdować wspólny język z młodymi i najmłodszymi. Mieć w sobie tyle dziecka, by relacje z naszymi dziećmi, wnukami czy prawnukami były naturalne i wynikały z potrzeby bycia ze sobą, z ciekawości i rozumienia się nawzajem, z tolerancji na inność.

By nie narzucać autorytetów i nie oczekiwać szacunku ze względu na wiek. By wzajemny szacunek wynikał z naturalnej uprzejmości i potrzeby serca. Nie oczekujemy bezwzględnej posłuszeństwa tylko dlatego, że jesteśmy starsi, nie narzekamy na nich mówiąc: nic dobrego z was nie wyrośnie – ale spytajmy czego od nas oczekują, jakich chcieliby nas widzieć, co możemy dla nich zrobić.

W szybkości obecnego świata, w natłoku informacji, sztucznej inteligencji, zmianach klimatu i wielu innych trudnych sprawach, możemy być dla nich pewnego rodzaju stabilizacją.

Uważam, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Uczmy się młodych i nauczmy ich nas, seniorów. Nauczmy się ich języka, byśmy rozumieli o czym między sobą mówią – zwłaszcza o nas. Czy wiecie jak nas nazywają? „**Boomersi**” (od baby boom, bo urodziliśmy się w latach powojennych gdy nastąpił wyż demograficzny) i byśmy się o to nie obrażali, bo to prawda.

W naszym uniwersytecie nawiązaliśmy kontakt z uczniami jednej ze szkół we Wrocławiu. To młodzież w wieku 14–16 lat. Zostaliśmy zaproszeni do ich szkoły z wykładem o seniorach, a następnie przedstawiciele młodzieży odwiedzili nasz uniwersytet, z wykładem o sobie.

Dowiedzieliśmy się o trendach mody w jakich się obracają, co ich interesuje we współczesnym świecie, skąd czerpią wiedzę na różne tematy, o języku jakim się posługują. Mamy nadzieję na kolejne inspirujące spotkania.

Starajmy się o zrozumienie świata nie tylko naszych wnuków, ale całego pokolenia młodych i młodszych. Jeśli będziemy używać tych samych słów i rozumieć ich znaczenie, będziemy przełamywać bariery wiekowe i znajdować wspólną płaszczyznę porozumienia.

Pamiętajmy, że „to jest mój świat dopóki go rozumiem”. I nawzajem, ucząc młodych „naszego świata”, jego zasad i wartości, znajdując wspólnie podobieństwa i różnice, możemy zostać prawdziwymi przyjaciółmi.

Między przyjaciółmi nie ma żadnych spisanych umów, ale jest oczywiste, że przyjaźń pociąga za sobą istotne prawa i obowiązki. Bardzo często zwracamy się w życiu po pociechę, wsparcie, po pomoc („przyjdź i poratuj mnie!”) nie do krewnych, ale do przyjaciół.

Odkrywajmy siebie nie tylko poprzez słowa, ale także bezgłośnie – jacy jesteśmy, pokazując zarówno to, co w nas miłe, jak i to, co nieatrakcyjne. Nikt nie jest doskonały. Inicjujemy bliskie spotkania, w których otwieramy się nawzajem na siebie.

Bliscy młodzi przyjaciele mogą przyczyniać się do naszego osobistego wzrostu i dzięki nim możemy doświadczać wielu osobistych przyjemności.

Serdeczni przyjaciele, prócz tego, że pomagają nam wzrastać, umilają życie, niosą pomoc i pociechę, chronią nas także przed samotnością. Choć staramy się być samowystarczalni i cenimy sobie własną niezależność, to w każdym z nas istnieje najgłębsza część „siebie” której nigdy nie ujawnimy nikomu. Ogromne znaczenie ma dla nas to, czy liczymy się dla innych i to, że nie jesteśmy samotni.

Zdolność nawiązywania więzi przyjaźni jest różna u różnych osób. Serdeczna przyjaźń wymaga świadomości „siebie”, zainteresowania innymi ludźmi, zdolności do empatii, lojalności i oddania, a także wyzbycia się niektórych z naszych rojeń.

Przyjaźń wymaga byśmy byli pobłażliwi i wybaczeni, a także tego, by i nam okazywano pobłażliwość i wybaczano.

Nie jesteśmy z całą pewnością nieskazitelni. A jednak nasze przyjaźnie mogą być równie silne, a nawet silniejsze niż więzy krwi czy małżeństwa. I zawsze możemy znaleźć wsparcie i siły w „świętych i cudownych” więziach przyjaźni.

Jak bardzo moglibyśmy wzbogacić swoje życie, znajdując również przyjaciół w młodym pokoleniu!

I żebyśmy nie byli „odklejką” (ktoś oderwany od rzeczywistości) ale żebyśmy wciąż mieli „esse” (ktoś w super humorze).

Na koniec chciałam zaproponować

Przepis na dobrą grupę:

- 1 kg sympatii
- 1,5 kg tolerancji
- 1 szklanka życzliwości
- 1 szklanka wyrozumiałości
- szczypta uśmiechu
- 1 łyżka pogody ducha

- 1 duża łyżka prawdomówności
- odrobina punktualności

Wymieszać, stosować codziennie. Skuteczność gwarantowana.

Boomerka,
Urszula



Projekt „Pokaż mi swój świat – czyli rozmowy międzypokoleniowe” realizowany we współpracy z dwujęzyczną szkołą podstawową ATUT, wykład prowadzony przez uczniów dla słuchaczy pt. „Dlaczego młodzi ludzie noszą dziury w spodniach? Obyczaje w świecie wnucząt”



Spotkanie podsumowujące uniwersytecki projekt Erasmus+ skierowany do seniorów – Active Ageing Academic Certificate: Towards a European university course dedicated to older learners (3AC)

O Czerwonym Kapturku – tradycyjnie i współcześnie

mgr Magda Wieteska

Bajka o Czerwonym Kapturku posłużyła tym razem do ćwiczenia pisania w różnych narracjach, a dodatkowym wyzwaniem było przedstawienie historii z pozycji konkretnego bohatera. Uczestnicy zajęć losowali typ narracji oraz postać. Niektórzy postanowili też uwspółcześnić znaną bajkę, a nawet zaadresować ją wyłącznie do osób 18+. Życzymy przyjemnej lektury!

Maria Halinowska-Hensel

Czerwony Kapturek

(narracja trzecioosobowa z pozycji Babci)

No i dopadła ją paskudna grypa. Na co dzień pełna energii i wciąż nowych pomysłów pomimo dawno przekroczonej pięćdziesiątki, leżała teraz z bólem w kościach, gorączką i uporczywym katarem. Nie miała nawet siły, by przeczytać najnowsze wiadomości w rzuconym na kółdrę smartfonie, ani by dokończyć rozdział w niezwykle ciekawym „Poradniku dla nowoczesnej dojrzałej kobiety”. Choć zawsze dawała sobie radę sama i ceniła samotność w swojej starej willi położonej na skraju lasu, tym razem musiała poprosić o pomoc. Dzisiaj rano zadzwoniła do córki z prośbą o przysłanie jej kilku opakowań aspiryny i paru wiktuałów.

Już niedługo powinna się tu zjawić wnuczka z obiecanyymi zakupami. Babcia bardzo cieszyła się na jej wizytę. Od czasu gdy sprezentowała jej czerwoną czapkę kupioną na wyprzedaży, mała nosiła ją bez względu na porę roku. Odtąd nazywano ją Czerwonym Kapturkiem.

Żeby dotrzeć do babci, Czerwony Kapturek musiał przejść dość krętą ścieżką przez cały las. Babcia Rozalia myślała o tym z wielkim niepokojem, a zmartwienie potęgowało jeszcze ból głowy, który stał się nie do zniesienia. Nie dalej jak przedwczoraj lokalne wiadomości podały informację o pojawieniu się w okolicy żarłocznego zwierza i ostrzegano mieszkańców przed lekkomyślnymi wyciecz-

kami do lasu. A Czerwony Kapturek, rozpieszczona jedynaczka, jest tak beztrojska i łatwowierna w swojej naiwności, że nie uwierzy w niebezpieczeństwo, nawet widząc przed sobą potwora. Oto efekty wychowania w puchu, usuwania wszelkich przeszkód spod nóżek i ukrywania wszelkiego zła!

Żeby zająć czymś obolałą głowę, postanowiła zrobić sobie inhalację. Przygotowała gorącą wodę w miednicy i ręcznik, a potem otworzyła drzwi dla spodziewanej wnusi.

– Dzień dobry, Kapturku, jak dobrze że jesteś – zdążyła jeszcze powiedzieć, słysząc odgłos kroków na drewnianej podłodze w stylu skandynawskim. Potem poczuła silne włochate ramię i obezwładniona i zakneblowana własnym ręcznikiem została wrzucona pod łóżko. Usłyszała, jak napastnik szeleścił czymś na jej rzeźbionej toalecie, pewnie włożył maseczkę wyglądającą zmarszczki i czepczek układający fryzurę, które zwykle ubierała na noc. Po silnym opadnięciu zdrowotnego materaca poznała, że potwór położył się do łóżka.

– Witaj, Rozalko! – zawołała od progu Czerwona Kapturka, która miała surowo przykazane, aby babci nigdy nie nazywać babcią. – Przyniosłam ci kwiatki i coś smacznego – lekkimi kroczkami zbliżyła się do łóżka.

– Ale dlaczego masz takie duże uszy?

– Bo przeszłam operację powiększenia płatków usznych.

– O, ale dlaczego masz takie długie paznokcie?

– To praca międzynarodowego eksperta stylizacji paznokci. Nie podobają ci się?

– Nie bardzo. A dlaczego masz takie długie zęby?

– To moje nowe implanty, drogie dziecko. Wiesz przecież, że jestem nowoczesną babcią.

Nagle energicznie zapukał do drzwi i wszedł do pokoju miły sąsiad z wili obok, któremu Rozalia bardzo wpadła w oko i pomagał jej niejednokrotnie w różnych pracach przydomowych. Odznaczał się wielką krzepą i bystrością, więc po natychmiastowym rozeznaniu sytuacji obezwładnił wilka, oswobodził babcię i uspokoił przerażoną dziewczynkę, która dopiero teraz pojęła grożące jej niebezpieczeństwo.

Babcia Rozalia miała świętą rację co do naiwności wnuczki. Czerwony Kapturek pochwalił się przed wilkiem fajną postępową babcią, opisał jej zwyczaje i dokładną drogę do jej domu. Rozalia stwierdziła też, że samotnie mieszkająca kobieta powinna mieć w pobliżu usługowych adoratorów. Tylko dzięki takim można pozbyć się groźnego wilka, którego po srogiej nauczce puszczono do lasu.

Alicja T. Pawlik

Bajka o Czerwonym Kapturku

(pisana w narracji pierwszoosobowej przez Babcię)

Mieszkam tuż za lasem, w bardzo ładnym, ale odludnym miejscu. W wiosce, z drugiej strony lasu, mieszka moja rodzina z moją kochaną wnuczką. Kiedyś podarowałam jej aksamitny czerwony kapturek i tak jej się spodobał, że zaczęła go stale nosić; odtąd wszyscy ludzie zaczęli ją nazywać Czerwonym Kapturkiem.

Ostatnio trochę choruję i nie wychodzę z domu. Żeby mi pomóc, córka wysłała Czerwonego Kapturka z koszykiem smakołyków i lekarstw dla mnie. Pewnie jak zwykle przestrzegła Czerwonego Kapturka, aby idąc przez las była ostrożna i uważała na siebie.

Moja wnuczka jest wesołą dziewczynką, lubi śpiewać, oglądać kwiatki i ptaszki. I tym razem, radośnie podskakując, postanowiła narwać dla mnie kwiatków. Zza krzaków wyszedł Wilk i mile zagadując dziewczynkę, wyciągnął z niej informację, że jestem chora, że prowiant w koszyku jest dla mnie i w dodatku, gdzie mieszkam. To było bardzo nieroztropne ze strony Czerwonego Kapturka, że dała się zaskoczyć Wilkowi i wdała się z nim w rozmowę. Wilk natychmiast pędem pobiegł przez las, podstępnie wszedł do mojego domu i połknął mnie. Potem przebrał się w moją koszulę nocną i czepek, i położył się do łóżka, czekając na Czerwonego Kapturka. Nic nie mogłam zrobić, siedząc w brzuchu Wilka, tylko usłyszałam, jak weszła i, patrząc na Wilka ze zdziwieniem, pytała:

- Babciu, dlaczego masz takie wielkie uszy?
- Żeby cię mogła lepiej słyszeć, wnuczko.
- A dlaczego masz takie ogromne oczy?
- Żeby cię lepiej widzieć, Kapturku.
- A dlaczego masz takie groźne zęby?
- Żeby cię mogła zjeść!

I po tych słowach Wilk połknął Czerwonego Kapturka.

Syty zasnął w moim łóżku i strasznie chrapał. Przechodzący pod oknem Leśniczy usłyszał to głośnie chrapanie, zajrzał przez okienko i zobaczył śpiącego w łóżku Wilka. Domyślając się wydarzeń, nie strzelił, tylko zamroczył go kolbą strzelby, po czym rozciął mu brzuch. Z brzucha wyskoczyłam ja z moją wnuczką Czerwonym Kapturkiem.

Leśniczy naładował kamieni do brzucha Wilka i zaszył go. Gdy Wilk się obudził, chciał uciec, ale pod ciężarem kamieni padł martwy. To była zasłużona kara dla tego zbrojnego Wilka.

Bardzo dziękowałyśmy Leśniczemu i cieszyłyśmy się, że jesteśmy uratowane. Wnuczka opowiedziała mi, jak doszło do spotkania z Wilkiem, jak dała się nabrać na jego pochlebstwa i jak ufnie wdała się z nim w rozmowę. A potem obiecała, że będzie roztrofną dziewczynką, będzie słuchała swojej mamy i nie da się więcej zbałamucić nikomu.

(na podstawie bajki braci Grimm i bajki Charles Perrault o tym samym tytule)

Beata Chłap

Czerwony Kapturek

(pisana w narracji pierwszoosobowej przez Czerwonego Kapturka)

Nudzisz się, chciałabyś pobawić się z dziećmi, ale do końca izolacji musisz pozostać w domu. Chcesz, opowiem ci o Czerwonym Kapturku. Wiem, wiem znasz tę bajkę, ale ja opowiem ci przygodę z mojego dzieciństwa. Miałam tyle lat co ty teraz. Mieszkaliśmy wtedy w domku pod lasem. Mój ojciec był leśniczym. Często chodziliśmy razem do lasu. Tata uczył mnie zbierania grzybów, odróżniania jadalnych, zbieraliśmy jagody, odkrywali kryjówki zwierząt, wypatrywali ich śladów. Chodziliśmy także przez las do Babci, która mieszkała po jego drugiej stronie, ale jak szłam sama, musiałam iść okrężną dłuższą drogą, omijającą las. Pewnego dnia kiedy znowu z koszyczkiem dobrego jedzenia i lekarstwami szłam do Babci jak zwykle w ślicznym czerwonym kapturku, który mi zrobiła i od którego nazywano mnie właśnie tak, nie posłuchałam i poszłam przez las. Jednak zaczęłam się trochę bać. Miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Nie wiedziałam, że od kilku dni do naszego lasu wprowadził się wilk, który miał ochotę na obiad z Babci i robił podchody pod jej domek. Zawsze trafiał na zamknięte drzwi, a wypatrzył, że akurat są uchylone. Widząc mnie, ucieszył się: Babcia na obiad – wnuczka na deser i pobiegl szybko realizować swój plan.

Byłam już blisko, widziałam już domek, przestałam się bać. Zobaczyłam rosnące bliźutko konwalie. Zrobię bukiecik! Nagle rozległo się straszne wycie, które po chwili ustało. Z szybkością światła znalazłam się przy domku Babci i przed drzwiami potknęłam się o zamkniętą klatkę, w której rzucił się przestraszony wilk. Obok Tato i Babcia, śmiejąc się, opowiadali mi, jak przechytrzyli napastnika. Leśniczy od kilku dni wiedział o podchodach wilka i zastawił na niego pułapkę. Razem z Babcią podłączyli napięcie do metalowej ramy łóżka, na którym ułożyli kukłę. Przed drzwiami ustawili otwartą klatkę z automatycznym zatrzaśnikiem, a sami schowali się za otwartymi drzwiami. Wilk wszedł przez otwarte drzwi, cichutko podszedł do łóżka, wspiął się na ramę i porażony prądem upadł,

a leśniczy nieprzytomnego wrzucił do klatki. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka, mówił Tato. Ja dostałam straszną burę za nieposłuszeństwo i musiałam przysiąc, że już nigdy nie pójdę sama przez las.

Teresa Dźwigałowska

Bajka o Babci i Czerwonym Kapturku

(narracja pierwszoosobowa z pozycji Babci)

Po weekendzie z rodziną w domku letniskowym na skraju lasu nad jeziorem postanowiłam zostać sama na tydzień. Przekonywałam rodzinę: taka ładna pogoda, jest tak pięknie, wiosna, szkoda wracać do domu i siedzieć na balkonie, tu jest świeże powietrze, tak dobrze się oddycha, czuję się dobrze, zresztą jak by coś się działo, to mam telefon i będę dzwonić. Przekonałam i zostałam. Już wcześniej to zaplanowałam, wzięłam więc z domu co potrzeba, najważniejsze lekarstwa. Cztery dni upłynęły bardzo szczęśliwie i miło, spacerowałam po lesie, przyglądałam się każdemu kwiatkowi i cudom natury, słuchałam śpiewu ptaków. Wszystko chciałam utrwalić nie tylko w pamięci, lecz i w aparacie, więc robiłam zdjęcia i nagrywałam ptaszki. Wracałam do domku zmęczona i o dwudziestej pierwszej zasypiałam, a wstawałam już przed szóstą rano, aby wysłuchać ptasiego koncertu nad brzegiem jeziora. Po powrocie, przy pomocy Google, starałam się określić, jak się nazywają te roślinki i które ptaszki tak pięknie umiały mój pobyt.

W piątek obudziłam się z bólem głowy i jakąś niestrawnością, więc zaparzyłam swoje szwedzkie ziółka, miętę. Dolegliwości nie ustępowały, zmierzyłam ciśnienie, było wysokie, należało przyjąć lekarstwo. Niestety nie było go, stwierdziłam, że chyba zapomniałam wziąć. Postanowiłam zadzwonić do córki, odebrała wnuczka, informując, że mama poszła do dentysty, a telefon zostawiła jej, jakby babcia dzwoniła, to ma odebrać. Moja wnuczka to duża dziewczynka, ale pseudonim Czerwony Kapturek jej został, bo zawsze lubiła ten kolor i teraz nawet pasemka włosów umalowała na czerwono. Znalazła lekarstwo i zaproponowała, że przyjedzie do mnie na rowerze, przez las na skróty jest blisko, za godzinę będzie u mnie. Teraz zaczęłam rozglądać się po mieszkaniu i zauważyłam zmiany w ustawieniu naczyń, w lodówce brakowało wiele jedzenia. Ogarnął mnie strach, wskoczyłam do łóżka i przykryłam się kołdrą. Spojrzałam w okno, a tam pojawiły się wielkie, złoto-zielone oczy jak neony. Co to jest? Spod kołdry zerknęłam jeszcze raz i gdy zobaczyłam ogromny łeb, już wiedziałam, że to WILK. Wtedy pomyślałam o wnuczce, przecież ona zaraz przyjedzie! Zsunęłam się z łóżka i na

czworakach poczołgałam się do schowka, gdzie składowane są narzędzia rolnicze. Wisiała tam kosa, zdjęłam ją, była ciężka.

Do izby w tym czasie wszedł wilk i zuchwale krzyczy: – Ee, ee, ee, babka, gdzie jesteś? Jak tam zdrowko? Nie pomogły ci ziółka? Moje mocniejsze, codziennie ci ich dosypywałem, a ty się nawet nie zorientowałaś! Gapiałaś się tylko w te swoje aparaciki, zachwycałaś kwiatkami, podziwiałaś ptaszki, a mnie nie dostrzegałaś! Ja też jestem sam, czułem się lekceważony! Ale nie szkodzi, wcale mi się nie podobasz, jesteś stara, mam za to ochotę na twoją wnuczkę.

Zadrżały mi ręce, kosa stała się jakaś lżejsza, już miałam ciachnąć, ale coś zawarkotało. Na podwórze wjechał leśniczy swoim gazikiem, z którego wyskoczyła wnuczka. Wilk wyleciał z domu, ale leśniczy zdążył złapać swoją strzelbę i strzelił. Wilk upadł, zranione miał dwie nogi, chociaż nic mu się nie stało, bo leśniczy strzelał śrutem.

Podszedł do niego i mówi: – A ty cwaniaku, to tu się ukrywałeś! Już miesiąc cię poszukuję! Podżerałeś karmę moich zwierząt, a może i dosypywałeś do siana te zioła, co? Odpowiesz za wszystko! Będziesz siedział w żelaznej klatce i patrzył na inne zwierzęta i dopiero zrozumiesz, co to jest WOLNOŚĆ i jak żyć zgodnie z innymi.

Ja w tym czasie uściślałam wnuczkę, po czym zajęłam się wyrzucaniem wszystkiego, bo nie wierzyłam wilkowi, czy gdzieś nie zostawił tych swoich specjałów.

Aleksandra Wrzos

Czerwony Kapturek (wersja tylko dla osób 18+)

(narracja drugoosobowa z perspektywy Babci)

Czułaś, że dzisiaj odwiedzi cię twoja ukochana wnuczka, zwana od pewnego czasu Czerwonym Kapturkiem. Czekasz na nią od rana. Gotujesz ulubiony kompot dziewczynki z leśnych malin. Wreszcie słyszysz pukanie do drzwi.

– To ja babciu, Czerwony Kapturek.

Jakiś dziwny i piskliwy ten głos, przemyka ci myśl, kiedy otwierasz drzwi.

Zaraz potem ogarnia cię ciemność. Uzmysławiasz sobie po chwili, że jesteś we wnętrzu jakiegoś dużego stworzenia! Twoje przerażenie trwa jednak krótko, bo nagle widzisz, że tuż obok jest twoja ukochana wnusia. Przytula się mocno do ciebie i szepcze ci do ucha: – Babciu, połknął nas wilk!

Słyszysz, jak mówi dalej po cichu: – To moja wina. Zamiast iść prosto ścieżką prowadzącą do twojego domku, tak jak nakazała mi mama, zesłam z niej, aby na niedalekiej łączce narwać dla ciebie ślicznych, polnych kwiatków.

Ogarnia cię złość na dziewczynkę. Już zamierzasz ją zbesztać, gdy nagle obie łądujecie na podłodze. Nad tobą i Czerwonym Kapturkiem pochyła się młody człowiek.

– O, to Janek. Miejscowy myśliwy – konstatujesz z ulgą.

Na wilka, leżącego obok z rozprutym brzuchem patrzysz z odrazą.

– Nie, nie rób tego Janek – mówisz, przytrzymując go za ręce, bo widzisz, że próbuje wepchnąć do wnętrza zwierzęcia kamienie, a potem zaszyć jego rozplątany brzuch.

– Niech się wykrwawi i odejdzie z tego świata w spokoju, a ty masz zdobyć, na którą polowałeś całe lato. Najważniejsze, że uratowałeś mnie i wnuczkę, za co dziękujemy ci z całego serca – dodajesz łamiącym się głosem.

 *Ewa Alfut*

Nie taki wilk straszny...

(narracja pierwszoosobowa z pozycji Wilka)

W ciemnym lesie, w gęstej głuszy, zaszyty w norze rozpamiętuję swoją porażkę, zły na samego siebie, zawstydzony, upokorzony. Wydaje mi się, że nawet tchórzliwe zające spoglądają na mnie z pogardą, a dumne muchomory prychają spod swoich czerwonych kapeluszy. Stary las szumi: „Głupi Kapciuch, głupi Kapciuch”. A może mi tak się wydaje, może to wszystko słyszę tylko w mojej głowie, ja, biedne wilczyisko, zawsze wyszydzane przez innych członków stada, przeganiane przez silnych basiorów, odręczany przez wadery, odumarty przez matkę. Tak bardzo się starałem przodować podczas zdobywania posiłków, tak bardzo jeżyłem sierść, by wzbudzić strach w gonionej zwierzynie. Nawet nie najgorzej mi szło, ale wciąż było za mało, aby zdobyć uznanie pobratymców...

Do czasu...

Pewnego dnia uknułem plan wielkiego, według mnie, wyczynu. Od dłuższego czasu słyszałem, że do babci mieszkającej w lesie przychodzi dziewczynka, którą nazywają Czerwonym Kapturkiem, ponieważ nosi na głowie czerwoną czapeczkę. Obserwowałem dom, w którym mieszkała, śledziłem, wędrowałem w tę i z powrotem, precyzując w głowie plan doskonały. Czułem się ważny, groźny, przynajmniej w swoich oczach. Myślałem sobie:

„Ja wam jeszcze pokażę, jeszcze mnie docenicie”. Pod nosem podśpiewywałem: „Kto się boi wilka, niech do lasu nie wchodzi”.

Wreszcie przyszedł ten dzień. Starsza pani zachorowała. Plotkowały o tym wszystkie ptaszyska, biadoliły wiewiórki, szumiały drzewa. Domyślałem się, że Czerwony Kapturek na pewno przyjdzie do babci.

Była piękna pogoda, świeciło słońce, dziewczynka szła radośnie, podskakując co jakiś czas. W rękę niosła koszyczek z lekarstwami i wiktuałami. Początkowo nie zbaczała z prostej drogi, zapewne pomna na słowa matki, że w krzakach czai się zły wilk i lepiej, aby nie wywoływać go z lasu. Jednak w głębi kusiły kolorowe kwiatuszki, między krzakami i ja od czasu do czasu przemknąłem. Postanowiłem zagadać do niej.

- Dzień dobry, Czerwony Kapturku. Dokąd to wędrujesz w tak piękny dzień?
- Idę do babci – odpowiedziała ufnie, troszkę na początku wystraszona.
- Czy mogę ci potowarzyszyć, w lesie czyha tyle niebezpieczeństw i zły wilk? (mała nigdy wcześniej wilka nie widziała)

- Mamusia mówiła, żeby nie rozmawiać z nieznajomymi, jednak ty jesteś bardzo miły, więc możemy iść razem – zgodziła się.

Wziąłem od niej koszyczek, wypytałem dokładnie, gdzie mieszka babcia i po pewnym czasie powiedziałem, że dalej już musi iść sama.

Szybko pobiegłem do domku babci, podszycłem się pod jej wnuczkę i po dostaniu się do mieszkania połknąłem starowinkę. Potem przebrałem się w jej koszulę nocną, założyłem czepek na głowę, przykryłem się kołdrą i czekałem. Babcia była trochę żyłasta, ciążyła mi na żołądku, powoli przymknęły mi się oczy, zasnąłem. Nie spałem długo, obudziły mnie wrzaski głupich wiewiórek, które wydzierały się na drzewie, a durne ptaszyska siedzące na dachu im wtórowały.

Zorientowałem się, że do domku zbliża się Czerwony Kapturek, a te wrzaski usiłują ostrzec dziewczynkę przed złym wilkiem, czyli przede mną. Po chwili ją zobaczyłem, poczułem wilczy głód, oblizałem się z apetytem, jednak musiałem odstawić grę pozorów, bo dziewczuska była nie w ciemną bita. Pytała i pytała, a to dlaczego mam takie duże oczy, a to dlaczego mam takie duże uszy... Przy pytaniu o zęby nie wytrzymałem, mlasnąłem smakowicie i połknąłem Czerwonego Kapturka. Zamiast uciec z chałupinki, umościłem się wygodnie na łóżku i zasnąłem...

Jak to mówią: „Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka”. Pobudka była niespodziewana. Usłyszałem wystrzał i ujrzałem wycelowaną w siebie lufę karabinu. Potem nie bardzo pamiętam, co się działo. Leśniczy, bo to był właśnie on, rozpruł mi brzuch, wyskoczyły babcia i Czerwony Kapturek. Jak to w baśniach bywa, zdrowiutkie i uśmiechnięte. Uprosiły leśniczego, aby zszyc mi brzuszysko i darował życie. Musiałem jednak przyrzec, że się zmienię, że już nigdy nie zapoluję na nikogo, uczciwie będę zdobywał pożywienie.

Wież o moim wyczynie szybko rozniosła się po lesie i dotarła do mojej watahy. Myślałem, że będą ze mnie drwić, że mnie całkiem odtrąca. Bardzo się tego bałem, ale stary basior przemówił do wszystkich, obarczając częściowo winą całą wilczą gromadę, o przychylności której zabiegałem długie dni i to posunęło mnie do nierozważnego czynu, który o mało nie skończył się tragedią. I nawet jeśli kpiono ze mnie, to mocniej dawano mi do zrozumienia, iż jestem częścią nich.

Siedząc w tej głuszy, analizuję swoje zachowanie, jak wspomniałem, wstydzę się, ale zrobię wszystko, by pokazać rodzinie, babci, dziewczynce, że, jak odwieczne prawa stanowią, będziemy żyć zgodnie, obok siebie, bo „nie taki wilk straszy, jak go malują”, a „nie ten silny, kto słabszego gnębi, lecz ten, kto staje w jego obronie”.

Czas wyjść na słońce, do uśmiechów pobratymców, do zabaw z Czerwonym Kapturkiem. Niech tam sobie zające i muchomory myślą, co chcą.

Widzę, że dziewczynka już stoi na brzegu lasu i woła:

– Kapciuch, Kapciuszku, gdzie jesteś? Chodź się bawić!

– Już biegnę! – odpowiadam radośnie, podążając w jej stronę.

Bogdan Banaś

Odzyskana pamięć Babci

(narracja drugoosobowa)

Witaj, Babciu Czerwonego Kapturka, dziś jest ważny dla ciebie dzień. Z powodu nagłej operacji nie będziesz mogła nic mówić, ale umówiliście się, że na pytania będziesz odpowiadać skinieniem głowy „tak” lub „nie”. Bo właśnie dziś publicznie odzyskasz zapomnianą część swojej historii, odzyskasz pamięć.

Ale po kolei. Zaraz dowiecie się wszyscy. To, co ostatnio zapamiętałaś, to pobyt w brzuchu wilka. Nieprawdaż? Mówiłaś, że było tam strasznie duszno. Nie miałaś już czym oddychać. Nie miałaś też siły nic powiedzieć, pomyślałaś tylko, że to wstrętne wilczyisko obzarło się jakimś dzikim zielskiem, może nawet trującym. Chwilę potem zapadłaś w ten sen niepamięci – w śpiączkę. I od tego czasu już nic nie pamiętałaś. Odzyskałaś świadomość, ale nie odzyskałaś pamięci. Zanim się dowiesz, co wtedy czułaś i widziałaś, posłuchaj bajecznej opowieści. Jak mówiłaś, o całym zdarzeniu z wilkiem opowiedział ci i Czerwony Kapturek i myśliwy, ale ty zaraz wszystko szybko zapominałaś. Wiedziałaś, że wszyscy się tym martwili, ale nic nie można było poradzić. Widać na monitorze, że przypominasz sobie, jak kiedyś podsłuchiwałaś dziwną rozmowę twojej wnuczki, a potem dowiedziałaś się, że mały Moa, kolega Czerwonego Kapturka z Kosmicznej Bajki

obiecał mu dać program do stworzenia sztucznej inteligencji, która by odczytywała wszystkie zakodowane w twojej głowie myśli, obrazy, a nawet odczucia innych zmysłów – smaku czy węchu... Ale do tego, abyś odzyskała pamięć trzeba było jeszcze zeskanować wszystkie komórki twojego mózgu – a wiesz, babciu, kiedy to zrobiono? W tym czasie jak spałaś. Mały Moa dronem w kształcie spodka z aparaturą przyleciał do chatki w lesie. Byłaś zadowolona, jak ci powiedziano, że twój Kapturek sam napisał algorytm do tego programu. Martwiłaś się trochę, że długo nie wraca, dopóki nie przeczytałaś maila od niego z innej planety, na której mieszkał u Małego Moa, wtedy w innej bajce, gdzieś w okolicy Oriona. Jak słyszysz, ten sztuczny głos jest trochę chropowaty, mówiłaś, że przypomina ci głos wilka. Możliwe. Zobaczysz, że następnym razem będzie już lepszy. Teraz posłuchaj swojej dalszej historii.

Gdy straciłaś przytomność w brzuchu wilka, po krótkim czasie zorientowałaś się, że się wyraźnie unosisz, byłaś już pod sufitem, ale twoje ciało zostało w brzuchu wilka. Chociaż jesteś bardzo odporna, to wtedy wystraszyłaś się nie na żarty. Bo ujrzałaś czerwony pomponik Czerwonego Kapturka, co na czerwonym sznureczku zwisał z kosmatej paszczy wciąż chrapiącego wilka. Nie potrafiłaś w tamtej chwili inaczej się zachować.

– Ty dziki kanibalu, nawet dziecka nie potrafisz oszczędzić! Nie wystarczyło ci wilczej jagody i wilczego łyka, co zarastają całą wilczą polanę, aby twój wilczy apetyt zaspokoić? – wykrzyczałaś, ale tylko w myślach, bo sama dusza głośno mówić nie potrafi. Uspokoiwszy się trochę, dodałaś jeszcze: – Ty chory jesteś od dawna, bo przecież wilczy głód to jest choroba. Ale zamiast się leczyć wolałaś na ludzi napadać.

Uspokoiłaś się i przerwałaś w końcu tę niesłyszananą przez nikogo tyradę. Przekonałaś się, że rzeczywiście nie masz ciała, które zostało w jego brzuchu. A ty byłaś taką niewidzialną ulotną duszą fruująca w szumiącym łagodnie lesie. Widziałaś, słyszałaś i czułaś zapach lasu, leśnych kwiatów i świerków, chrapanie wilka, a także śpiew ptaków. Ale choć ty je widziałaś, one ciebie nie. Zdawało ci się, że bardzo małe owady jednak odczuwają twoją obecność i mogą rozumieć, co mówisz.

Z dala usłyszałaś znany ci rytmiczny chód myśliwego. Ale jak go zawiadomić, jak mu powiedzieć, że trzeba ratować twoją wnuczkę, która może jeszcze żyje? Chwilę pomyślałaś i namówiłaś osy, aby na skrzyżowaniu dróg zmusiły myśliwego do skrętu w stronę twojej chatki. Wiedziałaś, że z daleka usłyszysz głośne chrapanie i wstąpi do domku. A ty obserwowałaś go cały czas. Gdy po rozcięciu grubego brzucha wilka zobaczyłaś głowę żywego Czerwonego Kapturka, ucieszyło cię to, ale musiałaś czym prędzej wrócić do swojego ciała. Bo jakbyś się spóźniła, to już nie mogłabyś połączyć się z nim. Nie byłaś jeszcze przytomna i jakby we śnie słyszałaś głos myśliwego, który mówił dziewczynce: – Tobie nic

nie jest, ale babcia chyba nie żyje. I zaraz dodał: – Wyniosę ją na powietrze – i tak zrobił. Leżąc na zielonym materacu z mchu wśród pachnących o tej porze kwiatów konwalii, otworzyłaś oczy. I jedna myśl nie dawała ci spokoju, bo zapytałaś nagle: – A gdzie jest moja wnuczka? Zobaczyłaś ją schowaną za dębami. Gdy tylko się podniosłaś, już niosła ci placek i kubek wina. Nie przypuszczałaś nawet, że po tym czerwonym winie tyle nowej energii zyskasz. Potuptałaś tak żwawo do chatynki swojej, że nawet jakby wilk miał się wtedy zbudzić, to ze strachu musiałby uciekać. Ale było inaczej. Widziałaś, że nadal spał, chyba po wypiciu tego wywaru z kwiatów żółtej azalii, który przygotowałaś na szkodniki w ogródku. Spytałaś myśliwego zaszywającego dratwą brzuch wilka: – Co tam jeszcze w tym brzuchu zostało, że wciąż jest taki duży? Usłyszałaś, że są tam wszystkie kamienie, które przyniesione przez ciebie na nowy piec leżały w kącie. Byliście już wszyscy troje, jak wilczysko wreszcie się obudziło i chciało nogi za pas brać. Ale nie mógł uciekać, bo za ciężki był, poszarpał się trochę i padł bez życia. Poprosiłaś jeszcze pana myśliwego, aby gdy już skórę z wilka ściągnie i w ziołach ją wymoczy, przed drzwiami chatki powiesił, po to by innym wilkom nie przyszło do głowy do twojej chatynki się zbliżyć.

Mówisz, babciu, że potem już wszystko było dobrze? A pamiętasz, jak dwa lata jeszcze nie minęły, kiedy sowa opowiedziała ci, co podsłuchiwała w nocy przy wilczym legowisku? Wystraszyłaś się wtedy na dobre, bo znów inny wilk knuł, jak się do twojego domku dostać. Ale z Czerwonym Kapturkiem wymyśliłyście wspaniałą zasadzkę. Zresztą opowiedziałyście już o tym w bajce.

 Irena Kawczyńska

Przygoda Czerwonego Kapturka

(narracja pierwszoosobowa z pozycji Czerwonego Kapturka)

Cześć, maluchy. Chcecie bajki, będzie bajka.

Jestem dziewczynką, którą wszyscy nazywają Czerwonym Kapturkiem. A to dlatego, że lubię chodzić w czerwonym berecie i często zakładam czerwone sukienki. Mieszkam z mamą w domu koło niedużego lasu, a za tym lasem jest domek mojej babci. Właśnie dzisiaj mam ją odwiedzić, by zanieść lekarstwa, ciasto jakie upiekła mama oraz zdrowotne wino.

Zapakowałam to wszystko do koszyka, włożyłam ulubioną czerwoną kurtkę i pobiegłam znaną ścieżką w kierunku domu babci.

Pięknie było w lesie, ptaki świergotały w drzewach, na polanie kwitły konwalie. Och! Nagle zza drzewa wyszedł ogromny wilk. Przestraszyłam się ogromnie,

ale wilk zagadał do mnie zupełnie przyjaźnie: – Dzień dobry, Czerwony Kapturku, dokąd idziesz?

- Do babci, niosę jej smaczne rzeczy.
- A gdzie babcia mieszka?
- O tam, za lasem w małym domku, jest sama, dlatego jej pomagam.

Wilk stwierdził, że nadarza mu się doskonała okazja, żeby zrealizować niecne plany,

jako że z natury był niedobry.

Zagadał do mnie: – Kapturku, popatrz, ile tu pięknych leśnych kwiatów, narwij dla babci, ucieszy się.

Pomyślałam że to dobry pomysł i zajęłam się tworzeniem bukietu. Wilk tymczasem pobiegł chyżo w kierunku domu babci. Cieszył się – sama, stara, chora, łatwo ją okradnę.

Skrępował babcię i schował do szafy, a sam położył się do łóżka, zakładając na głowę jej czepek.

Przybiegłam zdyszana do domku, bo za długo chodziłam po lesie, zbierając kwiaty. Babcia zakryta po nos leżała w łóżku.

– Babciu, tak źle się czujesz? Jesteś taka zmieniona. Powiedz dlaczego masz takie ogromne oczy, czy to z temperatury? Może trzeba wezwać lekarza?

– Nie trzeba, Kapturku, pokaż, co dobrego przyniosłaś.

Nie podobał mi się głos babci. Pod pretekstem, że zapomniałam czegoś na podwórku, wyszłam przed dom, żeby spokojnie o tym pomyśleć.

Niedaleko zobaczyłam pana gajowego, który robił obchód lasu. Zawołałam go, a gdy podszedł, cicho opowiedziałam, co mnie niepokoi.

Gajowy wszedł do domku i natychmiast po kształcie pod kołdrą zorientował się, kto leży w łóżku babci. Wycelował swoją strzelbę w jego kierunku, więc wilk nie miał szans na ucieczkę.

Ze strachu wyznał, gdzie schował babcię.

Teraz pan gajowy skrępował wilka i razem z babcią oraz Czerwonym Kapturkiem posilili się ciastem, rozmawiając o tym, co się wydarzyło. Oj, zbesztali mnie nieźle. Przestrzegali przed podobnymi zdarzeniami, gajowy powiedział, jak bardzo lekkomyślnie podałam adres babci komuś, kogo nie znałam. Będę ostrożna na przyszłość.

A wilk, który okazał się łotrem, znalazł się w areszcie.

I tak skończyła się moja opowieść, która tak naprawdę bajką nie jest.

Ewa Konigsman

Zmieniona wersja bajki o Czerwonym Kapturku

(narracja pierwszoosobowa z pozycji Babci)

Dawno, dawno temu, na skraju pięknego lasu mieszkała starsza pani o imieniu Eufemia. Jej domek z czerwonej cegły, pokryty czerwoną dachówką wraz z obejściem zabezpieczono solidnym ogrodzeniem, w którym skomplikowane otwarcie furtki znały tylko wtajemniczone najbliższe osoby. Dzięki temu samotnie mieszkająca pani Eufemia czuła się bardzo bezpiecznie.

Często odwiedzała ją ukochana wnuczka – Czerwony Kapturek, dostarczając potrzebne rozmaiwości. Jakże się cieszę na odwiedziny wnuni, z rozrzewnieniem pomyślała pani Eufemia. Na pewno w koszyczku wypełnionym przysmakami będzie też ulubiona nalewka z pigwy, która pomaga na wszelkie dolegliwości.

Rozmyślenia przerwały donośne wrzaski dochodzące z podwórka. Co tam się dzieje?, zaniepokoiła się kobieta. Taki hałas robią moje perliczki i pozostały drób, gdy do ogrodzenia skrada się leśny intruz z płonną nadzieją na smaczne jedzonko.

Podeszła do okna, uchyliła firankę i to, co zobaczyła, przyprawiło ją o zawrót głowy. Przez furtkę wchodził roześmiany Czerwony Kapturek w towarzystwie olbrzymiego wilka, który na grzbiecie niósł koszyk z jedzeniem. Oboje szybko minęli ganek i zanim starsza pani ochłonęła z przerażenia, wnuczka nie szczędząc uścisków i pocałunków, z tryumfem oznajmiła: –Babuniu, to jest nasz kłapouszek, którego prawie dwa lata temu uratowałam z kolczastych zarośli.

– To nasz mały kłapouszek? – ze zdziwieniem wyszeptała babcia. – Oczywiście pamiętam, jak pewnego razu przyniosłaś taką małą kulkę ze złamaną łapką i powbijanymi kolcami z krzewu dzikiej róży. Byłyśmy pewne, że to piesek porzucony w lesie. Od razu polubiłyśmy biedne maleństwo, a ty z wzajemnością zakochałaś się bez reszty, dzięki czemu częściej jak zwykle mnie odwiedzałaś. Po pewnym czasie, ku twojej wielkiej rozpacz, okazało się, że jest to mały wilczek, który musiał się zagubić. Skośnie oczy i dziwne zachowanie na widok domowego drobiu nie budziły żadnych wątpliwości. Nie chciałaś przyjąć do wiadomości, iż należy zanieść go tam, skąd został zabrany. Pamiętam twoje argumenty, że to absolutnie nie jest wilczek, bo ma oklapnięte uszka, czego wilki nie mają, natomiast skośnie oczy mają niektóre rasy psów. Po długich perswazjach zrozumiałaś, że rozstanie było nieuniknione, bowiem zachowanie kłapoucha sprawiało coraz większe kłopoty. Byłaś bardzo dzielna, gdyż mimo ogromnego żalu sama zaprowadziłaś wilczka tam, gdzie go uratowałaś.

Kiedy babcia i Czerwony Kapturek snuły wspomnienia, wielki kłapousek smacznie zjadał pachnące pęto domowej kiełbasy, którym się sam poczęstował

Starsza pani z czułością przytuliła dziewczynkę i uprzedzając jej pytanie, cicho powiedziała: –Jutro, Kapturku, pomyślimy, co z tym fantem zrobić, a tymczasem musimy coś zjeść ,gdyż kłapousek nic nam nie zostawi.

Delektując się nalewką, ukradkiem zerknęła na wnuczkę, tulącą się do odzyskanego przyjaciela.

Maja Garczyńska

Czerwony Kapturek – wersja nowa

(narracja trzecioosobowa, z pozycji Babci)

Wanda była chora. Już drugi tydzień leżała w łóżku i wymagała opieki. Bardzo ją krępowała taka sytuacja. Była już osobą leciwą, ale samodzielną. Mieszkała sama i radziła sobie ze wszystkim wystarczająco, aby czuć się niezależną. Teraz była zdana na córkę, a jeszcze bardziej na wnuczkę, która zaraz po szkole przychodziła z zaopatrzeniem. Ania, kochana wnusia, chodziła już do drugiej klasy. Była rezolutną dziewczynką, a jej szkoła mieściła się blisko domu babci, więc rodzice pozwalali na takie samodzielne wędrówki. Na samą myśl o wnusi Wandzi robiło się ciepło na duszy.

Mój kochany skarbeczek – myślała Wanda. Z rozrzwinięciem przypominała sobie bajkę o „Czerwonym Kapturku”. Tak, dziś ja, chora czekam na swojego Czerwonego Kapturka, który przyjdzie z koszyczkiem smakołyków.

Z tego rozczulenia musiała przysnąć, bo z przestrachem usłyszała dzwonek telefonu.

- Czy pani czeka na wnuczkę? – usłyszała w słuchawce.
- Tak, czekam na Anię, czy coś się stało, bo powinna już być?
- Ania miała bardzo poważny wypadek. Konieczny jest natychmiastowy transport helikopterem do Warszawy, a może i dalej. Potrzebna jest gotówka – usłyszała w odpowiedzi.
- Dobrze, dobrze, mam w domy 10 tysięcy, czy to wystarczy?
- Zobaczymy, proszę podać adres, kurier się zgłosi. Może też pani przygotować zlecenie do banku.

Roztrzęsiona Wanda bezsilnie opadła na łóżko.

Nagle usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. To kurier, pomyślała.

Jaki kurier? To za wcześnie! Powoli wracał rozsądek. Patrzy i oczom nie wierzy. W drzwiach stała jej Ania, z uśmiechem i zakupami, na dodatek w czerwonym bereciku.

– Jak to Aniu, to ty żyjesz?

– Babciu, co ty mówisz, dlaczego miałabym nie żyć? Gorzej się czujesz? Może zadzwonię do mamy?

– Nie, nie, już dobrze. To ze szczęścia, że nic ci nie jest.

Wróciła werwa i opamiętanie. – Wszystko opowiem, tylko muszę zadzwonić na policję.

Mój Boże, tak się dałam podejść. To chyba gorączka uśpiła moją czujność. Nikczemni oszuści, tak żerować na chorej osobie – użalała się nad sobą. Już ją wam przygotuję gotówkę. Wpadnicie w swoje sidła.

Po zgłoszeniu na policję powiedziała do Ani: – Musimy porozmawiać. Widzisz, Aniu, to tak jak w „Czerwonym Kapturku” – pamiętasz tę bajkę? Tyle razy ci czytałam.

– Tak, babciu, ale ty jednak chyba nie czujesz się dobrze? Może kawy ci zrobię?

Babcia się uśmiechnęła. – Aniu, ja nie bredzę, posłuchaj.

W „Czerwonym Kapturku” chora babcia dała się pożreć wilkowi, który był też zagrożeniem dla jej wnuczki. Dziś, kochanie, to nie wilki z lasu są zagrożeniem dla nas. Prawdziwym niebezpieczeństwem są źli ludzie, którzy mają tysiące sposobów, aby zrobić nam krzywdę. Otóż dziś chcieli mnie oszukać i okraść z moich ostatnich oszczędności. Ciebie mogą zwabić do swojego domu i wykorzystać do niecných czynów. Pamiętaj, aby nie ulegać pięknym opowieściom o wspaniałych wymarzonych zabawkach, o prezentach, które możesz otrzymać, tylko musisz coś zrobić. Ci źli ludzie mogą cię prosić o pomoc w szukaniu zgubionego pieska, mogą prosić o odprowadzenie do domu, mogą chcieć twój adres. Obiecay mi, że nie dasz się nabrać. Każdy nieznajomy, nawet najmiłszy, może okazać się oszustem. A dobry leśniczy – jak to w bajce – nie zdąży na czas.

Dzisiejsza historia miała dobrego leśniczego. Policjanci przy udziale babci zastawili pułapkę i udało się zapobiec następnym oszustwom.

Gry i zabawy naszego dzieciństwa

mgr Magda Wieteska

Bez internetu, bez smartfonów, konsoli, gier komputerowych – głównie na dworze i często w tajemnicy przed rodzicami – tak bawiliśmy się „dziesiąt” lat temu, organizując sobie czas we własnym koleżeńskim gronie. Gry w klasy, gumę, skakankę, berka, chowanego, dwa ognie, pomidora... wiele by wymieniać... Inwencja i kreatywność dzisiejszych studentów uniwersytetu trzeciego wieku nie znała granic. A że czasami były to zabawy bardzo niebezpieczne... cóż, dziecięce umysły, jak powiedziałyby współczesna młodzież, owych niebezpieczeństw nie ogarniały.

Zapraszam do lektury wspomnień zabaw z dzieciństwa autorstwa uczestników warsztatów dziennikarsko-literackich.

Teresa Dźwigałowska

Mali szabrownicy

Moje dziecięce zabawy odbywały się na powojennych zgłiszczach. Mieszkaliśmy na terenach dawnych Prus odzyskanych wysiłkiem Armii Radzieckiej. Rosjanie gdy szli na Berlin wszystko palili, ludzie uciekali na zachód. Rodzice przyjechali z okolic Włocławka, jak mówiono wówczas – z Kongresówki, zajęli gospodarstwo rolne za małym miastem. Budynki nie były zniszczone, bo dzieliła je odległość od głównej szosy (tak nazywaliśmy ulicę łączącą dwa miasta). Natomiast domki trzyizbowe z ogródkiem, takie robotnicze, budowane wzdłuż szosy, były kompletnie spalone, zburzone.

Zabawy, które najlepiej pamiętam, to chodzenie po „spalunkach”, jak nazywaliśmy te ruiny. Dość szeroka szosa służyła dzieciom jako boisko sportowe do wszelkich rozgrywek i spotkań. Starsze dzieciaki grali w szczypiorniaka lub w dwa ognie. Młodsze skakały na narysowanych kamieniem klasach na asfalcie. Samochodów wówczas prawie nie było, przejeżdżały może jakieś dwa na dobę. Ludzie poruszali się rowerami lub końmi zaprzężonymi do fury czy bryczki. Oczywiście, jak zawsze, nie ma zabawy bez rywalizacji i konkurencji. Rozgrywki odbywały się między dziećmi z Kongresówki i zza Buga. Tak nazywaliśmy dzieci, które przyjechały ze wschodu z Kresów. Władze osiedliły ich po drugiej stronie szosy. Rozgrywki te najczęściej nie kończyły się przyjaźnią, nie wiem jak nazwać

sposób osiągnięcia sprawiedliwego wyniku: boks, sumo, zapasy czy sprint. Chodziliśmy do tej samej szkoły, tam panował porządek, spokój, zrozumienie, natomiast powroty ze szkoły były trudniejsze, zawsze wracaliśmy grupami. Gdy ktoś szedł sam, mógł liczyć się z pogonieniem lub wymuszeniem gumki, ołówka czy czegoś innego, a czasami trzeba było jakiegoś chłopaka pocałować.

Tych sportowych rozgrywek nigdy nie lubiłam, może nie miałam talentu, nie za bardzo mnie wybierali do drużyn. Najbardziej lubiłam bawić się z moją koleżanką Krysią, ona była jedynaczką i w domu miała mnóstwo zabawek, nawet rowerek. Jej tato zawsze coś przyniósł lub zmontował. Ona tak samo jak ja lubiła łązić po „spalunkach”, tam było pełno skarbów. Można było znaleźć różne rzeczy: a to nadpaloną lalkę, a to jakiś garnuszek, łyżkę... Albo nic, tylko pokrzywy, bo cały ogród był porośnięty chwastami. Zawsze towarzyszyła nam nutka tajemniczości, myślałyśmy, że z tej piwnicy wyjdzie czarownica, wiedźma. Snułyśmy różne strachy, aby dodać sobie animuszu i ciesząc się, że to tylko strach i zdołałyśmy uciec. Wśród tych pokrzyw i zarośli latem odnajdywałyśmy owocowe krzewy, rabarbar, poziomki, zdziczałe truskawki. Jadłyśmy te owoce jeszcze niedojrzałe, chyba dziecięcy organizm domagał się witamin, bo wszystko smakowało. Gdy dojrzały, szybko znikały, bo inne dzieciaki też plądrowały te ogródki. Takich poszukiwaczy było dużo, nie tylko dzieci, ale i dorosłych, którzy nas wypędzali ze swojego terytorium. Mój Tata nazywał ich SZABROWNICY. Dlatego wszystkich skarbów, jakie znalazłyśmy, nie zanośiłam do domu, lecz do Krysi, ona mogła je ukryć, nikt jej nie śledził. Często słyszałam jak Tato krzyczał na moje starsze siostry, które przyniosły jakieś garnki czy maszynę do szycia. Wprowadził zasadę, że jak coś się znajdzie, to trzeba zanieść do pani Wasiak. Na naszym osiedlu pozostała tylko jedna rodzina autochtonów. Tata twierdził, że ludzie kiedyś wrócą, a może jak się uspokoi, będą chcieli odwiedzić swe rodzinne strony, ponieważ tu mieszkali całe życie; to nie byli Niemcy tylko Prusacy, mówili nawet po polsku. Rodzina Wasiaków miała gospodarstwo ogrodnicze obok pałacu, który też został spalony i zrujnowany. Pan Wasiak był ogrodnikiem. Od najmłodszych lat inspirował mnie ten ogród, był niedostępny, cały ogrodzony żywopłotem z tui, nic nie można było podejrzec. Ciekawość dzieciaków nie znała granic. Robiliśmy podkopy lub łamaliśmy gałęzie tui, aby coś zobaczyć. Starsi chłopcy wchodzili tymi dziurami do ogrodu „na pachtę”. Pod koszulą wynosili jabłka, brzoskwinie, śliwki, czereśnie, a nawet agrest. Do dziś się zastanawiam, jak oni go rwali, przecież nie mieli rękawic, a on tak kłuje. Pani Wasiak przyjmowała różne trofea znalezione na „spalunkach”, układała je w skrzynki ustawione w piwnicy. Najpierw dokładnie pytała, gdzie leżały, w którym miejscu i zapisywała to. Fajnie było zanieść, bo zawsze częstowała kisiem ze śmietaną lub jakimś dobrym ciastem i kakao. Opowiadała różne historie o tej rodzinie, gdzie leżały skarby. Wtedy czułam, że robimy coś dobrego. Nasze poszukiwania

nasiliły się, gdy zaczęłyśmy z Krysią chodzić do szkoły. Po drodze był zaniedbany żydowski cmentarz z pięknymi nagrobkami, kwiaty, krzewy i od najwcześniejszych wiosennych dni coś kwitło. Robiłyśmy bukiety, które nosiłyśmy na grób zmarłego braciszka Krysi – Stasia. Piękne były też znicze czy kawałki figurek, ale tego nie brałyśmy, bo bałyśmy się duchów.

Pewnego dnia wracając ze szkoły zauważyłyśmy, że cmentarz został ograbiony ze wszystkich pięknych nagrobków, reszta była rozbita, wyglądało, jakby przeszedł jakiś huragan i tylko zabrał cenne granity. Ludzie zaczęli traktować ten cmentarz jak miejsce załatwienia swych potrzeb fizjologicznych. Dlatego nasze odwiedziny stały się utrudnione, choć jeszcze czasami chodziłyśmy po te kwiatki. Później, w latach 60. na tym miejscu zbudowano miejskie garaże, które znajdują się tu do dzisiaj.

Gdy zdałyśmy z Krysią do szkoły średniej, nasze drogi się rozeszły: ja poszłam do „Ekonomika”, ona do „Pedagogika”. Spotykałyśmy się tylko w ferie czy wakacje. Pewnego lata przypomniały nam się wspólne zabawy i skarby, które ukrywałyśmy. Leżały nienaruszone. Nie wyglądały teraz na żadne cuda, ale sprawiedliwie się nimi podzieliłyśmy. Były to jakieś kubeczki, łyżeczki, poobijane figurki, była też lampka do wina na zielonej nóżce. Wtedy gdy ją znalazłam, zachwyciła mnie, że taka cieniutka i się nie potłukła. Zabrałyśmy swoje skarby do domu, lampka trafiła do mnie. Przez lata moich licznych przeprowadzek te skarby gdzieś się zapodziały, tylko ten kieliszek jest ze mną, mam go do dziś, może dlatego, że go nie oddałam?

 *Bogdan Banaś*

Wystrzałowe zabawy

Druga połowa września, trwała ciepła jesień. Na większości pól było już po wykopkach, na innych wykopywano ostatnie ziemniaki. Pewnym symbolem tego stanu były kopy ziemniaczanych łętów sterczące na kartofliskach. Utrzymująca się słoneczna pogoda sprawiła, że tego roku łęty były dość dobrze wysuszone. Prowokowało to oczywiście do rozpalania ognisk i pieczenia ziemniaków. Rodzice dawali na to przyzwolenie – prawie wszystko już przecież zebrane, nie było obawy, że coś może spłonąć. Minęło chyba sześć lat od zakończenia wojny, więc trudno się dziwić, że to ona była najczęstszym tematem naszych chłopcęcych zabaw, częściej niż piłka, którą kopaliśmy prawie na każdej przerwie w szkole.

Dosyć szybko wystąpiły trudne problemy, zarówno przy zabawie w „partyzantów”, jak i w innych wojennych bitwach, bo nikt nie chciał być Niemcem.

Jako karabiny służyły nam same lufy, metalowe pręty, a w roli pistoletów najlepiej sprawdzały się stare klamki. W przypadku braku wystarczającej ilości metalowych zamienników wystarczały drewniane kije czy klocki. Ważne były okrzyki: „Już jesteś trafiony!”.

Wymyśliliśmy, że spróbujemy zabawić się w zestrzeliwanie samolotów... Samoloty były udawane, miały je zastąpić latawce. Na piaszczystej skarpie, którą nazywano wałem (z racji tego, że przed wiekami tu znajdował się wysoki brzeg Wisły) wraz z bratem Andrzejem i Jankiem znaleźliśmy niemieckie skrzynki z nabojami, w taśmach po kilkadziesiąt sztuk, takie do automatycznych karabinów maszynowych.

Trzeba wspomnieć, że nasza miejscowość leżała około 4 km od Wisły i z tego powodu latem 1944 r., kiedy Rosjanie doszli do Wisły, wraz z innymi leżącymi bliżej rzeki wioskami zostaliśmy wysiedleni z całym dobytkiem kilkanaście kilometrów na zachód. Tutaj zaś Niemcy zorganizowali linie obrony, nie wiedząc dokładnie, gdzie nastąpi forsowanie Wisły. Ofensywa Rosjan w środku mroźnej i śnieżnej zimy spowodowała szybką ucieczkę Niemców na zachód, którzy pozostawili wiele amunicji, magazynki, a także niekiedy i broń. Stąd tak dużo było jeszcze na polach różnego kalibru nabojęw.

Na znajdującej się poniżej wału zalesionej działce przeprowadziliśmy próby ze strzelaniem w ognisku. Nie wyszło za dobrze, chrust w cieniu drzew jeszcze nie wysechł po porannym deszczu i słabo się paliło. Po pierwszych trzech wystrzałach zorientowaliśmy się, że trzeba gdzieś się schować, aby się osłonić przed przypadkowym trafieniem. Szczęśliwie, rosnąca w pobliżu stara wierzba o ponad półmetrowej średnicy pnia okazała się dobrym parawanem. Nawet nie wystrzeliła połowa nabojęw, kiedy zaczęło padać. Ognisko i tak się nawet bez deszczu dopalało, przykryliśmy je mokrymi gałęziami. Przed wieczorem powróciliśmy z tornistrem, aby zabrać wystudzone niewybuchy i kilka pełnych taśm.

Duża ostrożność była zrozumiała z powodu wypadku, który zdarzył się dwa miesiące wcześniej, w oddalonej od nas wiosce (chłopcy stamtąd nie chodzili do naszej szkoły). Wiele lat starsi od nas, sprawdzali, jak się strzela z niemieckiego pancerfausta, których kilka pozostawili uciekający zimą Niemcy. Była to broń dość ciężka i niewygodna w strzelaniu, więc dla lepszej stabilności chłopak ustawił ją na wewnętrznej belce otwartych wrót stodoły, celując w oddalone o około 25 metrów drzewo. Prawdopodobnie zdarzyło się tak, że już miał strzelać, gdy przypadkiem poruszył szerokie drzwi i pancerfaust zaczął się zsuwać. Chłopak, łapiąc upadającą broń, spowodował odpalenie, kiedy lufa była skierowana w przypadkowym kierunku. Z dość solidnie wyglądającego drewnianego budynku spichrza, we mgle, dymie i kurzu opadła na ziemię góra szczap i niewiele całych desek. Jeden z jego kolegów zginął na miejscu, a kilku domowników, w tym dziecko, zostało rannych, drzazgi z ich ciała musiano wyjmować w szpitalu.

Planując swoją zabawę strzelania do latawców, nie znaliśmy jeszcze szczegółów tamtej historii. Zresztą wówczas informacje nie rozchodziły się tak szybko. Nie było prywatnych telefonów, o komórkach jeszcze nikt nie słyszał. Bardzo niewiele osób miało radia lampowe, ale tam nie podawali lokalnych wiadomości.

Wiatr był przychylny, bo wiał w kierunku łąk, na których, jak wiadomo, nie było żadnych zabudowań. Tego dnia tato nie pracował w biurze, wyjechał służbowo do Kielc, wiedzieliśmy więc, że wróci późno, później niż zawsze. Umówiliśmy się z Jankiem i Andrzejem, że zaczniemy zabawę z nabojami zaraz po szkole.

Duży płat tektury (bo latawce były zbyt ruchliwe na wietrze) przywiązaliśmy do gałęzi na jednej jabłoni i do jabłoni w rzędzie obok. Wyglądał jak tekturowy daszek prawie 2,5 metra nad ziemią. Chociaż łatwo wspinaliśmy się na drzewa, tutaj skorzystaliśmy z wygodnej ogrodowej drabiny. Miejsce naszej zabawy znajdowało się z tyłu sadu, tak że z domu i podwórka nie było nas widać. Dwie taśmy z nabojami ustawiliśmy na ziemi czubkami (pociskami) do góry i aby się nie przewróciły, zabezpieczyliśmy połamany suchymi gałęziami, których wiele można było znaleźć w sadzie, a wszystko przykryliśmy suchymi łętami ziemniaczanymi, podobnie jak przy pieczeniu ziemniaków w ognisku. Przyszłe ognisko ustawiliśmy dokładnie pod tekturowym daszkiem. Zapas łętów i suchych gałązek znajdował się obok, podobnie jak metalowe grabie do pilnowania, aby ogień nie rozszerzał się. Nie myśleliśmy o zabezpieczeniach, bo jakby co się popsulo, to zamierzaliśmy uciekać. Drugim błędem było wyobrażenie, że naboje będą wybuchać na nasze życzenie. A tak się nie stało. Nie mieliśmy wtedy zegarków, aby sprawdzić, jak długo już się paliło; wydawało nam się, że już powinno strzelać. Stojąc w odległości pięciu do sześciu metrów tuż za pozostawianym tutaj siewnikiem, trochę się denerwowaliśmy, że nic się nie dzieje. Siewnik był szeroki, jedyną osłoną, jaką dawał, był zbiornik na zboże, ale on zasłaniał niewielką część powierzchni. Poniżej większość była ażurowa, czyli nic nie chroniła.

Już dopalały się te łęty, które dołożyliśmy dodatkowo i nadal nic się nie działo. Janek był wtedy najwyższy z nas. Wziął grabie i chowając się za pniem jabłoni, chciał zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia, szczególnie do otaczającego jabłoń „trawnika” z zaschniętą w dużej części trawą. Zawadził przy tym o taśmę z nabojami, która pewnie już wcześniej przechyliła się, gdy spaliły się gałązki i drewna podtrzymujące ją. Chcąc przesunąć żar do środka ogniska, musiał zawadzić o naboje z drugiej strony, bo usłyszeliśmy chyba cztery szybkie wystrzały i metaliczny odgłos uderzenia pocisku w metal. Z jabłoni spadło trochę liści i suchych gałązek. Janek upadł, myślę, że ze strachu, wypuszczając z ręki grabie. Ja z bratem też upadliśmy (też chyba ze strachu) w tę samą głęboką bruzdę, tylko trochę dalej. Myśleliśmy, że Janek został trafiony, bo nie odzywał się dłuższą chwilę. Potem mówił, że go ogłuszyło. Za chwilę wybuchły dwa jeszcze, a po nich trzy dalsze. Pewnie pociski latały nie do góry, ale w różne strony, bo obok

nas przebiegł wystraszony z legowiska zajęc (wtedy jeszcze dużo ich można było spotkać na polach), a w stronę łąki przefrunęło tuż nad ziemią stado kuropatw. Było jeszcze kilka serii wybuchów, a potem nastała cisza, która trwała przez długi czas. Andrzej zauważył, że w zbiorniku na zboże widać otwór, przestrzelona została cienka ścianka. – Dobrze, że u góry – powiedział i tonem fachowca dodał: – Mamy kolbę lutowniczą, to się zalutuje albo jakimś nitem zasklepi. Kurczę, skąd on to wie, jak ja nie wiem – pomyślałem wtedy. Już mieliśmy wstać, aby zobaczyć, czy tekturowy daszek też podziurawiony, kiedy strzeliło jeszcze raz, a po chwili pojawił się pomocnik murarza, Zbyszek. Gdy usłyszał wystrzały, zaniepokojony przyszedł tutaj. – Co wy znów wymyśliliście? Chcieliście się pozabijać? – nakazał nam wracać szybko do domu.

Wszystko się wydało. Odchodząc, obejrzelśmy się na chwilę i zobaczyliśmy, jak pan Zbyszek przy pomocy długiego trzonka od grabi delikatnie wiesza niepełne taśmy na jabłoni, podobno, aby ostygły. Zakazał nam się tam zbliżać. Janek chciał od razu wracać do swojego domu, żeby uniknąć spotkania z naszym tatą, a jego wujkiem. Było pewne, że całą naszą trójkę potraktowałby jednakowo.

Musieliśmy ustalić linię obrony. My z bratem będziemy mówić na niego, a on ma mówić, że to my zaplanowaliśmy strzelanie. Już wcześniej taka metoda się sprawdzała. A gdy nie będą wierzyć, to powiemy, że namówił nas obcy pan w kapeluszu, który przechodził ścieżką za świerkami, a którego nie znaliśmy.

Wiem, że nasuwa się pytanie: Jak to się skończyło? Poproszę o inne. Nie o wszystkim lubię i chcę mówić, pamiętam tylko, że na początku czuliśmy się jak bohaterowie, zwłaszcza wśród kolegów. Szybko to się zmieniło, gdyż dorośli i nauczyciel traktowali nas, jakby nie wszystko było z nami w porządku.

Jedynie ksiądz nie dołączył do ataków na nas. W kazaniu na niedzielnej sumie wspomniał, że był w wojsku i, co prawda krótko, ale także na froncie, więc widział wiele. I może powiedzieć, że jego zdaniem to, że ci trzej mali chłopcy nie zginęli, to jest Cud Boski i ostrzeżenie. Znów chodziliśmy z głową do góry. Nie słyszeliśmy, aby ktoś z kolegów, a nawet dorosłych w naszej okolicy wcześniej zasłużył na cud.

Epilog

Z perspektywy czasu wydaje mi się, że tamte nasze zabawy nie były zabawą, tylko grą, tyle, że naszą grą ze śmiercią. Ale o tym przekonaliśmy się dopiero wtedy, gdy mieliśmy swoje dzieci.

Ewa Śnigór

Zorro

Witaj Zorro, mój idolu z dzieciństwa. Chociaż wówczas byłeś tylko postacią fikcyjną, dla mnie byłeś uosobieniem odwagi, siły rażenia, waleczności w obronie uciśnionych, a także... męskiej urody. A ja, jako zodiakalna WAGA, już od dziecka byłam czuła na piękno. Ale do rzeczy!

W „szarej” podobno rzeczywistości lat 70. byłeś dla mnie kimś tak bardzo kosmicznym, pożądanym wizerunkowo, wymarzonym. Myślę, że dzieci okresu komuny wcale nie były pozbawione cudownych zabaw, a wręcz przeciwnie. Przy braku współczesnych dóbr (starsi ludzie nazywają je udziwniaczami vel ogłupiaczami, a ja je nawet lubię) musieliśmy być i byliśmy bardzo kreatywni.

W chwili zakończenia każdego odcinka z Twoim udziałem, przystojniaka o empatycznym usposobieniu – zaczynała się jazda!!! Zbiegałam po trzy, cztery schody, aby jak najszybciej znaleźć się na podwórku, wśród chłopaków przede wszystkim.

Ha! Miałam nawet tę czarną pelerynę, marzenie wielu dzieciaków, i szpadę z wystruganego przez tatę grubego patyka. Nie uwierzysz, ale pelerynę uszyła mi profesjonalna krawcowa. No cóż, odcinków filmu było wiele, więc uszycie się opłacało, bo przecież wygląd przede wszystkim!

Scenariusz każdego odcinka był przez nas dokładnie odtworzony, a sławetna litera Z, symbol Twojej obecności na polu bitwy, był takim dopełnieniem, dumą i nieważne, że tylko kredą na ścianach domów nabazgrany.

Wtedy właśnie wredny dla wszystkich podwórkowy łobuz dostał ode mnie w zęby, bo ja jako ZORRO ukryta za czarną maską musiałam dokonać tego zamachu na wątpliwą „godność” smarkacza w obronie malucha z piaskownicy. Cel uświęca środki.

Zwracam się do ciebie, moja wspaniała zabawo w Zorro, z podziękowaniem za to, że mieliśmy już gotowy scenariusz, a jednocześnie byłąś zabawą uczącą pokory, miłości do bliźniego, empatii, potrzeby pomocy, zwalczania niegodziwości, a także rozbudzałaś naszą wyobraźnię.

Postać ta w naszej dziecięcej zabawie stała się jedną z najtrwalszych symboli filmowej popkultury XX w. Dopiero teraz się dowiedziałam, że postać filmowa Zorro istniała naprawdę i to jest znakomita informacja.

MOTTO ZORRO: „NIE ZGINĘ TAK DŁUGO, JAK ISTNIEJE ZŁO”.

Ewa Alfut

„Takie były zabawy (...) w one lata”

Wolnym krokiem idę przez nie do końca jeszcze obudzone miasteczko. Jest piękny, lipcowy poranek. Radosne słońce szczerze rozrzuca swoje blaski, czyniąc wszystko wokół pięknym, bliskim sercu, przytulnym.

„Obraz zapamiętany, pejzaż sprzed wielu lat, z żurawiem i wiatrakami, roztańczonymi przez wiatr” – pamięć przywołuje dawno niesłyszaną piosenkę „Bractwa Kurkowego”. Odbynam swoją podróż sentymentalną do miejsc wciąż bliskich, choć jakże już odległych. Gdzieś tam szczeknie pies, podnoszą się rolety w oknach, ptaki trelują w pobliskich kępach krzewów.

Docieram do lasu, wśród drzew połyskuje tafla jeziora Matusowiec, nazywanego przez miejscowych Ługiem. Przysiadam na ławeczce, rozglądam się wokół, wydaje mi się, że las, woda, każde drzewo woła do mnie: „Pamiętasz? Pamiętasz?”. Przysmykam oczy, przed oczyma pojawia się gromadka dzieci, słyszę ich okrzyki, śmiech, a:

„Kiedy dziecięcy śmiech usłyszę, rozjaśnia moją twarz jutrzeńka,
cała natura uśmiechnięta, przysuwa się ku sercu bliżej”.

Zaraz, zaraz, wśród tych dzieciaków jestem i ja, i moje koleżanki – Krysia, Bożena, Wiesia, Alina, a także inni z klasy „b”. Nad głowami śmiga piłka, za chwilę rozegramy bitwę w dwa ognie. Ileż emocji towarzyszyło temu, czy osoba będąca matką wybierze mnie do swojej drużyny! Zostać poza gromadą było dość przykre. Boiska narysowane, drużyny ustawione, gramy. Piłka celnie trafia w przeciwników, udaje mi się do końca zostać na boisku, wszak w łapaniu jestem dobra. I tak aż do zmęczenia, rozgrywka za rozgrywką, a kiedy znudziły się (co raczej rzadko się zdarzało) dwa ognie, to zostawał jeszcze zbijak, kartofel, w ostateczności „kolanka”.

Ileż ten las skrywa radosnych chwil, może drzewa nadal szumią historie szczęśliwych zielonych lat, może gdybym zanurzyła się w głąb, odkryłabym wyrytą na starym dębie strzałkę, która jest znakiem innej, bardzo lubianej zabawy, zabawy w podchody, a dorodne, szeroko rozparte drzewo przypomniałoby jeszcze lubianego „chowanego”. Ach, te wyliczanki: „Ene, due, rabe, zjadł Tadeusz żabę, żaba Tadeusza, w brzuchu mu się rusza”. Oj, ta była dość ryzykowna, bo niejeden Tadeusz z naszej gromadki wygrażał pięścią. No to może inaczej: „Trumf, trumf, Misia, Bella...” – pamięć zatarła dalszy ciąg, ale szukający już wyliczony i można się chować, także i za tym grubasem dębem, chociaż to niezbyt oryginalna kryjówka. „Pałka, zapalka, dwa kije... szukam”... Ileż było radości, gdy udało się przechytrzyć szukającego, dotrzeć szybko do mety i „zaklepać się”.

O, gdzieś tam wśród drzew przemyka Indianin w pióropuszu z kogucich piór, chowa się przed szeryfem uzbrojonym w zatknięty za pasek kolt z zakrzywionego patyka – to grupce kolegów wydaje się, że zdobywają Dziki Zachód. Każdy chce być Winnetou lub Old Shatterhandem, a dziewczyny marzą, by zostać Apaczami lub Ribaną. Ach, te wspomnienia...

Rozglądam się wokół, omiatam wzrokiem jezioro, odbijający się w nim promyk słońca puszcza do mnie oczko. Niewielka plaża po drugiej stronie połyskuje żółto. Ona także mogłaby opowiedzieć o chwilach na kocykach, gdy grało się w karty, opowiadało najróżniejsze historie, zwierzało z pierwszych zauroczeń, pływało, brodziło po wodzie... Nadstawiam znowu ucha „...słyszę śmiech szczęśliwych dzieci, druh z lat dziecinnych ręką kiwa, do nurtowania w rzece wzywa, takiej, co drugiej nie ma w świecie” (w mojej opowieści to maleńki Ług lub niedaleka rzeka Warta).

Wspomnienia, wspomnienia – bohaterowie wczorajszego wieczoru. Przyczyną, jak powiedziałam „podróży sentymentalnej”, była szczególna rocznica, minęło 50 lat od ukończenia szkoły podstawowej, najmilszej ze szkół. Sale lekcyjne i ławki szkolne (choć już wielokrotnie wymienione) także mogłyby wiele opowiedzieć o ulubionych zabawach z dzieciństwa. Szkołę się raczej lubiło, po lekcjach można było zostać w klasie, by pograć w państwa-miasta (fenomenem jest to, że gra ta wcale się nie zestarzała i nie odeszła do lamusa, wciąż cieszy się popularnością). Emocji było co niemiara, aż wkraczał groźny pan woźny i wyganiał rozkrzyczaną gromadkę bardzo skutecznym narzędziem, jakim była miotła do zamykania.

W państwa-miasta grywaliśmy także w domach, gdy nie było pogody. Popularny był też pomidor, a jeśli dysponowało się większą przestrzenią, to „Ślepa babka” czy inaczej „Ciuciubabka”.

Ileż emocji wywoływało pytanie na zakończenie „Pomidora”: „Co mam zrobić z tym fantem, którego mam na myśli”. Serce tłukło się niespokojne, oby tylko nie trzeba było stanąć na rękach lub zrobić jakiej innej akrobacji. Uff, tylko powiedzieć wiersz, nie tak najgorzej.

Emocje i nieokiełznana radość towarzyszyły także „głuchemu telefonowi”, „gdy „słowo wlatywało wróblem, a wołem wylatywało”. Ach, te celowe przekręcania, byleby było zabawniej, weselej, a często bezsensownie, bzdurnie i durnie.

Ukochane zabawy z dzieciństwa, jak wybrać spośród was tę ulubioną, gdy wszystkie byłyście ważne, łączyłyście nas w gromadki, niosły radość, rozwijały wyobraźnię, uczyły współpracy, zabijały nudę (czy w ogóle znało się wtedy takie słowo?).

Może to przywołanie was we wspomnieniach, umieszczenie na kartce papieru, potwierdza, jak byłyście kochane i ważne. Czasem wystarczyło szkiełko czy płaski kamyczek, by mogła toczyć się zabawa w klasy, czasem gruby, długi sznur

„bieliźniany” zastępujący skakankę, czasem kapsle od butelek, by wraz z Szurkowskim pokonywać kolejne etapy w Wyścigu Pokoju, kawałek odpowiedniego patyka do palanta i wiele innych, zwyczajnych, a przecież wtedy nadzwyczajnych rekwizytów służących do zabawy.

A kiedy przyszła zima... Jednak to temat na kolejne wspomnienia.

Pora pożegnać las i jezioro, moja wyprawa do „kraju lat dziecińczych, który zawsze zostanie, święty i czysty jak pierwsze kochanie” dobiega końca, nieprędko tu wrócę, pamięć dawnych zabaw i przeżyć wciąż maluje obraz jasny, słoneczny, błękitny.

Chciałoby się powtórzyć za Wieszczem: „Takie były zabawy... w one lata”. I w tym słówku „takie” zamknęłoby się to, co uczyniło życie wartościowym, co w pewien sposób przygotowało do dni, które nadejść dopiero miały.

Ewa Konigsman

Gry i zabawy mojego dzieciństwa

„Nie ma mowy, abym mógł wymazać z pamięci te wspomnienia. To byłoby to samo, co wymazanie własnego ja”.

Jest to sentencja japońskiego pisarza Haruki Mirakami, z którą się w zupełności zgadzam.

Kiedy czasem sięgam pamięcią wstecz, z nieukrywaną nostalgią wspominam dzieciństwo i wczesnoszkolne lata. Do ukończenia szkoły podstawowej mieszkałam w wiosce położonej nieopodal liściasto-iglastych lasów. Były to czasy zupełnie inne od teraźniejszych. Wówczas w szkole jako okrycie wierzchnie obowiązywał mundur z przyszytą na rękawie tarczą szkoły.

W latach 50. i 60. królował materiał ze sztucznego tworzywa, z którego szyto lub kupowano gotowe mundurki w kolorze niebieskim albo granatowym. Dziewczęce ozdabiał biały kołnierzyk, co niejako niwelowało niedoskonałości. Niewątpliwą zaletą był fakt, że, niezależnie od zasobności rodziców, uczniowie nie wyróżniali się ubiorami. My również nie zwracaliśmy uwagi na majątność rodziców koleżanek i kolegów, toteż razem spędzaliśmy czas w szkole, na przerwach i poza szkołą. W czasie wolnym od nauki i domowych obowiązków każdą chwilę przeznaczaliśmy na gry i zabawy, których było sporo. Zdecydowana większość odbywała się na świeżym powietrzu.

Pamiętam, że w „klasy” grałam, mając 7–8 lat, choć nie było łatwo pokonać wszystkie przeszkody. Na narysowanej kredą na ziemi odpowiedniej ilości i wielkości kwadratów należało je ponumerować, po czym skacząc na jednej lub

obu nogach wrzucać kolejno w każdy kwadrat kamyk. Powrót z ostatniej „klasy” był taki sam. Jeżeli kamyk nie trafił co celu albo gracz przydeptał linię, wypadał z gry.

Dużo radości i śmiechu dostarczały nam zabawy w berka, ciuciubabkę, starego niedźwiedzia, Ulyjankę, chusteczkę haftowaną itp. Podczas zabawy w chowanego dla dobrego ukrycia się najlepszym sposobem było wdrapać się wysoko na drzewo, co niekiedy miało przykre konsekwencje.

Kiedy byłam w starszych klasach, gry stały się trudniejsze. Bardzo lubiłam wspólnie z chłopakami dwa ognie, gdzie na równo podzielonych polach dwie drużyny z parzystą liczbą uczestników zbijają piłką przeciwników wybieranych przez dwie tzw. matki. Byłam drobna i dosyć zwinna, pozostawałam na polu jako ostatnia, więc zawsze pierwszą wybierano mnie do następnej rundy. Natomiast w grze z gumą było mi trudniej. Gra polega na rozciągnięciu gumy założonej na nogi u dwóch graczy, którzy muszą być w pewnym od siebie oddaleniu. Gumę umieszcza się na kostkach, potem łydkach, następnie kolanach itd. Wygrywa ten, komu uda się najwyżej skoczyć. Z powodu krótkich nóg odpadałam z gry już przy „łydkach”. Dobre wyniki miałam za to w skakance, gdzie też dwie osoby, oddalone od siebie zataczają koła sznurkiem, zwiększając stopniowo tempo obrotów, a rozgrywający musi przeskakiwać sznurek, tak aby skacząc nie nadepnąć na niego – bo to oznaczało koniec gry. Wszystkie zabawy na świeżym powietrzu dostarczały nam dużo radości, śmiechu oraz hartowały nasze organizmy.

W dzisiejszych skomputeryzowanych czasach dzieci i młodzież mają zupełnie inne zainteresowania. Jak powiedział nasz poeta Adam Asnyk: „Każda epoka ma swe własne cele i zapomina o wczorajszych snach”. Trochę żal, że z przeszłości nie wszyscy czerpią to, co było dobre.

■ *Maria Marchwicka*

Najcenniejsza lalka w moim życiu

Przez całą wojnę miałam przy sobie ukochaną zabawkę. I dzięki niej przetrwałam.

Po przejściach w obozie w Pruszkowie i uniknięciu wywózki do obozu koncentracyjnego (cudem nam się udało – niebiosa nad nami czuwały) nasza cała rodzina: mama, trzech braci i ja została uratowana – zapakowano nas do pociągu. W pociągu Czerwony Krzyż rozdawał jedzenie i picie, dzieci dostały nawet czekoladę. Wysiedliśmy w bardzo biednej wiosce na Kielecczyźnie. Wójt przydzielił nas gospodyni, który miała duży dom. Dostaliśmy jeden pokój. Moja

mama miała trochę pieniędzy, ale szybko traciły na wartości, dewaluacja była galopująca. Bardziej liczyło się złoto, za nie można było kupić żywność. Mama miała trochę biżuterii, którą sukcesywnie upływniała, dzięki czemu mieliśmy co jeść i przeżyliśmy.

Ale pech nas nie opuszczał, gdyż któregoś dnia zachorowałam. Dostałam gorączki, bolało mnie gardło, byłam wówczas niedożywiona i wycieńczona. O wezwaniu lekarza nie było mowy, gdyż mieszkaliśmy w zabitej deskami wsi, w której lekarzy w ogóle nie było. Mama leczyła mnie domowymi sposobami – naparem z kwiatów lipy, ale to niewiele pomagało. Potrzebne były lekarstwa lub chociaż porządne jedzenie, niestety, mama już nic nie mogła spieniężyć. Została tylko moja ukochana lalka, z którą spałam.

Moja laleczka bardzo spodobała się córce gospodyni, obie miałyśmy po dziewięć lat, i chciała, żeby jej matka ją kupiła. Gospodyni wielokrotnie zagadywała moją mamę, czy nie chciałaby odsprzedać lalki Krakowianki. Lalka była wyjątkowo urodziwa, miała prawdziwe włosy, lakierowane kozaczki i pełny strój krakowski. Bardzo o nią dbałam, czesałam, ubierałam i byłam z nią bardzo związana. I pewnie nigdy bym jej nie oddała, gdyby nie przyplątała się do mnie ta choroba. Wtedy gospodyni wykorzystała sytuację i ponowiła propozycję kupna mojej Krakowianki dla swojej córki.

Mama przyszła do mojego łóżka i podzieliła się tą wiadomością. Nie zmuszała mnie, tylko spytała, co o tym myślę. Z ciężkim sercem zgodziłam się oddać moją ukochaną lalkę. Gospodyni nie dała nam pieniędzy, tylko zapłaciła w produktach naturalnych. Moja Krakowianka okazała się warta kopy jajek, osełki masła i słoja miodu. Mama karmiła mnie tymi specjałami i dzięki temu wyszłam z choroby.

Bardzo przeżyłam rozstanie z lalką. Całą noc nie spałam i cichutko płakałam, żeby nie martwić mamy. Nie miałam kogo przytulić, gdyż zawsze spałam z Krakowianką przytuloną do siebie. Teraz z perspektywy minionych lat myślę, jak to w życiu różnie bywa, że zwykła lalka może uratować ludzkie życie.

List do zabawki

mgr Magda Wieteska

Czy pamiętasz swoją ulubioną zabawkę z dzieciństwa? Ukochaną lalkę, z którą nie rozstawałaś się nawet na noc, misia, którego tuliłaś dopóty, dopóki całkiem nie wytarło mu się futerko? A może służył Ci w celach „medycznych” i na nim zgłębiałaś tajniki umiejscowienia organów wewnętrznych?

Albo piłka – zwykła niepozorna piłka, której strzegłeś jak oka w głowie? Albo kolorowe szkiełka, znalezione po prostu na chodniku? Albo... króliczek, żywe zwierzątko, którego los w trudnych czasach powojennych nagle bardzo się skomplikował...

Zapraszam do lektury listów do ulubionej zabawki z dzieciństwa, które napisali uczestnicy warsztatów dziennikarsko-literackich.

Ewa Konigsman

Kochana Dutko!

Po dość długim czasie postanowiłam napisać do Ciebie, żeby przypomnieć, że nadal jesteś obecna w moim sercu. Byłaś moją pierwszą i bardzo ukochaną zabawką. Kiedy zjawiłaś się w moim życiu, miałam niespełna cztery latka. To był okres tuż po wojnie, trudne czasy, więc zdobycie czegokolwiek nie było łatwe. Zabawki były również towarem deficytowym i bardzo drogie. Moich rodziców nie było stać na taki wydatek, toteż mamusia – krawcowa własnoręcznie, z różnych resztek materiałów, wyczarowała Ciebie. Na czwarte urodziny wręczyła mi przepiękną lalkę. Twoje nóżki, rączki, główka i cała reszta została wykonana wspaniale, niczym nie ustępując tym ze sklepów. Ale Ty byłaś o wiele, wiele piękniejsza, niczym objawienie. Popłakałam się ze szczęścia i omal z wdzięczności nie udusiłam mamy. Nazwałam Ciebie Dutka. Pewnie dlatego, że wcześniej nie miałam żadnej zabawki i być może z tego powodu często odwiedzał mnie dziwny stworek, do którego mówiłam właśnie Dutka. A kiedy się zjawiłaś, wyimaginowany duszek ulotnił się bezpowrotnie, więc Ty zostałaś moją Dutką.

Byłyśmy nierozłączne. Mogłam z Tobą spać, przytulać się, całować i bawić się całymi dniami. Byłaś wielką strojnisią. Uwielbiałaś, kiedy zmieniałam Ci kolorowe ubranka, a było w czym wybierać. Na moje prośby mamusia z niepotrzebnych resztek materiałów szyła bajecznie kolorowe stroje. Do wielobarwnych ubranek miałyśmy też niezwykle finezyjne kapelusiki i czapeczki, w których byłaś rozkochana. Kiedy zrobiłam się nieco starsza, stroiłam Twoją główkę w pachnące wianeczki, co sprawiało nam wielką radość.

Kochana Dutko – razem byłyśmy do ukończenia przeze mnie szkoły podstawowej. Do szkoły średniej z internatem już nie było możliwe zabrać Cię z kilku powodów. Z wielką rozpaczą przekazałam moją ukochaną Dutkę pięcioletniej kuzynce Kazi. Wcześniej dokładnie sprawdziłam, czy potrafi należycie i odpowiedzialnie sprawować opiekę. Przekonałam się, że jest godna zaufania.

Okazało się, że byliście szczęśliwie. Zapewniam Cię, że cały czas byłaś i nadal jesteś w moim sercu. List ten, tak jak kilka wcześniejszych, włożę do szczelnie

zalakowanej butelki i wrzucę do wartko płynącej rzeki. Liczę, że kiedyś dotrze do Ciebie – gdziekolwiek będziesz.

Mocno ściskam, najdroższa Dutko. *Tvoja kochająca Ewa*

Ewa Śnigór

*Dzieci mają wręcz cudowną moc, aby zmieniać się we
wszystko, w co tylko zapragną*

Jean Cocteau

Kochany Pimpusiu!

Potrzebowałam 60 lat, aby zwrócić się do Ciebie z przeprosinami, chociaż absurdalnie to dzisiaj brzmi. Przyznaję, że nie przełałabym na papier tego, co chcę Ci przekazać, niejako może symbolicznie oczyścić się także, zamknąć w moim sumieniu dziecięcą ciekawość świata, Twoją, niestety, ofiarą życia. To zachęta dziennikarki Magdy z warsztatów literacko-dziennikarskich uskrzydliła mnie i nabrałam odwagi.

Byłeś dla mnie nie tylko pluszakiem, miśkiem barwy kawy z mlekiem o oczach świdrujących mnie po każdym przebudzeniu. Siedziałeś na rustykalnej toalecie mojej eleganckiej mamy. Twoje urocze ciało odbijało się w lustrze i często widziałam was dwóch. Kochałam ten widok każdego poranka i konwersowałam z Tobą niewyraźną paplaniną 3–4-latki.

Jak sobie przypominam, to tylko Ciebie wspominałam często z moich dziecięcych zabawek, czyli... byłeś najważniejszy!

Moja córka zawsze wiedziała o Tobie, gdyż wtajemniczyłam ją w czyn, którego się dopuściłam na Twoim puchatym brzuszku. Też było jej przykro. Choć dorośli także dopuszczają się haniebnych czynów, mało mnie to usprawiedliwia, chyba że tylko to, iż w dziecięcej głowie zwyciężyła ciekawość poznawcza.

No cóż, już od najmłodszych lat pochłaniały mnie zagadki ludzkiego ciała. Z szufladki toaletki wyciągnęłam nożyczki i... stało się! Dziecięca ciekawość zwyciężyła, przy zamgleniu uczuć wyższych. Pimpusiu, stało się: Ciach! Trach!

Wtem dekadramy dziwnych trocin zaczęły się wysuwać z Twojego brzuszka niczym kokon wstrętnych robali. W mojej głowie zagotowało się, otrzeźwiałam z amoku, a jednocześnie wylało się ze mnie ogromne rozczarowanie. – Co to jest? – krzyczałam. – Gdzie kiszeczki, gdzie żołądeczek, o których mi tatuś opowiadał?!

Tatuś był także lekarzem-pasjonatem, jak ja do dzisiaj.

Mój płacz, złość, rozczarowanie przenikały pokój tak wymownie, że natychmiast zostałeś zaszyty przez „tate-chirurga”, jak prawdziwy pacjent podczas operacji.

Ta „nicość” Twoich trzewi, to traumatyczne wydarzenie na pewno zostawiło ślad w dziecięcej duszy.

Niestety, nie pamiętam Twoich dalszych losów, ale to, że pozostałeś w mojej pamięci, mówi wiele. PRZEPRASZAM CIĘ, PIMPUSIU. WYBACZ!

„Każda Istota żyje tak długo, dopóki pozostaje w naszej pamięci”.

Kochająca Cię Ewa

Maja Garczyńska

Kubuś!

Nie piszę „drogi” czy „kochany” Kubusiu. Wiem, że nie oczekujesz tego ode mnie. Wiem też, że na pewno masz do mnie żal. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, aż do dziś. Jak sobie przypominam nasze wspólne lata, to myślę, że z pewnością nie były one dla Ciebie łatwe. Właściwie to nie bawiłam się z Tobą. Byłeś prawie zawsze chory, leżałeś w szpitalu albo dochodziłeś do siebie. Nawet to nie była moja opieka nad Tobą, ja chciałam Ciebie leczyć. Robiłam Ci zastrzyki, owijałam gardło, kładłam do łóżeczka i koniec. Bez czułości, spacerów. Moje suche zabiegi medyczne mogły być dla Ciebie okrutne. Mogłeś się nawet mnie bać. Podchodziłam ze strzykawką, robiłam zastrzyk i kazałam leżeć. Gdy już byłeś cały przemoczony i Twoje pluszowe futerko zmieniało kolor, miałeś trochę wytchnienia. A pamiętasz, jak byłeś kiedyś już tak mokry, że mama powiedziała, abys poleżał parę dni na balkonie, bo spleśniejesz – wyniosłam Cię wtedy na słońce. Było mi Cię szkoda, ale nie dlatego, że cierpisz albo że jest ci przykro, tylko dlatego, że bardzo się podniszczyłeś. Dałam Ci odpocząć.

Zostałeś na balkonie na noc. Przyszła burza z ulewą i Ty, zamiast nabrać formy, to całkowicie oklapłeś. Twoje trociny napęcznieły, straciłeś kształt i zacząłeś cuchnąć. To już był koniec. Mama zdecydowała, że muszę Cię wyrzucić i że kupi mi nową zabawkę, może lalę? To musiało być dla Ciebie straszne. Teraz mogę sobie wyobrazić, co czułeś, jak bardzo musiałeś mnie nienawidzić. Wcale Ci się nie dziwię. Na swoje usprawiedliwienie muszę dodać – aby zminimalizować swoje okrucieństwo – że to wszystko było dla dobra nauki. Pamiętasz, jak miałam anginy dwa razy w roku i dostawałam penicylinę w zastrzykach? To mi pomagało, Tobie też powinno pomóc. Wyobrażałam sobie, że jestem lekarzem, a Ty moim pacjentem. A że na Tobie uczyłam się robić zastrzyki, to też dla dobra nauki.

Musisz mnie zrozumieć i wybaczyć nawet, jak ci powiem, że nie poszłam na medycynę i nie zostałam lekarzem.

Nie myśl o mnie źle, kochany Kubusiu. Byłeś mi potrzebny i to jest najważniejsze.

Maja

Irena Gójska

Urokliwy króliczku!

Nie byłeś zabawką tamtego czasu, bo wojna to największa trauma ludzkości pozabawiająca normalności. To wynik zbrodniczych aspiracji władców świata, ich zachłanności i brutalności poczynań. Była wiosna 1943 roku, miałam trzy latka, gdy nocą zerwani ze snu musieliśmy z rodzicami i rocznym braciszkiem w pośpiechu opuścić rodzinny dom mojej mamy. Powodem tej decyzji była sekretna wiadomość o jutrzejszym obowiązkowym stawiennictwie tatusia na przymusowy wywóz na roboty do Guberni. Nakaz chwili i czasu zobowiązywał rodziców do zabrania kilku podstawowych rzeczy, aby w nocnej osłonie, dzięki pomocy zaprzyjaźnionego z dziadkiem sąsiada, umknąć jak najdalej. Świtem dotarliśmy do samotnej już wówczas i schorowanej mamy taty, mieszkającej na skraju odległej niewielkiej wsi. Ta ucieczka nie uchroniła tatusia przed wywozem do Niemiec. Została mamusia z dwójką małych dzieci i chorą teściową w dwuizbowej chacie bez środków do życia. Jedyny dobytek to szopka z kilkoma kurami i cztery króliki, w tym dwa maluchy. To wówczas był dom smutku, łez i bezradności. Babcia już nie nadawała się do przemieszczania gdziekolwiek. Dzięki wspomaganiu nas przez dziadków ze strony mamy umęczona mamusia jakoś sobie radziła...

Ja musiałam zajmować się braciszkiem. Nie było żadnych zabawek, a że byłam ponoć straszną gadułą, to ciągle coś tam plotłam lub zbierałam polne kwiaty i robiłam z nich bukieciki, obdarowując mamę i babcię. Czasem zamiast kredek kwiatami układałam różne formy. Terenem moich spacerów z bratem w wózku były polne ścieżki lub nasz warzywniczek. Moją uwagę zaskarbił wyjątkowo mało płochliwy, szarawo-biały jeden z młodszych króliczków. Spryciarz, bo zawsze był pierwszy w wykopywaniu marchewki. Czasem, wspierając się na łapkach przy płocie oddzielającym domek od warzywnika, udawał, że słucha mojej gadaniny.

Ta przyjaźń trwała do początku zimy. Nagle okazało się, że zaczęło ubywać królików. Byłam zaskoczona i zmartwiona, bo straciłam słuchacza moich opowieści. Mamusia coś tam mętnie tłumaczyła lub mnie zbywała, abym bardziej zajmowała się bratem. Wiosną 1944 r. odwiedzili nas dziadkowie i wtedy dziadek wytłumaczył mi powód znikania królików. Byłam zrozpaczona i oburzona. Dłu-

go płakałam i od tamtej pory do ust nie wzięłam potraw mięsnych ze zwierząt podobnych do królików.

Ty, wojenny króliczku, byłeś w mojej dziecięcej pamięci najcudowniejszym słuchaczem moich tęsknot i marzeń. Mimo traumy po Twoim zniknięciu stałeś się moją niby wojenną zabawką. Dlatego to wspomnienie Tobie, szaro-biały przyjacielu poświęcam, bo byłeś wyjątkowym stworzeniem.

Irena

Maria Halinowska-Hensel

Droga Joasiu!

Zobaczyłam Cię po raz pierwszy 6 grudnia rano, wiele, wiele lat temu. Nie dostrzegłam jednak od razu Twojej urody i wdzięku, ponieważ prezent mojej młodszej siostry wydał mi się bardziej ekscytujący. Cóż, jakaś banalna zwykła lalka przy małpce, która po pokręceniu kluczykiem uderzała w czynele, odgrywając głośną melodię!

Dopiero gdy mój wzrok zmałpiony zazdrością przeniosłam na Ciebie, czekając cierpliwie na odrobinę uwagi, ujrzałam Twoje niebieskie oczy pod długimi rzęsami, miękkie, smukłe, gumowe kończyny i ciemne loki. Cóż, w tym czasie wołałam zdecydowanie blondynki! Dostrzegłam Twoją urodę, ale nieraz odczułam mój nieudolnie skrywany żal, że nie jesteś misiem grającym na skrzypcach, osiołkiem śpiewającym kołysankę lub choćby małą nakręcaną żabką. Wszystko wydawało mi się lepsze od ładnej, ale banalnej lalki.

Jednak zaraz otrzymałaś imię Joanna i stałaś się moją towarzyszką i powierniczką. Nie było to łatwe zadanie. Musiałaś słuchać moich przydługich baśni, opowiadanych godzinami przed snem i, co najgorsze, znosić moje humory.

Czy mogłaś zapomnieć, jak rodzice wyrzucili mnie z pokoju po zapowiedzi spikerki, że nadchodzący film jest dozwolony od lat 16? Moje rozczarowanie wyładowałam zaraz w dziecinny pokój, drąc ze złości Twoją sukienkę. Albo jak rzuciłam Tobą w moją młodszą siostrzyczkę, która, nudząc się, przeszkadzała mi w czytaniu. Jeśli nie odczuwałaś fizycznie każdego mojego niepowodzenia czy złości, to przynajmniej musiałaś wysłuchiwać mojego wyżałania i płaczu.

Tak mijały nam wspólnie lata mojego dzieciństwa, aż przyszedł czas rozstania, bo duże dziewczynki nie mogą już bawić się lalkami. I nadszedł czas wielkiej tęsknoty. Puste miejsce po Tobie na krześle i w łóżeczku bolało jak skaleczone w zabawie kolana. Już nie mogłam nikomu powierzyć najskrytszych tajemnic, nikomu opowiedzieć o smutkach i podzielić się radością. Za późno zaczęłam do-

ceniać Twoją obecność i żałować, że nie obchodziłam się z Tobą lepiej, tak jak powinnam była traktować najwierniejszą przyjaciółkę.

Choć nie wiem, czy możesz mnie gdzieś usłyszeć, proszę Cię o wybaczenie.

Powiedz, droga Joasiu, czy spóźniona miłość może być całkiem daremna?

Maryla

Teresa Dźwigałowska

Drogi Puszkule!

Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale sądzę, że tak. Byłam Twoją pierwszą przyjaciółką, zapoznaliśmy się w Boże Narodzenie, ja miałam trzy lata, a Ty zero, to były Twoje narodziny. Byłeś taki miękki, puszysty i dlatego nazwałam Cię Puszkulem. Rozmawialiśmy najwięcej w sypialni, bo nie miałam własnego pokoju, a Twoje posłanie było pod łóżkiem. Tak myślę, że ostatni kontakt z Tobą miałam w 1961 roku, skończyłam wtedy 14 lat i wyruszyłam w świat zdobywać wiedzę. Zamieszkałam z koleżankami w internacie w pięcioosobowym pokoju. Musiałyśmy same dbać o porządek. Miałam tylko szafkę nocną i półkę na książki. Nie mogłam Cię zabrać. Zresztą nie będę oszukiwać, wówczas czułam się bardzo dorosła, obciąłam nawet warkocze, więc jak miałam rozmawiać i przytulać się do MISIA? Nawet gdy zapadała cisza nocna, rozmawiałyśmy z koleżankami, każda miała coś do opowiedzenia. Trochę tęskniłam, ale przyznam się, że szybko zapomniałam o Tobie. Gdy przyjeżdżałam do domu raz w miesiącu lub na święta czy wakacje, już Cię nie przytulałam, bo stałeś się zabawką moich siostrzenic, które mieszkaly w naszym rodzinnym domu. Nie nudziłeś się, nie musiałam Cię zabawiać rozmowami, miałeś wkoło wielbicielki. Na pewno nie było Ci łatwo, bo stałeś się nie tylko zabawką nocną, ale i dzienną. Jedno wiem – na pewno wszyscy Cię kochali, przytulali i każdy chciał z Tobą spać. Byłeś dalej miły i miękki, a gdy zrobiła się jakaś dziurka, moje starsze siostry łątały ją, aby nie sypały się trociny. Miałeś wiele ubrań, sama lubiłam robić na drutach czy szydełku sweterki, porteczki, takie z wełny, kolorowe.

Będąc w szkole poznałam fajnego chłopaka, do którego bardzo lubiłam się przytulać, o Tobie nawet nie wspominałam. Po skończeniu szkoły stał się moim mężem, następnie urodziłam córkę, za rok drugą, a później syna. Miałam kogo kochać, przytulać, komu szyć sukieneczki, robić sweterki. Pamiętałam, że moją ukochaną zabawką był Misiu, dlatego pierwszą zabawką ode mnie dla moich dzieci były właśnie misie. Teraz przypomniała mi się historyjka z Misiem mojej córki Alicji. Może nie świadczy o mnie dobrze, brak mi było rozsądku, uczucia. Robiłam porządku w pokoju moich córek, w porównaniu ze mną miały mnóstwo

różnych zabawek. Od czasu do czasu robiłam więc przegląd i wyrzucałam. Po przyjeździe ze szkoły córka woła: – Mamusiu, a gdzie mój MIŚKO? – W śmietniku – odpowiadam – nie miał jednej ręki, więc wyrzuciłam. Córka zaczęła rozpaczć i mówi: – To jakbym ja straciła rękę, też byś mnie wyrzuciła? Zrobiło mi się głupio i szkoda dziecka. Pobiegłam do śmietnika i przyniosłam miśka. Wtedy pomyślałam o Tobie i nawet nasunęła mi się refleksja, że takiego miłego, kochanego PUSZKA zastąpił mi mąż. Mogę do niego mówić, on słuchał, nie sprzeciwiał się, tylko nic nie robił w tym kierunku, aby coś zmienić; co zaplanował, to zrobił i też się lubił zawieruszyć. Nie buntowałam się, bo przecież mogłam się przytulić, pogadać... Może relacje z Tobą nauczyły mnie tej pokory i kompromisów.

Tak trwało przez 50 lat. Przykro mi dziś, że nie byłeś mi potrzebny, nie tęskniłam i nie interesowałam się Twoim losem. Jednak gdy mój MISIU zawieruszył się naprawdę i nie mogę go nawet szukać, postanowiłam Ciebie odnaleźć. Myślałam, że Cię odszukam przez PCK, bo zginąłeś mi 60 lat temu. Ale niestety działalność PCK wynika z Konwencji Genewskich o ochronie ofiar wojennych, a Ty nie zginąłeś podczas wojny, wojny nie było. Znalazłam w Internecie informację, że jeśli ktoś zginie, to może pomóc Fundacja ITAKA, to jest Centrum Poszukiwań Ludzi Zaginionych. Ale PUSZEK to przecież nie człowiek.

W starszym wieku wspomnienia powracają, serce jest to samo, nie lubi samotności. Puszkę, gdybyś był ze mną, nie mówiłabym sama do siebie, ostatnio zauważyłam, że głośno wydaję sobie polecenia, pochwały albo ostre słowa krytyki. Coraz częściej czegoś zapominam i należy mi się bura. Tyle lat żyłam bez Ciebie, a teraz mi się przypomniałeś i pragnę Cię odnaleźć. Daj znać, jeśli dotrze ten list do Ciebie, może mi wybaczysz i znów się pokochamy.

Teresa

Bogdan Banaś

Droga Piłko!

Gdy pojawiłaś się w naszym domu, chyba jeszcze nie chodziliśmy do szkoły, prawdopodobnie był to rok przed pójściem do 1. klasy. Przywiozła was, czyli Ciebie i futbolówkę, ciocia, kiedy przyjechała jak zwykle na wakacje. Miałyście trochę szczęścia, kiedy front wojny przechodził na zachód. Futbolówka schowała się w piwnicy w kartonie i żołnierze jej nie znaleźli. A Ty, mała piłko tenisowa, idealna też do gry w palanta, leżałaś zapomniana pod ciężkim niemieckim łóżkiem. Dlatego ciocia zainteresowała się Wami i abyście się nie nudziły, przywiozła Was do nas.

Bardziej pamiętam Ciebie, nie byłaś zwykłą piłką gumówką, czy, jak koledzy mówili, kauczukową – miałaś takie lekkie włochate, żółte, a może seledynowe ubranko, a w nim wyżłobione dwie dekoracyjne ścieżki. Nie wiem, czy teraz piłki tenisowe też tak wyglądają. Dla nas byłaś miła w dotyku, choć wszyscy mówili, że jesteś za szorstka, nie taka jak „pluszaki”. Nie przeszkadzało nam to (bratu i mnie), najważniejsze, że byłaś nasza. Oczywiście, że chwaliliśmy się Tobą przed kolegami. A w domu wieczorem przesuwaliśmy sobie Ciebie pod poduszką. Jeśli wieczorem znajdowałaś się pod poduszką brata, to rano byłaś pod moją głową. Czasami starszy brat podkrażał nam Ciebie i gdzieś chował. Bywało, że cały dzień nie mogliśmy Cię znaleźć, aż w końcu znajdowaliśmy w pokrzywach albo w krzakach dzikiej róży. To miały być dowcipy, dziś myślę, że robił to z zazdrości. Teraz oceniam, że nasza piłeczka zachowywała się wtedy jak małe dziecko, czyli tak jak my, ale niezupełnie, bo znacznie lepiej od nas podskakiwała.

Czy pamiętasz, jak wyglądało tamto podwórko, stopy desek na rusztowania, przemyślnie poukładane cegły, pryzmy żwiru i piasku wiślanego, bogactwo zakamarków. A murarz straszył nas, mówiąc, że jeśli ta piękna piłeczka wpadnie do dołu z wapnem, który był tuż za płotem, to wapno ją pożre bez śladu, a jak wpadnie do kasty z zaprawą do produkcji pustaków, to zniknie w ścianie budynku gospodarczego. Oczywiście, że na wapno uważać trzeba było, ale na pustaki nie daliśmy się nabrać. Sprawdziliśmy, że byłaś grubsza niż ich ścianki i w żadnej formie byś się nie zmieściła. Na dużym, bogatym w kryjówki podwórku czyhały niespodzianki. Pamiętasz, jak kiedyś w sadzie, z okrzykiem „mam cię!” chwyciłem moją kolorową piłkę wraz z dojrzałą gruszką, do której się przytuliłaś. Nie podejrzewałem, że osłaniałaś żerującą na słodkiej gruszcze grupę os. Szybko wyciąłem plastry ze świeżej cebuli, pomogły mi na ukąszenia. Podobnie bywało, jak bawiliśmy się z Tobą między ulami pszczoł. One nie lubiły hałasów i podchodzących za blisko intruzów.

Po trzech latach brat wyjechał do szkoły na Dolny Śląsk i zabrał futbolówkę ze sobą, w domu oczywiście należała do niego, choć niezbyt się nią interesował. Może dlatego aby pokazać nam, że jest już dorosły i ma inne hobby. Dlatego często pożyczaliśmy sobie jego piłkę. Po wyjeździe brakowało nam jej, bo z kolegami nie mieliśmy co kopać podczas przerw między lekcjami. Zanim to nastąpiło, zdołałyście obie wybić kilka szyb, w tym jedną w szkole. Jak pamiętasz, mniejsze szyby były bardziej odporne na wybicie. Nauczyliśmy się grać uważnie, bo za każdą stłuczkę za karę musieliśmy wykonać jakąś zadaną pożyteczną pracę np. zbieranie jabłek „spadów” w sadzie czy prace porządkowe przy budowanym domu.

Pozostałaś nam tylko Ty. Dziwne, ale wtedy nie interesowały mnie i nie tylko mnie kolorowe, błyszczące pistolety na kapiszony, które otrzymywaliśmy w prezencie. Traktowałem je jak mało warte błyskotki, nie umywały się do piłek.

Nie pamiętam, co stało się z Tobą po moim wyjeździe do szkoły. Kiedy przyjeżdżałem na wakacje, jeszcze czasami grywaliśmy z bratem i z Tobą. Potem, choć już nieco podniszczona, służyłaś następnemu pokoleniu – dzieciom brata, wtedy jednak już czasy były inne, miałas większą konkurencję wśród zabawek i nie dbano tak bardzo o Ciebie. Zmieniało się podwórko i otoczenie. Pojawiły się oleje samochodowe. Bywałaś niesamowicie brudna i nie zawsze miał kto Cię umyć... A potem na kilka lat zniknęłaś. Wszyscy uznali Cię za zaginioną, aż do porządkowania strychu. Teraz tam jest jeszcze inaczej, znów inne podwórko... Niby ten sam warsztat, lecz jakiś inny, czysty, bez olejów. Są, ale tam, gdzie powinny być, na półkach. Skacząc po podłodze, trudno jest Ci się ubrudzić, a gdy już to nastąpi, w pobliżu czekają odpowiednie preparaty, więc plamy na Twoim ubranku szybko znikną. Tak samo jak dawniej jest duża kolejka czekających na naprawę motocykli, quadów i, rzadko, łodzi motorowych... Wnuczek mojego brata zabiera Cię zawsze, droga Piłeczko, na coroczne jesienne rajdy – „na quadach po bezdrożach”. I zazwyczaj przynosisz mu szczęście. Teraz masz powody być szczęśliwa i dumna. Zostałaś maskotką już trzeciego pokolenia.

Bogdan

Aleksandra Wrzos

Tosiu!

Musiałaś mi towarzyszyć w pierwszych czterech latach mojego życia. Dowodem na to jest jedyne zdjęcie sprzed siedemdziesięciu lat, na którym to stoję naburmuszona, z drewnianym, masywnym wózekiem i Tobą w nim. Twoja główka smętnie opiera się o wysoką, boczną ściankę pojazdu. Nie gniewaj się, proszę. Ta moja mgła niepamięci ma obecnie uzasadnienie i swoją naukową nazwę. To dziecięca amnezja. Dotyka ona większość dzieci do około czwartego roku życia. Także i mnie nie ominęła. Tak więc nie pamiętam, co się z Tobą stało. Mam nadzieję, że trafiłaś do innej dziewczynki, która wynagrodziła Ci być może niedostatek czułości i miłości pierwszej opiekunki.

Dlaczego pamiętam więc Twoje imię? Nie wiem. Ale patrząc czasami na to zdjęcie, o którym wspominam, zawsze tak Cię w myślach nazywałam. Dopiero późniejsze lata mojego dzieciństwa wyświetlają mi się często w głowie jak stop klatki niemego filmu. Przysięganie Elżuni, mieszkającej w domu obok, przyjaźni na zawsze, na wzór Ani z Zielonego Wzgórza. Rozczarowanie i łzy gdy dowiedziałam się o jej zdradzie, bo podobną przysięgę złożyła ona Uli z nieco dalszego od nas domu. Bieganie po opustoszałej ulicy małego miasteczka, w którym mieszkałam. Grę w klasy na ganku przed moim domem, wyłożonym gładki-

mi płytkami, najczęściej z Elżunią, dopóty dopóki mnie nie zawiodła. Zabawy w podchody, berka, grę w palanta czy dwa ognie. To wszystko na ulicy, bez dozoru dorosłych. Pamiętam do dzisiaj imiona i twarze moich kolegów i koleżanek. To oczywiście Krzysiu – mój brat bliźniak, Leszek, Jurek, Heniek, Marek, Krysia, Basia, Brygida, no i Elżunia. Może byłaś obserwatorką naszych beztrudnych zabaw, ciągle w tym samym wózek, ale z inną opiekunką? Nawet jeżeli nigdy Cię nie spostrzegłam? Bo kto wtedy z nas zwracał uwagę na małe dziewczynki z lalkami?

Tosiu, gdziekolwiek jesteś teraz, życzę Ci mnóstwo radości i przeświadczenia, że obecna Twoja opiekunka będzie z Tobą na zawsze.

Mocno Cię ściskam

Ola

Danuta Lesiów

Kochana moja Piłko!

Zapewne zdziwi Cię ta poufałość. Właściwie można powiedzieć, że słabo się znamy. To znaczy Ty znasz mnie słabo albo zupełnie nie pamiętasz. Ja jednak mam cichą nadzieję, że może jednak zapamiętałaś tę jasnowłosą dziewczynkę, która z nosem przy szybie wystawowej wpatrywała się w Ciebie wielokrotnie z miłością i pożądaniem. W jej dużych, niebieskich, rozmarzonych oczach widoczne było pragnienie zbliżenia się do Ciebie, lekkiego muśnięcia, pogłaskania, a może nawet czegoś więcej... Tak naprawdę pragnęła Cię mocno chwycić, ścisnąć, wziąć duży zamach i rzucić. Rzucić z całych sił. A potem obserwować, jak lecis, jak uderzasz w kogoś, w grze w zbijaka lub w dwa ognie, albo odbijasz się od ściany tak idealnie, że można Cię łatwo przeskoczyć i zostać królem albo królową. Nie, wtedy nie myśleliśmy, że ważne są formy męska i żeńska i trzeba na to zwracać uwagę. W grze był król, nawet jeśli tak naprawdę była to królowa.

Tak, kochana Piłko, byłaś moją miłością niespełnioną, a jak wiadomo, niespełniona miłość jest trwała, bo wyidealizowana. Moi rodzice uważali, że inne wydatki są pilniejsze, a bez piłki można żyć. Pewnie gdyby ulegli moim prośbom i naleganiom, ideał dawno „sięgnąłby bruku”. Pewnie szybko okazałoby się, że jesteś zwykłym kawałkiem szarawej gumy o kształcie piłki, że nie jesteś zbyt miła w dotyku, za mała lub za duża oraz że łatwo Cię przebić, a wtedy nie byłoby z Ciebie żadnego pożytku. Dlatego pewnie tak teraz o tym myślę, dobrze się stało, że pozostałaś tylko niespełnionym marzeniem.

Zawsze o Tobie pamiętająca i na zawsze Twoja

Danka

 Ewa Alfut

Kochane Szkiełka!

Do napisania listu do Was, tak niegdyś ważnych, choć paradoksalnie, wydawałoby się nieważnych i niepozornych, bo cóż po szkiełku, które jest częścią czegoś, czego już nie ma, niepotrzebną skorupą, jakby niektórzy powiedzieli; a więc do napisania listu do Was zainspirowała mnie rozmowa z wnuczkami.

Gdy znajdowałyśmy się na placu zabaw, zachęcałam je do zagrania „w chłopa”, który był wyrysowany na sztucznej nawierzchni. „W klasy” – poprawiła mnie starsza wnuczka i tak przez moment przekomarzałyśmy się, bo ja wiedziałam, że klasy to klasy (duży prostokąt podzielony na sześć kwadratów), a chłop to chłop (ma jeszcze głowę i ręce, chociaż zasady gry są podobne). W końcu dałam za wygraną i obserwowałam dzieci bawiące się na placu zabaw, w tym moje wnuczki.

Jak zwykle przy takich okazjach (choć bez bólu i niepotrzebnego „grzebania się w sobie”) pomyślałam mało odkrywczo, jak szybko przeminęło życie. Zobaczyłam siebie na szkolnym czy też Dziadkowym podwórku, w gronie koleżanek, gdzie właśnie trwała gra w klasy. Nikt nam nie zapewnił równo wyrysowanych, gotowych linii, brało się kawałek patyka i rysowało kontury klas. A potem rzucało kawałek szkiełka i należało tak je przekopać przez linię, by nie zaliczyć „skuchy” i przejść do następnej klasy (następnego pola). Poza sprawnością fizyczną, najważniejszą w grze, ważne było szkiełko, którym się rzucało. Im bardziej kolorowe, ciekawsze, tym cenniejsza i tym samym bardziej licząca się była właścicielka takiego egzemplarza.

Szkiełka moje kolorowe, dziś już nikt Was nie zbiera ot tak po prostu, bo, jak wspomniałam wyżej, po cóż komuś kawałek filiżanki czy talerza, gdy w sklepach aż roi się od przesłicznych wzorów i fasonów. Widzę siebie, jak z koleżanką czy też kilkoma chodzimy do miejsc, gdzie zagrzebane w ziemi, wyrzucone na śmietnik, leżały czarowne kawałki innego świata. Wcale niełatwo było znaleźć ciekawy okaz, bo i czasy były szare i zgrzebne, a do mojego miasteczka „cywilizacja” przybywała nieco wolniej niż do dużego miasta.

Wygrzebywałyśmy kawałki szczęścia, skrupulatnie oczyszczały z ziemi czy też piachu, wkładały do przezroczystego dużego słoika i cieszyły oczy, potrząsając od czasu do czasu delikatnie naczyniem. Jakąż radością było, gdy znalazło się szkiełko z ciekawym wzorem np. kwiatowym. Takich okaz krążył z rąk do rąk, oglądany zazdrośnie przez rywalki w zbieractwie. Nie zawsze szkiełka wykorzystywało się do gry w klasy. Przyjemnością było posiadanie takiego zaczarowanego słoika, oglądanie, mycie tych skorupiek. Często dochodziło także do wymiany, co samo w sobie było bardzo ekscytujące.

Szkiełka moje kolorowe, byłyście także przedsionkiem do świata znanego głównie z opowieści czytanych w książkach, później oglądanych w telewizji. Z Wami bywało się na przyjęciach w domach, gdzie pijało się herbatę z delikatnych filiżanek, lejąc ją z pięknego dzbanka, którego kawałkiem było posiadane szkiełko.

Opowiadałam o Was wnuczce i widzę w jej oczach niedowierzenie, zdziwienie, bo ona rozumie, że zbiera się różne rzeczy, czasem najdziwniejsze, ale żeby szkiełka były ulubioną zabawką, czy też jedną z ulubionych, to już jest niewiarygodne, babci chyba coś się pokręciło! Gdybyż to jeszcze były szkiełka witrażowe, ale kawałki kubków, filiżanek, talerzy, w to raczej trudno uwierzyć.

Kochane moje nieliczne zabawki z dzieciństwa, wszystkie przynosiłyście tyle radości. I ty, Piłko do ulubionej gry w dwa ognie, zbijanego, kartofla, i ty, Skankanko, przez którą lekko i sprężysto zaliczało się kolejne stopnie trudności, i ty, Rowerze, ukochany do dziś, gdy idąc z wiatrem w zawody, pędziło się przez polne dróżki i łączyny, i Laleczko-Nagusku, dla której szyła ubranka i urządziłam domek w pudełku po butach... Czas przykrył Was lekko kurzem minionych lat, ale życie we wspomnieniach i na pożółkłych kartach pamiętników.

I przede wszystkim Wy, niepozorne Szkiełka, które nie mieście się w kategoriach zabawek, a przecież byłyście takimi i Wam zawdzięczam tyle pięknych chwil i tyle pięknych wspomnień.

Choć w wirze dorastania, przeprowadzek, życiowych zakrętów nie pomyślałam o zachowaniu jakiegos z Was w kolekcji pamiątek, przywołuję Was i utrwalam w pamięci w słowach mego listu.

Dziękuję za wszystkie piękne chwile z bezgrzesznych lat dzieciństwa i za tę wyściełaną bibułą szufladkę w pamięci, w której i dla Was znalazło się poczesne miejsce.

Dawna i obecna Ja-Ewa

Sprzedawcą być, ale czego?

mgr Magda Wieteska

Co chciałbyś sprzedawać i dlaczego? Z takim wyzwaniem zmierzali się uczestnicy zajęć dziennikarsko-literackich. To zadanie niełatwe – trzeba odkryć rynkową niszę, zadbać o właściwą promocję, zareklamować towar... Okazało się, że choć wielu z nas nie czuje się komfortowo w roli właścicieli sklepów, są takie produkty, które z radością chcielibyśmy ofiarować innym.

Ewa Konigsman

Optymistyczna księgarnia – „Ku pokrzepieniu serc”

Książka powinna uczyć nas, jak cieszyć się życiem lub jak je znosić

Samuel Johnson

Marzę o utworzeniu niezwyklej i unikatowej księgarni. W wyobraźni widzę przestronne pomieszczenie, w kolorowych barwach, z rzędami pięknych drewnianych półek, wypełnionych wspaniałymi książkami. To, co najważniejsze, to odpowiednio dobrana literatura. W sprzedaży będą wyłącznie takie książki, których treści ukazują pogodny obraz życia, gdyż tylko na podstawie argumentów zawartych na kartkach optymistycznej powieści czytelnik przekona się, że takie tematy bardzo pomagają w trudnych chwilach.

Obecnie pozytywnych powieści o pogodnej tematyce jest wiele, toteż wybór odpowiedniej lektury nie powinien stanowić problemu dla kupującego. W optymistycznej księgarni nie będzie powieści o tematach brutalnych, horrorów, czy przerażających kryminałów. Mam nadzieję, że moja optymistyczna księgarnia znajdzie wielu zwolenników, szczególnie wśród osób samotnych, starszych, borykających się z różnymi problemami. Pozytywna lektura kłopotów nie rozwiąże, ale na pewno pozytywnie wpłynie na poprawę nastroju i chwilowe oderwanie się od przygnębienia.

Kochajcie optymistyczne książki. One ułatwią wam życie, po przyjacielsku pomogą zorientować się w pstrej i burzliwej gmatwaninie myśli, uczuć i zdarzeń. One nauczą was szanować człowieka i samych siebie. One uskrzydlą rozum i serce uczuciem miłości dla świata i dla człowieka – Maksym Gorki.

Ewa Śnigór

Klub śmiechoterapii

SPRZEDAŻ – to nic więcej, jak generowanie szans, podejmowanie aktywności różnego rodzaju, które mają doprowadzić do tego, że w swoim lejkę sprzedażowym znajdzie się jak najwięcej!

Mój lejek sprzedażowy finalnie jest zerowy. Nie jest to kokieteria z mojej strony, tylko szczerza prawda. Nigdy w życiu niczego nie sprzedałam, bo nie umiem, ale bardziej nie chciałam i nie chcę. Wiele dóbr materialnych po prostu oddaję

gratis znajomym i nieznanym. I wiecie co? – zawsze sprawiało mi to przyjemność.

Pomimo niesprawiedliwych stereotypów krążących o jedynakach, bardzo lubię się dzielić. Najzabawniejszą kreacją było powołanie mnie na konsultantkę Oriflame, pomimo mojej ułomności do zawierania umów sprzedaży i czerpania z nich gratyfikacji. Chciałam nawet spróbować, ot tak, żeby się przełamać. Ale nic z tego! Nigdy nie wzięłam grosza poza ceną katalogową, czyli oprócz narzucenia sobie dodatkowych czynności związanych z transakcją – nic nie zarabiałam! Gapa do szczęścia!

Ale od czego mamy głowę? Pomyślałam i... EUREKA! Jest taka czynność, w której czuję się znakomicie, poddaję jej się, odkąd tylko pamiętam i inni to także dostrzegają. Jeżeli tę czynność mogę zaliczyć do formy sprzedaży – SPRZEDAJĘ UŚMIECH I ŻYCZLIWOŚĆ.

Jestem empatyczna, koleżeńska i przyjacielska. Tego typu działanie jest dla mnie. Poprawiam ludziom humor, dostarczam radości, kilogramy dobrego nastroju, bo uśmiech i życzliwość są potęgą od wieków!

To uwolnienie endorfin, łagodzenie bólu, stresu, obniżenie ciśnienia krwi, wzmocnienie układu odpornościowego, spalanie kalorii i pomoc w odniesieniu sukcesu.

Dzieci wg badań śmieją się 400 razy w ciągu dnia. My, dorośli, tylko 15 razy!

Dlatego więc, zapoznawszy się z historią życia Normana Cousinsa, który w połowie lat 60-tych zachorował na chroniczną chorobę kręgosłupa i udowodnił, że uśmiech działa pobudzająco i czyni cuda, chcę żyć z uśmiechem na ustach. Gdy był niemal całkowicie sparaliżowany, zdecydował się opuścić szpital. Wyrzucił lekarstwa i otoczył się tylko tym, co pobudzało go do śmiechu. Myślał tylko pozytywnie, oglądał filmy „Flip i Flap”, cieszył się komiksami etc. Żył 26 lat dłużej, aniżeli przewidzieli to lekarze.

Moja kwintesencja w szóstej dekadzie życia brzmi: **#Zakładam Klub Śmiechoterapii.**

Aby utrzymać przedsięwzięcie będę zmuszona sprzedawać wejściówki, w imię dobra społeczeństwa. Bo... *nic co nosisz, nie jest ważniejsze niż twój uśmiech* (Connie Stevens).

 Ewa Alfut

Sprzedawca słonecznych promyczków

Za niezbyt wysokimi górami, za pięknym, zimnym morzem jest kraj, gdzie wiele szarych pochmurnych dni, wiosna przychodzi późno, lato spieszy się bardzo, gości krótko i na swoich złotych nogach szybko ucieka z ponurego kraju.

Po ulicach, często zaśmieconych papierkami rzuconymi byle gdzie, resztkami papierosów, psimi kupami, jeżdżą zachłapane, zakurzone samochody, prowadzone przez zdenerwowanych, trąbiących na siebie kierowców, wygrażających pieszym wolno przechodzącym przez pasy.

Tramwaje, chodniki i inne miejsca wypełniają ludzie w ciemnych ubraniach, wiecznie gdzieś spieszący, nieuważnie prześlizgujący wzrokiem po podobnych do nich szarych osobnikach.

Jedynie dzieci rozjaśniają tę szarość swoimi kolorowymi ubrankami, radością na rumianych twarzyczkach, podskakującą w zabawnych plecaczkach i szczerzącą się szerokim uśmiechem na pyszczku pluszowego misia, przytulanego z miłością przez ciągniętych za rączki (przez ich zdenerwowane mamy) małych ludzików.

W ponurym kraju wstaje kolejny pochmurny dzień. Na jednym z osiedli przez zapłakaną szybę spogląda jeszcze nie do końca rozbudzona kobieta. Patrzy na zachłapaną świat, strząsa z siebie resztki snu, zbiera siły, by zacząć nowy dzień.

Po trawniku biega, szczekając głośno, pies sąsiada z dołu. Na parterze sąsiedniego bloku otwiera się okno i rozlega się wrzask stojącego w nim osiłka: „Panie, ucisz pan to bydłę, daj ludziom pospać”.

Zdenerwowany starszy pan, właściciel pieska, nieudolnie próbuje trzęsącymi się rękami zapiąć smycz. Zza rogu wychodzi dozorca, zaopatrzony w wiadro i szczotkę. Jego mina także nie nastraja optymistycznie...

A deszcz pada i pada.

Z bramy po kolei wyskakują skuleni ludzie, zakutani w płaszcze, ukryci pod parasolkami. Biegna do pracy, do szkoły. Nasza obserwatorka także znika, by zacząć kolejny dzień mocną kawą, która być może na chwilę przegoni apatię i zniechęcenie.

W tym samym czasie, gdzieś tam w przepastnych błękitach, ukrytych pod warstwą grubych, ciężkich od deszczu chmur, budzi się słońce. Przeciąga się w swej obłocznej pierzynie, podnosi głowę wspartą na złotym promieniu, przeczesuje zmierzwiłone złote włosy i rozgarnia grubaśne chmury, które wiernie strzegą wejścia do jego domostwa. Błękitnym okiem spogląda przez utworzoną dziurkę i jeden z jego promieni pada na okno, przez które przed chwilą patrzyła kobieta. W kropelkach deszczu spływających po szybach zatańczyły małe tęcze,

zatańczyły także w kałużach i w oczach ludzi. Niektórzy podnieśli głowy i życzliwiej spojrzeli na mijanych przechodniów, nawet piesek, radośnie merdając ogonkiem, posłusznie przybiegł do swojego pana. Miotła w ręce dozorca także nie przypomina już groźnej broni, a on sam uśmiecha się, co prawda pod nosem, do własnych myśli, a może do mijających go mieszkańców bloku.

„Ot, co może jeden promień słońca, w którym zawarte są uśmiech i radość. Gdyby tak móc sprzedawać, ba, nie sprzedawać, rozdawać słońce, rozdawać uśmiechy?” – myśli kobieta i postanawia zacząć od zaraz, konstatując, że to nie takie trudne.

Wychodzi z domu, nucąc pod nosem: „Rozdaję promyczki, słoneczne promyczki. W nich uśmiech i szczęście zamknięte są” i radośnie kłania się sąsiadowi i innym mijanym ludziom. Niektórzy spoglądają na nią niezbyt przyjaźnie, inni już leciutko się uśmiechają. Mówiąc sobie „kropla draży skalę”, wysyła kolejny promyczek do przechodzącej obok dziewczyny.

Słońce z góry spogląda zadowolone i rusza w swój codzienny taniec po niebie, wierząc, że w szarym dotychczas kraju ludzie będą nawzajem przekazywać sobie owe promyczki uśmiechu, by uczynić dni, na przekór pogodzie, radośniejszymi i szczęśliwszymi.

Wszak, jak powiedział ktoś mądry: „Uśmiech otwiera serce i wygładza duszę”.

Bogdan Banaś

Kit w promocji

Drogi Tadeuszu!

Nie mam dla Ciebie dobrych informacji. Nasz biznes plan był dobry, ale pojeżdżam, że szyki popsuła nam konkurencja. Jak pamiętasz, myśleliśmy wcześniej o „sprzedaży informacji”, miała to być taka nowa firma medialna. Ale nasz przyszły „hurtownik” musi się wstrzymać z otwarciem filii swojej firmy w Polsce. Najwcześniej udałoby się ruszyć około rok po wyborach.

Pieniądze potrzebne są nam już teraz, a to może zapewnić praca w platformie cyfrowej. Nasz nowy biznes plan wygląda całkiem rozsądnie. Będziemy prowadzić jeden z punktów sprzedaży platformy cyfrowej „Cytrynowa” i sprzedawać ich „produkty.” (Myślę, że słyszałeś o tej firmie). Byłem już na dwutygodniowym wstępnym szkoleniu – praktyce u nich i sadzę, że szczegółowe sprawozdanie rozwieje Twoje wątpliwości. Nieśmiało napomknę Ci, że premie, jakie dostaje się za „łapanie”, tzn. upolowanie nowych klientów i przekonywanie do naszych już ist-

niejących pakietów, to będzie dla nas bardzo opłacalny interes do czasu zdobycia funduszy na zamierzony pierwotnie salon medialny.

Jestem już po pierwszym etapie wirtualnego szkolenia w „Cytrynowej”. Poznawałem tajniki sztuki rozmowy sprzedawców z klientami. Przez kilka godzin oglądaliśmy zapis monitoringu – praca sprzedawcy umów. Dowiedzieliśmy się, jak należy rozmawiać z klientem przedłużającym umowę na dalsze 2 lata na pakiet usług o nazwie – „Ulubiony”. Pakiet obejmował korzystanie z: telewizji, Internetu i abonament na 2 telefony: komórka i stacjonarny. Pani petentka miała ok. 76 lat.

Oficjalna cena pakietu jest obecnie ok. 20 zł niższa (promocja), ale seniorom trzeba mówić, że: „Dla stałych klientów nic się nie zmieniło, a przecież wszystko drożeje. Ale firma dba o nich i nie podnosi ceny”. I zaraz po tym oferujemy klientowi w promocyjnej cenie nowy smartfon tylko za 4–5 złotych miesięcznie, czyli można policzyć, ile to w sumie będzie, przez 24 miesiące wyjdzie około 100 złotych za nową komórkę. Chociaż obsługiwana pani ma stosunkowo nowego smartfona, to sugerowana cena jest bardzo atrakcyjna i przecież można tę dodatkową komórkę dać komuś z rodziny na prezent. Jeśliby w ogóle nie chciała jej kupić, to sprzedawca bardzo chętnie ją za tę cenę odkupi. Pani musi się tylko formalnie zgodzić. Niestety, pani chce odłożyć podpisanie umowy na następny dzień, aby się zastanowić, ale sprzedawca pokazuje jej ten model podświetlony na wystawie – widać cenę ok. tysiąca złotych (w starej cenie) i mówi: A pozostały tylko trzy sztuki, do wieczora mogą zostać sprzedane. Pani decyduje się szybko na zakup i podpisanie umowy. Zresztą umowa była przygotowana już wcześniej. Teraz tylko szybko się uzupełnia szczegóły.

Wiesz, Tadzik, jak to wygląda? Na połowie stolika stała szklana pionowa tafla z półkolistym wycięciem, jak przy okienku kasowym. Pracownik skierował ekran tabletu na szybę, aby klientka mogła czytać treść umowy. Przesuwał zaś tekst w takim tempie, żeby ponad 70-letni senior mógł przeczytać ze zrozumieniem tylko niektóre zdania, a resztę tylko przewertował. Potem sprzedawca wysunął ekran tabletu przez okienko kasowe, aby petentka mogła podpisać umowę elektronicznie na tablecie. Taka procedura dotyczyła seniorów i seniorów około siedemdziesiątki i starszych. Potem oglądałem, jak to wygląda, jeśli interesantem jest osoba w średnim wieku lub młodsza, która mogłaby się nie dać tak łatwo omamić. Wtedy pracownik przyjmuje ją z prawej strony biurka, gdzie nie ma już odgradzającej szklanej tafli. Petent może czytać spokojnie tekst umowy i zastanowić się, a pracownik wychodzi na zaplecze. Po około 15 minutach, kilku pytaniach i wyjaśnieniach – petent podpisuje.

Ciekawa jest kwestia dostępności regulaminów umów przed ich podpisaniem. Pamiętasz pewnie, jak wyglądało podpisywanie umów w nieistniejącym już banku obok Ciebie, a myślę, że w wielu innych było podobnie. Pamiętasz, co

mówiła wtedy panienka w banku? Że bankowe procedury nie pozwalają udostępniać klientom takich regulaminów przed podpisaniem umowy np. po to, aby wcześniej zapoznać się z nimi spokojnie w domu.

Ale wróć do przykładu naszej petentki z praktyki. Następnego dnia pojawiła się w punkcie, aby zmienić podpisaną umowę, dlatego że w domu ją dokładnie przeczytała, łącznie z tzw. „Podsumowaniem warunków umowy”.

Została bowiem wprowadzona w błąd, bo nie jest tak jak mówił sprzedawca, że nie zmieniła się cena abonamentu, podczas gdy w „Podsumowaniu warunków umowy” jest napisane (czarno na białym), że abonament wynosi 80 zł, a nie 100, jak informował ją urzędnik, natomiast rata miesięczna za komórkę nie wynosi 4 złote, jak mówił (kłamał) urzędnik, a około 25 złotych na miesiąc. Wiedząc o tym, nie zgodziłaby się na zakup niepotrzebnej komórki, tym bardziej, że odstąpienie lub odsprzedaż jej jest obarczona dodatkowymi warunkami! Poza tym, aby uzyskać obiecane rabaty petentka musi co miesiąc logować się do portalu „Moja Cytrynka”. Jak zapomni – przepada rabat na następny miesiąc. O takich pułapkach nie ma mowy w regulaminie! A korzysta firma.

Ta wypowiedź wywołała charakterystyczny uśmiech na twarzy urzędnika-sprzedawcy (musimy takie miny przećwiczyć), który ze spokojem odpowiedział, iż niemożliwa jest jakakolwiek zmiana umowy po jej podpisaniu, bo to gwarantują przepisy Ustawy Sejmowej i tu zacytował jej numer. Zerwanie zaś tejże umowy skutkuje karami umownymi. Pani petentka zjadliwie dodała: To dlatego pan mi z taką pewną siebie miną podał adres waszej centrali, zaraz po wprowadzeniu mnie w błąd. Ale ja tego tak nie zostawię – dopowiedziała. Dodała jeszcze, że nie chciał poprawić jej adresu mailowego w umowie, bo to niby jest długa procedura i robi to później, podczas gdy w innym punkcie firmy zrobili to jej w 20 sekund. I powiedziała, że w ciągu dwu dni wyśle skargę do centrali. Ta informacja też nie zakłóciła w żaden sposób spokoju pana urzędnika (też nauczymy się takiego spokoju).

Seniorka, jak obiecała, wysłała skargę do centrali platformy „Cytrynowa” w Warszawie, załączając kopię umowy i innych dokumentów. Mimo, że minęło prawie 10 miesięcy, dyrekcja firmy nie zareagowała na reklamację.

I to już powinien Cię przekonać, że wybór nasz, aby zatrudnić się w Platformie „Cytrynowa” jest ze wszech miar słuszny...

Pamiętasz, jak zawarliście umowę na dostawę programu tv z tamtą „matematyczną firmą”? I jak byliście zaskoczeni po otrzymaniu pierwszej faktury? Żadnych obiecanych promocji, żadnych obiecanych i zapisanych wcześniej zniżek za wiek. I co wam odpisano na waszą reklamację? Nie pamiętam szczegółów, ale w skrócie to oznaczało: „Widziały gały, co podpisywały!”

Nieźła była nasza odpowiedź wtedy, w galerii na Bielanych. W korytarzu rozkładali tam swój punkt (sprzedaży) zawierania umów. Jak doszliśmy do stolika

firmy, to przy dość dużej kolejce petentów pokazaliśmy wszystkim, jakie metody stosuje firma, aby naciągnąć klientów. Wcześniej oczywiście lekko unieśliśmy głos, aby cała kolejka mogła słyszeć naszą opowieść. Młody sprzedawca (pewnie student) szybko się poddał i wyjaśnił, że ich umowy o pracę są tak skonstruowane, że gdyby nie kłamali, to nic by nie zarobili.

Sam teraz widzisz, że to my się myliliśmy, martwiąc się kiedyś, przejmując się moralnością i tzw. wartościami, że niby nie należy kłamać, manipulować itp. Uchwalający ustawy nasi posłowie to przecież elita społeczeństwa i najlepiej wiedzą, jakie uchwalać prawo i komu ma ono służyć... Dlatego nie ma pojęcia „reklamacja” na stronach www głównych platform cyfrowych i nie tylko. I dlatego będziemy mogli więcej zarobić, sprzedając klientom umowy na nasze usługi i inne „cyfrowe produkty” w naszej nowej pracy.

A, jeszcze jedno. Pytałeś, jak nazwiemy naszą firmę. Wiesz, musimy tak jak główna firma, czyli „Cytrynowa Platforma”. Poprosiłem bratanka żony, aby wykorzystał najnowsze algorytmy sztucznej inteligencji (A.I) do wymyślenia najlepszego hasła dla naszej mini firmy, uwzględniając konkurencję. Będziemy więc mieć podświetloną reklamę: „U nas kupisz wszystkie produkty. Kit w promocji – od dziś”.

Napisz, co o tym myślisz.

Pozdrawiam Cię serdecznie

Wiktor

Maria Halinowska-Hensel

Wszystko na sprzedaż

Jakże trudno się zdecydować. Oferta jest praktycznie nieograniczona. Guziczki, pętelki, odkurzacze, telefony, ekspresy do kawy, środki na porost włosów, kremy przywracające młodość, pasy wyszczuplające, witaminy przedłużające życie, środki usuwające plamy, książki pouczające jak żyć i roboty czyniące to życie łatwym i przyjemnym.

A wszystko to trzeba upłynnić: zaoferować, pochwalić zalety i sprawić, żebyśmy nie mogli bez tego żyć lub przynajmniej, żeby brak tego sprawił, że nasze życie wyda się kiepskie i mizerne.

W naszym merkantylnym świecie sprzedać można niemal wszystko. Jest to jednak nie lada sztuka, wymagająca wiedzy z różnych dziedzin, z psychologią na czele.

Zapomnijmy w tym miejscu o paniach sprzedającym nam bułki i siedzących przy kasach supermarketów. Te są niezbędne, lecz jak wymienialne poznamy

po wysokości ich uposażenia. Prawdziwy sprzedawca musi być absolwentem specjalistycznych kursów. Nauczą go tam, jak rozpoznać potrzeby klienta, pokazać użyteczność produktu, stłumić wahanie, zbudować relację, która wzbudzi zaufanie. Dowie się też, jak długi ma być kontakt wzrokowy (2–5 sekund) i że strefa dystansu powinna wynosić minimum pół metra. Uśmiech, mowa ciała (koniecznie otwarta) są równie ważne. Tryb przypuszczający i spójnik „ale” zabronione. Niektórzy specjaliści określają nawet psychologiczny typ dobrego sprzedawcy. Powinien mieścić się gdzieś pomiędzy ekstrawertykiem i introwertykiem. Pierwszy swoją obcesowością może klienta onieśmielić. Drugi nie będzie dostatecznie energicznie zachwalać produktu i nie sprzeda nawet guzika.

Posiadając te i jeszcze sto innych kwalifikacji, można w poważnych i mniej poważnych firmach zarobić duże pieniądze. Najważniejsze jest bowiem pozbycie się tego, co wyprodukowano.

Nie mam wątpliwości, że zostanie sprzedawcą czegokolwiek nigdy nie było moim marzeniem. A jeśli by było nie miałyby szans na spełnienie.

Jednak w skrytości ducha pomyślałam o towarze aktualnie bardzo deficytowym. Gdyby nie było to jaskrawą sprzecznością, chciałabym sprzedawać bezinteresowność.

Może po jakiejś bardzo promocyjnej cenie i nie hurtem, tylko od czasu do czasu w bardzo małych dawkach. Na przykład 100 gramów uśmiechu do wiecznie skrzywionej ekspedientki, która mi nigdy tym samym nie odpowie. Albo 5 sztuk „Dzień dobry” do sąsiada, który, przechodząc, zawsze udaje, że mnie nie widzi.

Miałabym też w magazynie rzeczy trudno zbywalne. Na przykład empatię i zrozumienie dla pacjentów. Lekarze dostaliby w bardzo przystępnej cenie. A nawet banalne przeprowadzenie obładowanej staruszki przez ulicę, ale wtedy, gdy nikt tego nie widzi. Czy cierpliwe wysłuchanie opowieści o strasznych problemach kogoś, kto nigdy nie interesuje się moimi.

Asortyment z czasem można by powiększyć i otworzyć sieć. Tylko mi nie mówcie, że to żaden interes !

■ *Beata Chłap*

Ocalić od zapomnienia

Marzy mi się praca w antykwariacie. Być może jest to chęć powrotu do przeszłości, młodości, ale także pragnienie ocalenia przedmiotów, które mają duszę, są świadkami historii, a które obecna moda wyrzuca do kosza. Obcowanie ze

śladami przeszłości zachęca do poznawania procesu ich tworzenia, a także drogi jaką przeszły.

Chcesz swojemu miejscu na ziemi dodać blasku, zmienić aranżację? Wstąp do nas. Czasem jeden obraz, lampa, zegar czy figurka wspaniale zmienia charakter wnętrza. Jesteśmy do Twojej dyspozycji!

Możesz zobaczyć nasze produkty i uzyskać szczegółowe informacje oraz fachową poradę, a potem dokonać zakupu w naszym sklepie.

Barbara Traczyk

Element sentymentalny

Nie chciałabym ludziom niczego sprzedawać. Nie umiem i nie lubię. Nie posiadam cech charakteru, które powinien mieć dobry sprzedawca. Rozumiem jednak, że w życiu mogłaby się pojawić taka konieczność i byłabym zmuszona do podjęcia tego rodzaju działalności.

Myślę, że wtedy starałabym się wykorzystać to, co umiem i to co lubię. Ponieważ jestem rzeczoznawcą majątkowym, czyli osobą, która wycenia nieruchomości, więc – idąc tym tropem – zajęłabym się sprzedażą nieruchomości. A ponieważ nieruchomości to zarówno mieszkania, domy, pałace, fabryki, ale również lasy, parki, grunty rolne, stawy, wysepki, więc najchętniej zajęłabym się tymi drugimi. Starałabym się połączyć przyjemność obcowania z naturą z nieprzyjemnością przekonywania potencjalnych klientów do kupna danego obiektu.

W przypadku każdej nieruchomości o jej wartości decydują trzy cechy: lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja. Potem zaczyna się dyskusja o innych. Zatem pierwsza prezentacja upłynęłaby mi pewnie na pochwałach położenia nieruchomości. Mogłabym wtedy poopowiadać o danym terenie, jego historii, może jakichś legendach związanych z mieszkającymi tu kiedyś ludźmi. To mogłoby być miłe, chociaż nie wiem, na ile wpłynęłoby na sfinalizowanie transakcji. Wspomniałam już, że daleko mi do dobrego sprzedawcy...

Bywa, że ludzie kupują nieruchomość, w dużym stopniu kierując się względami emocjonalnymi. Wtedy jest oczywiście dużo przyjemniej, bo klient jest już przekonany – element sentymentalny zdecydowanie ułatwia sprzedaż i znacząco wpływa na cenę. Ale to sytuacja rzadka. Decydująca jest ekonomia.

Inwestycje w nieruchomości, jakkolwiek w znaczącej większości są dochodowe, wymagają dwóch, nie zawsze możliwych do spełnienia warunków: czasu i znaczących środków finansowych. Cierpliwość i duża kasa – mówiąc kolokwialnie – są konieczne. Znaleźć klienta, który gotów jest je spełnić, zainteresować go daną nieruchomością, ostatecznie przekonać, wynegocjować cenę, wreszcie zor-

ganizować i przeprowadzić całą transakcję to jest ciężka praca. Jak wspomniałam na wstępie – dla mnie niespecjalnie interesująca. Pewnie najbardziej interesujący jest moment zainkasowania prowizji, ale tekst miał być o sprzedaży, a nie o jej skutkach :).

■ *Maria Marchwicka*

Kupujcie moje książki!

Jestem redaktorką w dużym wydawnictwie. Pracuję z dużym zaangażowaniem, bo postanowiłam zrobić karierę i osiągnąć prawdziwy sukces. Żadne randki i żadni mężczyźni, tylko praca była moją „miłością”. Dobrze mnie wynagradzano, zbierałam wszystkie nagrody.

Aż tu nagle pewnego dnia dzwoni do mnie sekretarka i mówi, że dyrektor chce ze mną rozmawiać. Z uśmiechem wchodzę do gabinetu, nie przypuszczając nic złego, ale gdy patrzę na dyrektora, widzę, że jest poważny i chyba lekko zdenerwowany. Czuję, że coś jest nie tak.

Dyrektor mówi, że nasza firma ma trudności finansowe i musi dokonać redukcji pracowników, jest już gotowa lista osób do zwolnienia. – Informuję panią, że pani jest na tej liście. Bardzo mi przykro.

W pierwszej chwili zaniemówiłam, ale zaraz zadałam pytanie: – Dlaczego ja? Przecież był pan zadowolony z mojej pracy, czy nie tak?

– Bardzo byłem zadowolony z pani pracy, gdyż ma pani niezwykły talent. Ale proszę mnie zrozumieć, mam związane ręce, nie mogę zwolnić osób przed emeryturą oraz matek samotnie wychowujących dzieci. Oczywiście dostanie pani odprawę, trzy miesiące wynagrodzenia i doskonałe referencje.

Odzyskując równowagę, powiedziałam: – Panie dyrektorze, ja chcę odejść w ciągu tygodnia, przekazać moje sprawy koleżance.

Dyrektor wyraził zgodę.

Nie robiłam żadnego pożegnania w pracy (w domu pomyślałam – to jest kara). Przyjechałam do domu z kwiatami i z czekiem na niezłą sumkę.

I wreszcie zareagowałam niesamowitym płaczem, wręcz rykiem. Przez tydzień nie wychodziłam z domu, telefony wciąż dzwoniły, nie odbierałam. Nie spałam, nie jadłam, byłam załamana.

Wreszcie moja mama, nie mogąc się do mnie dodzwonić, odwiedziła mnie. Przyznałam się do porażki zawodowej. Mama mnie wspierała, a ja wtedy postanowiłam nie poddawać się.

Założyłam sklep z książkami. Książki to przecież moja pasja (jedna z wielu), a ja pragnę nieść czytelnikom radość poprzez czytanie. Wreszcie podwoje swojego

sklepu zostały otwarte, zrobiłam ogromną reklamę. Trochę się bałam – zadawałam sobie pytanie, co się stanie, gdy ten pomysł nie wypali, czy dam radę żyć ze sprzedaży książek?

Początkowo sprzedaż szła kiepsko, ale z czasem zaczęła wzrastać.

Książka jest potrzebna każdemu, gdyż rozwija, poszerza horyzonty, uczy, bawi, wychowuje. Ludzie kupują książki, a ja mam cały ich asortyment w jednym miejscu: obyczajowe, faktu, poradniki. Prowadzę też konkursy literackie z nagrodami pieniężnymi.

Kupujcie moje książki!

Aleksandra Wrzos

Zapach truskawek

Wczesne lata sześćdziesiąte. Piętnastoletnia Ola, uczennica drugiej klasy ogólniaka jest zachwycona propozycją złożoną jej przez ojca szkolnego kolegi, Tadzia. Pan Nowak, powszechnie znany w miasteczku jako plantator truskawek proponuje jej bowiem pracę przy zbiorze tych owoców. Tego właśnie roku truskawki nadzwyczaj obrodziły i on sam wraz z synem nie są w stanie ich zebrać wystarczająco szybko, żeby sprzedać je świeże. Rodzice Oli wyrażają aprobatę dla tego pomysłu, tak więc od połowy maja, zaraz po lekcjach pędzi z Tadzkiem na pięknie położone pole, daleko od zabudowań miasteczka, tuż pod lasem. Praca nie jest ciężka. Cisza, szumiący las tuż obok, wszechobecna zieleń wokół sprawia jej nie do końca uświadomioną radość i przynosi wewnętrzny spokój. Razem z Tadzkiem bez przerwy urządzają konkursy pt. kto zbierze więcej owoców.

Po paru dniach pan Nowak nieśmiało zapytuje ją czy byłoby możliwe, aby w dni wolne od szkoły mogła włączyć się również do dostarczania truskawek niektórym zamawiającym. – Jasne, że tak! – odkrzykuje entuzjastycznie. – Mam przecież rower!

I tak w niedzielę Ola zaczyna docierać do mieszkańców miasteczka swoim wysłużonym, poniemieckim rowerem, z kobiałkami odważonych owoców. Początkowo z pewną nieśmiałością, wkrótce coraz śmielej. Zebrane pieniądze, także z napiwkami sumiennie przekazuje właścicielowi plantacji. Nigdy nie przyjmuje on tych nadwyżek, tak więc Ola oprócz skromnego wynagrodzenia za zbiory ma dodatkowe profity. Jest zachwycona, że na początku czerwca z okazji imienin mamy może sprezentować jej kosz pełen truskawek i że w ogóle dużo może, zarabiając swoje pierwsze w życiu pieniądze. A aby czuć się bardziej wiarygodną wobec klientów, pytających ją o szczegóły hodowania tych owoców, wypytuje bez

przerwy pana Nowaka o rodzaje gleb pod uprawy, nawozy jakie trzeba stosować i jakie należy kupować sadzonki. Chce być truskawkowym ekspertem.

Jej przygoda z pierwszą pracą trwa aż do matury. Potem wyjeżdża w świat. Do miasteczka wraca po czterdziestu latach na stałe, już jako emerytka. Zgorzkniała i samotna. Rodzice nie żyją. Nie żyje też pan Nowak i jego syn Tadzio. Pozostał tylko opustoszały dom i zdziczały ogród. Z marazmu i poczucia całkowitej, życiowej klęski wyzwala ją któregoś dnia myśl o truskawkach.

Dziesięcioarowa, zachwaszczona przestrzeń za domem, bo trudno w tej chwili nazwać ją ogrodem, świetnie nadaje się na uprawę truskawek, a do tego jest idealnie nasłoneczniona! Jak kiedyś, tak i teraz nadal uważa te owoce za cud natury. I dużo więcej niż przed laty wie o ich cudownych właściwościach! To witaminowa bomba dla zdrowia i urody! Obok niewątpliwych walorów smakowych są one niskokaloryczne, zawierają bardzo mało tłuszczu, są cennym źródłem błonnika i antyoksydantów, które chronią komórki organizmu przed wolnymi rodnikami. A jak pięknie i aromatycznie pachną! 100 gramów truskawek to tylko 28 kilokalorii i aż 60 miligramów witaminy C, co pokrywa dzienne zapotrzebowanie dorosłej osoby na tę witaminę.

Ola już wie, że na pewno poradzi sobie sama. Praca w ogrodzie przywróci jej sens dalszego trwania. Jest tego pewna! I zarazem wniebowzięta swoim pomysłem!

A sprzedaż? Przewiduję to?

Pewnie, że tak! Już jutro uda się na pobliski rynek i zaoferuje sprzedawcom owoców i warzyw regularne dostarczanie od połowy maja świeżych truskawek, prosto z krzaków!

Recenzje filmów i książek – polecamy!

mgr Magda Wieteska

„Johnny” – fabularyzowana biografia ks. Jana Kaczkowskiego z 2022 r. stała się przyczynkiem do dyskusji na temat życia i śmierci, a uczestnicy warsztatów dziennikarsko-literackich ujęli swoje spostrzeżenia w recenzjach.

Zachęcam do przeczytania wielowymiarowych spojrzeń na ten mądry, choć trudny, bo podejmujący bez ogródek najważniejsze kwestie egzystencjalne, film.

Bogdan Banaś

Wizyta w hospicjum

We wrześniu 2022 r. na ekrany kin wszedł długo zapowiadany film, fabularna opowieść o dość powszechnie znanym księdzu Janie Kaczkowskim, zmarłym w 2016 roku. Nosi tytuł „Johnny” i jest debiutem reżyserskim Daniela Jarosza. Film zaraz na starcie zdobył Nagrodę Publiczności na Festiwalu Filmowym w Gdyni, a w następnym roku taką samą nagrodę publiczności dostał na Gali Orły 2023.

Autorem scenariusza jest przyjaciel ks. Kaczkowskiego, znany m.in. ze „Szpitala na perypetiach” – Maciej Kraszewski. „Johnny” ma dwóch głównych bohaterów, których biografie w pewnym okresie życia splotły się ze sobą. Charzmatyczny ksiądz Jan, w którego wcielił się specjalista od „postaci autentycznych” Dawid Ogrodnik (zdobywca dwóch Złotych Lwów oraz Orłów 2023 za rolę w „Johnnym”) ma wrodzone częściowe porażenie i wadę wzroku. Jego życiowe credo to realizacja boskiego miłosierdzia, czyli pomoc tym, którzy jej najbardziej potrzebują. Dokonuje tego poprzez zorganizowanie hospicjum i pracę w nim. Drugi bohater to Patryk, którego gra Piotr Trojan (dwie główne nagrody za pierwszoplanową rolę męską na Festiwalu w Gdyni i za film „Johnny”) to młody człowiek „z przeszłością”, który trafia do pracy w hospicjum z wyroku sądowego, złapany podczas włamania i kradzieży. Spotkały się dwie skrajne osobowości. Film opowiada o przemianie Patryka i narastaniu przyjaźni między nim a księdzem. Choć jest to obraz fabularny, to w dużej części oparty na faktach z biografii obu bohaterów. Tak jak w życiu, w filmie pojawia się niespodziewany wątek – zdiagnozowany nowotwór mózgu u księdza Jana, na skutek czego twórca ośrodka staje się pacjentem stworzonego przez siebie hospicjum. Chociaż

reżyser bardzo oszczędnie operuje obrazami cierpienia i szczegółami opieki nad chorymi terminalnie, to cały czas nie mamy wątpliwości, gdzie jesteśmy.

Moją uwagę zwróciła doskonała gra Piotra Trojana jako Patryka, szczególnie historia jego rozwijającej się relacji z terminalnie chorą emerytowaną aktorką Hanią (świetna gra Marii Pakulnis uhonorowanej Nagrodą Orła za najlepszą rolę drugoplanową). Chyba dlatego scena odejścia pani Hanny i reakcja Patryka jest tak piękna i wzruszająca w swojej tragedii. My wszyscy też kiedyś odejdziemy.

Łatwo zauważyć prawie doskonale odwzorowanie ruchów i gestów księdza Kaczkowskiego przez Dawida Ogrodnika. Jest on zresztą nie bez powodu uważany za aktora specjalistę w tej dziedzinie. Porównując postać filmowego ks. Jana z jego pierwowzorem dostępnym choćby na YouTube (publiczne spotkania), uważam jednak, że filmowy ksiądz jest zbyt stonowany, oszczędny w zaskakujących wypowiedziach, młodzieżowym języku czy swoistym poczuciu humoru. Jego większa aktywność zapewne ożywiłaby tę postać i bardziej ją uwiarygodniła, zwłaszcza dla młodszej części widowni.

Bardzo wymownie brzmi zdanie o zapachu palonej siarki po wizycie biskupa. W filmie zderzyły się dwie wizje kościoła. Wizja kościoła hierarchicznego i wizja reprezentowana przez księdza Kaczkowskiego. Nie wiem, czy umknęło mi w czasie projekcji, czy świadomie z jakiegoś powodu reżyser nie uwzględnił w filmie zdania – wyznania, które ksiądz Jan wypowiadał w wielu dyskusjach: „Jestem księdzem wierzącym”. Wolałbym, żeby było.

Wracając do hospicjum, które jest tłem całego filmu, należy powiedzieć, że chociaż szefem ośrodka jest ksiądz, hospicjum to ośrodek na wskroś świecki. A specyficzna religijność księdza polega na tym, że jego modlitwą jest codzienna pomoc potrzebującym, głównie tym terminalnie chorym, pomoc ludziom bez pytania ich o przynależność i światopogląd.

Czy nasza wizyta w filmowym hospicjum pomoże nam oswoić się ze śmiercią, zbliżyć się do niej? Czy nauczy nas, jak ważny jest kontakt z drugim człowiekiem, chyba niemniej niż z samym sobą? Jak dbać o relacje, pilnować relacji, czułości i bliskości? Choć w naszej kulturze unika się obrazów śmierci, to niezależnie od naszej religijności czy duchowości chcielibyśmy, aby, kiedy będziemy już bezbronni, nie odchodzić w samotności i aby ktoś był przy nas i powiedział, jak mówił ks. Jan „cokolwiek się zdarzy, zawsze będę przy tobie”.

Jeszcze jedna uwaga, refleksja. Zgadzam się, że w czasie oglądania filmu mamy często poczucie chaosu, dziwne przeskoki akcji, czy nakładanie się dźwięków, jakby niedoświadczony reżyser nie panował nad sytuacją. Ale czy np. odgłosy śpiewów mszalnych nie mieszają się z rapem również w wielu naszych domach? To życie, które nie zawsze da się wcisnąć w sztywne ramy idealnej fabuły. Czy słuszny zresztą zarzut „łopatologii”. Nietrudno sprawdzić, że podobne zarzuty dotyczyły znanych filmów, które zdobywały nie tylko nagrody publiczno-

ści, ale i te główne (np. „Człowiek z żelaza”, „Wesele” itp.) I zawsze były to obrazy poruszające bardzo ważne społeczne problemy, które powinny trafić do ogółu społeczeństwa.

Bardzo polecam obejrzenie tego filmu jeszcze niezdecydowanym.

 Ewa Konigsman

„Nic nie może przecież wiecznie trwać”

Śmierć jest tym samym co narodziny – misterium

Marek Aureliusz

Pierwsze sceny filmu są zaskakujące. Widzimy kapłana, który odprawiając mszę, unosi w górę hostię, a za moment obserwujemy scenę, jak kilku chuliganów okrada i bije człowieka. W tle, przez krótką chwilę, słychać akompaniament psalmu i muzykę rap.

Kapłan to ksiądz Jan Kaczkowski, którego w filmie świetnie zagrał Dawid Ogrodnik, zaś wśród zgrai łobuzów rozpoznajemy aktora Piotra Trojana. Jest on autentyczną postacią i znakomicie odnajduje się jako Patryk Gajewski. Film jest oparty na prawdziwych wydarzeniach w życiu księdza J. Kaczkowskiego. Akcja rozgrywa się w nowo otwartym hospicjum w Pucku, które po wielu trudach udało się księdzu wybudować. Z powodu ciągłych problemów finansowych zmuszony jest zatrudniać do pracy wolontariuszy, szczególnie chętnych, młodych ludzi. Wśród nich znalazł się Patryk, który za rozboje i kradzieże odbywał karę w więzieniu. Po wyjściu na wolność musi przepracować społecznie 360 godzin. Z niechęcią przyjmuje ofertę pracy w hospicjum jako wolontariusz. Ale już wkrótce zmanierowany i ćpający Patryk przemienia się we wrażliwego i troskliwego opiekuna podopiecznych hospicjum. To zasługa księdza Kaczkowskiego, który swoją postawą oddziałuje na Patryka. Z czasem ich znajomość przerodzi się w szczerą przyjaźń.

„Johnny” jest filmem wielowymiarowym i emocjonalnym. Pokazuje różnorodność zachowań zarówno ludzi młodych, jak i starszych, schorowanych i z różnych powodów cierpiących. Słowa uznania należą się młodemu, debiutującemu reżyserowi Danielowi Jaroszkowi, scenarzyście Maciejowi Kraszewskiemu oraz aktorom. Maria Pakulnis wspaniale zagrała kapryśną Hannę, świetni byli również Anna Dymna i Witold Dębski, wcielający się w rodziców księdza Kaczkowskiego. Ich dyskretna pomoc synowi, nienachalna troska, czułość i opieka są przykładem prawdziwej rodzicielskiej miłości, tak bardzo potrzebnej szczególnie w trudnych chwilach. Z uwagi na dosyć dużą liczbę grających osób trudno

jest wymienić pełną obsadę filmu. Na wyróżnienie zasługuje strona muzyczna, której autorem jest kompozytor Michał Kuch. Tło muzyczne stanowi między innymi utwór z repertuaru Anny Jantar w wykonaniu Dawida Podsiadły „Nic nie może przecież wiecznie trwać” – jakże prorocze i ponadczasowe słowa.

Twórcom filmu udało się zmusić widza do refleksji i zadumy nad kwestią choroby, cierpienia i śmierci. Film nie poucza, jedynie ukazuje, jak ważną rzeczą jest, aby w takiej chwili znalazł się ktoś, kto z uśmiechem, dobrym słowem i zrozumieniem będzie blisko, aby poświęcić swój czas cierpiącej osobie. Tak właśnie ja odebrałam ten film. Uważam, że jest on przesłaniem zarówno dla osób młodych i zdrowych, jak też starszych, cierpiących i chorych.

 *Mieczysław Lasota*

Film o zepsuciu i wrażliwości

„Johnny” to niezwykle dzieło Daniela Jaroszka, reżysera młodego pokolenia. Wzruszający, prowokujący do refleksji film biograficzny produkcji polskiej, którego siłę stanowią dwie główne postaci: bezkompromisowego księdza, cierpiącego na glejaka oraz młodego człowieka, borykającego się z prawem, poszukującego właściwego azymutu w życiu. To film o zepsuciu, o wrażliwości na drugą osobę. To również dzieło o ludzkiej mentalności, o obłudzie w polskim Kościele. Najważniejszy wątek stanowi opowieść o godnym odchodzeniu z tego świata, niezwyklej potrzebie bliskości w tym czasie. To wreszcie film o zaznawaniu prawdziwej, nieudawanej miłości. Miłości, która wyrывa pogubionego człowieka ze stanu beznadziejności i daje mu nowe życie. Nie pozostawia samego w momencie wydawania z siebie ostatniego tchu.

Nagroda Publiczności na Gali Orłów 2023 oraz nagroda za główną rolę męską i drugoplanową rolę kobiecą to najlepsza rekomendacja tego filmu. Maria Pakulnis, Dawid Ogrodnik i Piotr Trojan swoją grą przykuwają uwagę przez niemal dwie godziny. To czas, który zdecydowanie warto poświęcić na obejrzenie tego obrazu.

Dodatkowym atutem jest pierwiastek humanizmu, doskonała robota scenarzysty Macieja Kruszewskiego. Ta produkcja to świetna współpraca twórców reprezentujących trzy pokolenia. Wspaniała współpraca. Gorąco polecam film „Johnny”.

Opuścili hospicjum razem i wtedy postanowił się oświadczyć i przypomniał sobie o pierścionku. Pobrali się z miłości, urodziło im się dwoje dzieci. Stworzyli szczęśliwą rodzinę.

I historia chłopaka zakończyła się optymistycznie.

Beata Chłap

Oswoić śmierć

To główne przesłanie filmu Daniela Jaroszka – „Johnny”. Scenariusz filmu opiera się na relacji dwóch pierwszoplanowych postaci: charyzmatycznego księdza Jana Kaczkowskiego (Dawid Ogrodnik) i młodego chłopca z marginesu (Piotr Trojan), ukaranego za rozbój przymusową pracą w hospicjum dla nieuleczalnie chorych na raka. Początkowa wzajemna antypatia stopniowo ulega zmianie. Młody człowiek, stykając się ze śmiercią i obserwując działalność również śmiertelnie chorego na glejaka mózgu księdza, całkowicie zmienia swoje priorytety życiowe, przechodzi diametralną metamorfozę, zaczyna szanować i podziwiać swojego mentora. Ksiądz dostrzega pozytywne zmiany i oddanie młodego człowieka, co prowadzi do prawdziwej przyjaźni. Tłem dla tych dwóch życiorysów jest hospicjum, cierpiący ludzie, śmierć (wg tutejszego zwyczaju czczona zapalaniem i gaszeniem świecy,) a przede wszystkim stosunek do umierających zapewniający godne odchodzenie.

Film jest wyrazem hołdu dla śmiertelnie chorego człowieka, który nie myśląc o sobie, podejmuje działanie na rzecz innych. Jego pragnienie stworzenia hospicjum godnego umierania (niestety wbrew hierarchom kościelnym), daje mu energię, siłę działania i eliminuje strach przed własną śmiercią.

To smutny film o pozytywnym przesłaniu: „Są sprawy ważniejsze niż śmierć, jeżeli je znajdziesz, przestaniesz się bać, oswoisz ją”. Utratę najbliższych łagodzi świadomość ich dokonań, działania i uczuć – oswaja z ich odejściem.

Aleksandra Wrzos

Johnny, nie Jasiek

Film „Johnny” pojawił się na ekranach kin we wrześniu ubiegłego roku. Był to, co prawda, okres wygaszania pandemii, ale ja nadal nie miałam odwagi udać się do zamkniętej sali. Obejrzelśmy go grupowo na naszych zajęciach.

Obraz ma dwóch głównych bohaterów. Pierwszy z nich to charyzmatyczny ksiądz Jan Kaczkowski, doktor nauk teologicznych i bioetyk. Osobowość i autorytet. Podziwiany przez wierzących, jak i niewierzących. Drugi zaś to pogubiony młody ćpun i recydywista, Patryk Galewski.

Scenariusz do filmu stworzył Maciej Kraszewski, mieszkaniec Sopotu – współtwórca wielu seriali, programów telewizyjnych i audycji radiowych, a także

pisarz, bo on też jest autorem książki pt. „Johnny – opowieść o Księdzu Janie Kaczkowskim”, która ukazała się, tak jak film, we wrześniu 2022 r.

Z wypowiedzi Macieja Kraszewskiego wnioskuję, że pomysł napisania scenariusza zrodził się dopiero w trakcie pisania książki o księdzu. Kiedy zbierał do niej materiały i rozmawiał z ludźmi otaczającymi głównego bohatera, musiała pojawić się postać Patryka, czyli kolejnego wyrazistego bohatera, a to jest warunek, jak sam powiedział, do stworzenia dobrego scenariusza, bo kino kocha takie kontrasty.

Film wyreżyserował młody, niespełna 34-letni Daniel Jaroszek, dla którego był to debiut fabularny. Na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w 2022 roku został laureatem Nagrody Publiczności właśnie za film „Johnny”. Wcześniej zajmował się reżyserią wielokrotnie nagradzanych muzycznych teledysków oraz fotografią.

Główne role zagrali, także należący do pokolenia „przed czterdziestką” – jak zawsze rewelacyjny Dawid Ogrodnik jako ksiądz Kaczkowski oraz Piotr Trojan, równie świetny jako Patryk Galewski, o czym świadczy zdobyta przez niego Nagroda za Pierwszoplanową Rolę Męską na wspomnianym wyżej Festiwalu.

Dlaczego „Johnny”?

Bo tak żył sobie Ksiądz Kaczkowski. Nie Jasiek, tylko Jan. A najlepiej Johnny.

Poznajemy go w 2004 roku, kiedy, pełniąc posługę kapłańską, postanawia stworzyć w Pucku Hospicjum pod wezwaniem Świętego Ojca Pio, dla ludzi umierających na raka. Początkowo działa ono jako hospicjum domowe, a ksiądz Jan osobiście wraz z pielęgniarką docierają do wszystkich potrzebujących.

W 2009 roku, dzięki prowadzonym przez niego od wielu lat zbiórkom funduszy, powstaje w Pucku budynek hospicjum stacjonarnego. Założyciel placówki podejmuje się także jej prowadzenia. Chociaż sam urodził się z niepełnosprawnością oraz zmagał się z nieuleczalną chorobą, do ostatnich chwil opiekował się pacjentami hospicjum, ucząc ich jak oswoić śmierć i cieszyć się życiem, które jeszcze trwa. Takie pojmowanie posługi kapłańskiej zapewniło mu szacunek i uznanie wielu ludzi, jak już powiedziano – zarówno wśród wierzących, jak i ateistów.

Ksiądz Jan potrafił też przeciwstawić się kościelnej hierarchii i dać „odpór” zwierzchnikom, tutaj akurat arcybiskupowi, zakazującemu mu działalności związanej z hospicjum. Odpychająca postać arcybiskupa jakby żywcem wyjęta z „Kleru” Smarzowskiego sprawiła, że z jeszcze większą sympatią patrzyliśmy na księdza.

Równolegle z jego działaniami ukazana jest historia zawrócenia z drogi „donikąd” Patryka, który pojawia się w hospicjum niejako za karę, zmuszony do odpracowania godzin pracy społecznej.

Główną treścią opowiadanej historii jest właśnie relacja księdza i jego podopiecznego, a także dokonująca się na naszych oczach przemiana chłopaka z przestępczego półświatka.

Patryk Galewski istnieje naprawdę. W dużej mierze na podstawie właśnie jego wspomnień, ale także relacji rodziny księdza Jana powstał scenariusz filmu. Wszystkimi zależało na pokazaniu prawdy o nim, bez retuszu. O przyjacielu, synu i bracie.

To oni decydowali o akceptacji obrazu na etapie montażu, jak i w końcowej fazie produkcji.

Wiecej takich filmów...

Zachęcam do obejrzenia tego filmu. Ja oglądałam go z wielką uwagą i wzruszeniem, również dlatego, że to dobra, poruszająca filmowa historia, napisana przez życie. Johnny to super bohater w ciele niepozornego i skromnego człowieka. Jego misja – pomoc ludziom w godnym odchodzeniu z tego świata wzbudza najwyższe uznanie. Także historia o nietypowej męskiej przyjaźni, jaka połączyła go z byłym więźniem, świadczy o wielkim sercu księdza Jana i jego człowieczeństwie. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o wielu „facetach” w sutannach.

Ksiądz Jan Kaczkowski zmarł na glejaka mózgu 28 marca 2016 r. Hospicjum pod wezwaniem Świętego Ojca Pio działa nadal dzięki wpłatom tysięcy darczyńców i jest ono wzorcem pod względem jakości opieki nad chorymi i ich bliskimi.

* * *

 Ewa Alfut

„O to chodzi jedynie, by naprzód wciąż iść śmiało...”

Leopold Staff

Kilka słów o książce „Opowieści o mocy. Autobiografie kobiet Wrocławia”

Trzymam w ręku książkę, niezbyt grubą, ale i nie z tych najcieńszych, formatu A-4, pięknie wydaną.

Na okładce widzę zachód słońca, a na jego tle ciemną, monumentalną sylwetkę kobiety z rozpostartymi ramionami. Ma się wrażenie, że chce ona wykrzyknąć, a może właśnie to robi: „Mam moc, dałam (dam) radę”.

Spoglądam na tytuł: „Opowieści o mocy. Autobiografie kobiet Wrocławia”, pod redakcją naukową Agnieszki Janiak, przy współpracy z Izabelą Pilarską, Angeliką Netkowską.

Najważniejsze tutaj słowo, to „moc”. Zazwyczaj kojarzy się z siłą superbohaterów typu Herkules, Goliat, Batman, Superman...

Co wspólnego z siłą tychże mają kobiety, które snują opowieści o swoim życiu? Odpowiedź na to pytanie znajduję, przewracając kolejne karty książki, poznaję te superbohaterki i ich zwykłą, a może właśnie niezwykłą moc, która pomagała walczyć z codziennością i różnymi przeciwnościami losu, tak bliskimi większości z nas. Wszystkie są mieszkankami Wrocławia, niektóre od zawsze, inne przybyły do tego miasta, wrosły w nie, pokochały. Jakiej mocy trzeba było, by odnaleźć się w trudnych, powojennych czasach w nieznanym mieście, obserwować zachodzące zmiany, utrzymać się, uczyć, zakochać, założyć rodzinę...

Bohaterki, to obecnie seniorki z Dolnośląskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, które pracowiec jak Syzyf, często z mozołem, wtaczają na górę swój głąz codzienności. Niektóre zmagają się z traumą trudnego dzieciństwa w przemocowym domu, inne z biedą i samotnym macierzyństwem, opowiadają o sile tradycji, wspominają o dziadkach, którzy odegrali znaczącą rolę w ich życiu, mówią o sobie strofami wierszy Wisławy Szymborskiej, tworzą drzewo genealogiczne swojego rodu... Ich życie pełne jest trosk, niepokojów, biedy, ale i małych lub większych radości, uniesień, zachwyków.

W biografii każdej z nich można odnaleźć coś z własnych przeżyć, ma się wrażenie, że opowiedziana jest moja historia...

No właśnie, opowiedziana, bo poza Danutą, Zofią, Ewą, Krysią, Wandą, Aliną, bohaterką książki jest także opowieść, autobiografia pisana przez same kobiety, które stworzyły się, co nie zawsze było łatwe, przed trzema paniami (Izabelą Pilarską, Agnieszką Netkowską, Agnieszką Janiak) i opisały swoje historie. W książce ważny jest temat, ale i ważna jest siła opowieści (o czym w posłowniu pisze pani Agnieszka Janiak, podając także wiele informacji o różnorodnych funkcjach teje).

Tytułową „Moc” odczytuję jako siłę kobiet, pozwalającą podejmować trudy życia, ale także jako coś, co wyzwoliło chęć opowiedzenia o nim, patrząc na nie wstecz, przywołując dzieciństwo i wydarzenia z odległej przeszłości. Jest jeszcze mowa, jak już wspomniałam, o mocy samej opowieści, która kreuje, wyzwala, utrwała, pozwala uwierzyć w siebie, odkryć nieodkryte.

Warto sięgnąć po tę książkę, tak zwyczajną, a przecież wartą przeczytania.



Dni Seniora – Wrocław 2022



Marsz Kapeluszy 2023 z udziałem Słuchaczy UTW w UWr.

dr Magdalena Wnuk-Olenicz

Spotkanie EFOS w Brnie

Uniwersytet Trzeciego Wieku w Uniwersytecie Wrocławskim jest członkiem European Federation of Older Students in Universities (w skrócie EFOS) od 2006 roku. Do Europejskiej Federacji Starszych Studiujących należy w sumie 15 Uniwersytetów Trzeciego Wieku z 10 europejskich krajów (Wielka Brytania, Hiszpania, Szwecja, Niemcy, Słowacja, Austria, Czechy, Polska, Francja, Szwajcaria). Organizacja promuje m.in. uczenie się całościowe (*lifelong learning*), aktywne zaangażowanie, obecność oraz uczestnictwo osób starszych w przestrzeni społecznej, a także przeciwdziałanie wykluczeniu i marginalizacji osób starszych. W ramach działalności EFOS realizowane są wspólne projekty dla osób starszych, wspierające, aktywizujące i zapewniające dostęp seniorom do edukacji całościowej. Do tej pory nasz UTW w UWr brał udział w trzech międzynarodowych projektach. Ostatni zakończył się w kwietniu 2022 r.

Dzięki takiej współpracy wielu naszych słuchaczy mogło po raz pierwszy wyjechać za granicę i poznać kulturę i funkcjonowanie innych europejskich UTW. Spotkania EFOS-u odbywają się średnio 2 razy w roku i jest to doskonała okazja, aby móc wówczas omówić sposób organizacji pracy innych uczelni, wymienić dobre praktyki, inspirować się wzajemnie, poznać inne sposoby pracy edukacyjnej z osobami starszymi. Ważne jest również, aby omówić trudności, jakie się pojawiają oraz podtrzymać dotychczasową współpracę. We wrześniu 2022 r. byliśmy gospodarzami spotkania grupy EFOS we Wrocławiu. Goście zagraniczni w dniu 29.09 wzięli udział w organizowanej przez UTW w UWr konferencji „Uniwersytet Trzeciego Wieku przestrzenią dobrych relacji”, a w kolejnym dniu (30.09.) odbyło się spotkanie członków organizacji EFOS.

W tym roku spotkanie organizacji EFOS zostało zorganizowane w Brnie, w dniach 15–19.03.2023 r. Uniwersytet Trzeciego Wieku w Uniwersytecie Wrocławskim reprezentowali: Magdalena Wnuk-Olenicz, Jolanta Krupowicz oraz Jay Fleischer.

W pierwszym dniu spotkania zostaliśmy powitani przez Prezydentkę EFOS dr Nadjezdę Hrapkovą, omówiony został program pobytu, przyjętych zostało trzech nowych członków (Chorwacja, Słowacja i Hiszpania), a w drugiej części dnia mieliśmy okazję zapoznać się z charakterystyką funkcjonowania każdego

z przynależnych do EFOS Uniwersytetów. Omówiliśmy również plan działania na lata 2022–2026, jak również kolejny projekt EFOS zatytułowany „Generations in the education at the universities” (Pokolenia w edukacji na uczelniach). Omówiliśmy także następne spotkanie organizacji, które będzie miało miejsce jesienią w Comenius University w Bratysławie. W drugim dniu spotkania odwiedziliśmy „Museum of Gregor Johann Mendel”, czeskiego przyrodnika, prekursora genetyki oraz Jezuicką Katedrę Najświętszej Marii Panny w Brnie. W sobotę mieliśmy okazję zobaczyć labirynt pod targiem warzywnym (podziemne Brno) oraz spacerować zachwycającym miastem wraz z przewodnikiem.

Spotkanie odbyło się w niezwykle serdecznej atmosferze, wzajemnej życzliwości i ciekawości. Odbyliśmy wiele ciekawych dyskusji, a co najważniejsze mamy plany na dalsze międzynarodowe i edukacyjne działania.



Spotkanie EFOS w Brnie (2023)

Ze słońcem i sercem w tle

Słów kilka o konferencji naukowej

„UTW przestrzenią budowania dobrych relacji”

Krasnal Freudek rozparty na swojej kanapce tuż przy wejściu do Instytutu Psychologii i Pedagogiki Uniwersytetu Wrocławskiego niespokojnie i z ciekawieniem rozgląda się wokół. Coś się dzieje, a on nie wie co. A przecież lubi wiedzieć, ba – musi wiedzieć, by móc pomagać wyjść z życiowych opresji tym, którzy siadają na jego kanapce psychoanalityka.

A dziś, ten troszkę przemądrzały krasnalek jest zdezorientowany. Od rana widzi kręcących się Seniorów (wszak w tym budynku mieści się także siedziba Uniwersytetu Trzeciego Wieku), coś noszą, gdzieś spieszą, ubrani elegancko, podekscytowani...

Już od pewnego czasu, mimo wakacji, coś się dzieje, trwają jakieś przygotowania. Biedny krasnalek łapie się za głowę i usiłuje rozwikłać zagadkę. Gdyby wszedł za którymś z Seniorów do środka, mógłby zobaczyć stoliki dyżurnych, banery, plansze z napisami, coś uroczystego i radosnego emanującego z twarzy obecnych, ale i ze wszystkiego wokół. Nie może opuścić swojej kanapki i zazdrości słońcu, które bezczelnie, uśmiechnięte od ucha do ucha, wchodzi do środka wraz niewielką grupką osób, bowiem z podsłuchanych rozmów wnioskuje, że do tego dnia, 29 września 2022 roku, przygotowania trwają już od dłuższego czasu. To dziś właśnie ma miejsce konferencja naukowa zatytułowana „Uniwersytet Trzeciego Wieku przestrzenią budowania dobrych relacji”, wpisana w trwający we Wrocławiu Rok Dobrych Relacji, z podtytułem: „Wrocław przeciw samotności”.

Słońce podkreśla nastrój chwili, radośnie oświetlając przepiękne wrzośce, którymi udekorowana jest uniwersytecka aula, wpisuje się w przesłania konferencji. Bo czymże są dobre relacje, tak konieczne do tego, by życie miało sens, by się chciało chcieć, by każdy nowy dzień witać z nadzieją i radością. To drugi człowiek uśmiechający się do nas, to ciepło, życzliwość, zainteresowanie, to wspólnie spędzony czas, to ktoś, kto rozproszy cień samotności...

Za chwilę aula się zapełni. Wśród zgromadzonych mnóstwo znamienitych gości. Jest Rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. dr hab. Robert Olkowicz, jest Prezydent Wrocławia Jacek Sutryk, jest przedstawicielka EFOS-u dr Nadieżda Chrapkowska z Uniwersytetu Komeńskiego w Bratysławie, Marszałka Województwa Dolnośląskiego reprezentowała p. Amelia Dymarek, dr hab. Jarosław

Barański z Uniwersytetu Medycznego, prof. dr hab. Maria Straś-Romanowska i wielu, wielu innych, którzy będą mówić o tym, jak budować dobre relacje, jak o nie dbać, jak pielęgnować, by, jak powiedział w swoim wystąpieniu dr hab. Jarosław Barański: „Życzliwość stała się smarem, dzięki któremu usuwa się wszelkie międzyludzkie tarcia”.

Padają ważne słowa, które często są po prostu wskazówkami, jak postępować, by rzeczywiście stało się tak, jak powiedziała w swoim wystąpieniu dr Alina Żurek z Instytutu Psychologii UW, że „Czas spędzony z ludźmi chroni przed siniakami spowodowanymi wzlotami i upadkami żywymi”.

Słońce odrywa wzrok od obfitości pięknych kwiatów, uśmiecha się do zasłyszanych słów, spogląda po twarzach gospodarzy i gości, rozjaśnia się jeszcze bardziej i ze wszystkich sił stara się w tym dniu oddać radosny, odświeżający nastrój toczących się zdarzeń. W przerwie wędruje wraz z gośćmi po korytarzu i salach, w których przygotowano wystawy prezentujące prace Słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego wieku działających w różnych sekcjach i klubach. Oszałamiają swymi kolorami, treścią i formą obrazy wystawione na sztalugach, dzieła tych, którzy w wieku późnej dorosłości odnaleźli swoją pasję i spełnienie. Zachwycają zdjęcia artystycznie wykonane przez Sekcję Fotograficzną. Dzięki nim wielu może na nowo odkryć Wrocław w różnych odsłonach, ale i uczestniczyć w życiu UTW. Nie wiadomo, gdzie zwrócić oczy. Słońce także doznaje zawrotu głowy, więc szczerze obdarza swoimi promieniami wszystkie zakątki wystawy. Radośnie uśmiechają się w jego blasku niezwykle cudne dzieła Sekcji Rękodzieła, migają filmiki, płyną melodie, gdzieś tam przemyka zjawiskowa dama, uosobienie Poezji... Nad wszystkim unosi się aromat kawy i pysznych przekąsek, których mogą posmakować zgromadzeni, gdy duch, zauroczony tym, co widzi, stwierdzi, że czas także i na coś dla ciała.

Słońce na chwilę zatańczy w złocistości herbaty, czy też rozświecili czerni kawy, by za niedługo odbić się na kartach kronik, czy też musnąć swym promykiem Kurier UTW, może „Agorę Seniora”, gdzie próbują swoich sił obdarowani lekkością pióra.

Zachwyt malujący się na twarzach gości, miłe słowa, wyrazy uznania, są dostatecznym podziękowaniem za trud włożony w przygotowanie wystaw, za „nasze małe budowanie”, budowanie niezwykłości codziennych zdarzeń, atmosfery spotkań, radości bycia częścią Społeczności UTW, w której nawiązuje się dobre relacje.

A że naprawdę tak jest, można poczytać w pracach literackich, które wpłynęły na ogłoszony konkurs i którego zwycięzcy (M. Derkacz, E. Alfut, I. Gójka, I. Leśniewski) właśnie dziś odbierają nagrody. Zakręcone słońce wróciło do auli, chociaż chętnie pobyłoby jeszcze na korytarzu, popodziwiać, popoglądać, popodglądać i się pozachwycać. Tyle tego do obejrzenia.

Tymczasem rozpoczyna się ostatnia część spotkania, panel dyskusyjny, w którym uczestniczy dziewięć pań, a wśród nich m.in. dr Walentyna Wnuk, mgr Magda Wieteska, doc. Grażyna Dąbrowska, dr Magdalena Wnuk-Olenicz. Mówią o swoich doświadczeniach w budowaniu dobrych relacji, o byciu sobą w tym ważnym procesie, o samotności i sposobach radzenia sobie z nią, o relacjach w cyfrowym świecie (mgr Teresa Ziegler) i innych aspektach tworzenia więzi, dobrych więzi międzyludzkich – akceptacja siebie, dbanie o formę fizyczną, życzliwość, rezygnacja ze swojego ego, otwarcie na drugiego człowieka – to najważniejsze z nich.

Niezwykły dzień powoli chyli się ku zachodowi. Zmęczone słońce ostatkiem sił spogląda na miejsce konferencji, na zmęczonych, ale szczęśliwych ludzi. Gdzieś tam w zakamarkach auli i pamięci uczestników zostaną ważne, wypowiedziane dziś słowa, ale można je usłyszeć każdego dnia. Chociażby w słowach piosenek wyśpiewanych przez chór „Sursum Corda”: *Życie nie po to jest, by brać, życie nie po to, by beczynnie trwać i żeby żyć, siebie samego trzeba innym dać, a pięknie żyć, znaczy kochać świat.*

Było wspaniale, było mądrze – myśli słońce i postanawia, że przy najbliższej okazji opowie o wszystkim Freudkowi, by i on cieszył się, że można uniknąć spotkania na jego kanapce, gdy zechce się zadbać o dobre relacje, na które recepty zostały tu dziś, na zakończonej właśnie konferencji naukowej, zaprezentowane.

Urszula Grycner

Spotkanie w Auli Leopoldina we Wrocławiu z przedstawicielami Francji, Litwy, Portugalii i Polski w ramach projektu Erasmus + 3 AC

5 czerwca 2023 roku w Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego odbyła się konferencja podsumowująca uniwersytecki projekt Erasmus+ „Active Ageing Academic Certificate (3AC) skierowany do seniorów.

To projekt badawczy rozpoznający potrzeby seniorów w zakresie kursów akademickich. W konferencji udział wzięli przedstawiciele Francji, Litwy, Portugalii i Polski (m.in. UTW w Uniwersytecie Wrocławskim), a także lokalni partnerzy projektu.

Spotkanie w ramach Erasmus+ to szansa na zgłębianie i poszerzanie wiedzy w różnych dziedzinach, a także poznawanie ludzi i nawiązywanie nowych kontaktów pomagających tworzyć dobre relacje i więzi międzyludzkie.

Wymieniając się doświadczeniami, potrzebami i zainteresowaniami seniorów w wymienionych wyżej krajach, przedstawiliśmy jako seniorzy z Polski – Wrocławia, kilka tematów budzących nasze zainteresowanie.

Poniżej je przedstawiam.

Interesuje nas możliwość swobodnego korzystania z **nowych technologii** zarówno na poziomie podstawowym jak i zaawansowanym. Umiejętność posługiwania się **technologią cyfrową** jest niezbędna, by móc gdziekolwiek zaistnieć. Formy płatności, zakupy, medycyna, nauka, kontakty z całym światem, rodziną i przyjaciółmi.

To również rozwijanie swoich zainteresowań oraz zdobywanie wiedzy w szerokim zakresie. To pobudzanie aktywności edukacyjnej i wyrażanie siebie na wielu polach. Jako przykład podam możliwość ratowania starych zdjęć rodzinnych, wyblakłych lub połamanych. Zdjęcia po takiej renowacji są jak nowe i mogą przez kolejne lata służyć wielu pokoleniom. **Praca nad zdjęciami to dziś wyłącznie praca w świecie cyfrowym.**

Kolejnym przykładem może być **doskonalenie znajomości języków obcych** poprzez internetowy kontakt ze studentami w innych krajach. Nawiazywanie i rozwijanie przyjaźni, poznawanie innej kultury.

Biorąc udział w różnych dziedzinach życia społecznego i kulturalnego chcielibyśmy przyczynić się do **podniesienia prestiżu seniorów** a w szerszej perspektywie – **współpracy międzynarodowej**. By godnie uczestniczyć w życiu, musimy sprostać jego wymaganiom.

Sztuczna inteligencja oraz **kryzys klimatyczny**, to tematy będące przedmiotem wielu dyskusji.

Sztuczna inteligencja to kolejna rewolucja, która różni się jednak od poprzednich. Przy niewątpliwych zaletach, jak wykorzystanie w medycynie czy innych dziedzinach nauki i techniki, istnieje jednak realne zagrożenie w przyszłości.

Po raz pierwszy człowiek dobrowolnie przekazuje inteligencję naturalną w ręce inteligencji sztucznej. Niepokoi nas to ze względu na brak regulacji, jak daleko można się posunąć w tej dziedzinie.

Spotkaliśmy się 5 czerwca – to również Światowy Dzień Ochrony Środowiska.

Kryzys klimatyczny, którego skutki obserwujemy na całym świecie, jest też powodem do niepokoju.

Interesuje więc nas **całokształt działań** zmierzających do **naprawienia szkód** wyrządzonych otoczeniu i zasobom naturalnym, jak też działania zmierzające do zmniejszenia ryzyka wystąpienia takich szkód, bądź zachęcających do efektywnego wykorzystania zasobów naturalnych.

Chciałam zwrócić jeszcze uwagę na nasze – seniorów, **relacje z młodymi ludźmi**. O wzajemnych stosunkach, tolerancji, zainteresowaniach. Mam nadzieję na kontynuację tego tematu.

Myślę, że spotkanie w **ramach Erazmusa+** uzmysłowiło nam, jak bardzo jesteśmy sobie potrzebni i jak wiele jest tematów do omówienia.

Słuchając na konferencji wypowiedzi uczestników wielu krajów, nasunęło mi się skojarzenie z kwiatami.

Wyobraźmy sobie łąkę, na której rosną piękne, **dumne tulipany**, stojące równo w szeregu, o różnych kolorach. Są zachwycające. Łąka z roku na rok, jest taka sama.

A teraz wyobraźmy sobie łąkę, na której rosną **kwiaty** – stokrotki i bratki, konwalie i niezapominajki, rumianki i szalwie a także tulipany, żonkile i wiele innych. Każdy kwiat wygląda inaczej, pachnie inaczej. Wyższe i mocniejsze osłaniają te słabsze rosnące przy ziemi, te małe z kolei tworzą różnobarwny dywan przyciągając owady. Kwiaty żyją w symbiozie. Otrzymują i dają w zamian. Z roku na rok łąka jest piękniejsza.

Która łąka przyciągnie nasz wzrok? Która wyda nam się bardziej interesująca? Czy ta piękna, dumna ze stojących równo samotnych tulipanów, czy ta różnorodna, nieprzewidywalna i nie do końca odkryta, gdzie na każdym kroku czeka nas niespodzianka, co jeszcze kryje się pod tym listkiem?

Oczywiście, zdania mogą być podzielone. Moje serce wybierze łąkę różnorodną.

Choć mieszkamy w różnych krajach, w wielu rzeczach się różnimy i mamy inne poglądy, to **mieszkamy** w jednej **Europie** i jesteśmy jak ta różnobarwna łąka, przyciągająca wzrok, interesująca.

Jak pięknie możemy wzrastać obok siebie.

Parafrazując, niezależnie od wichrów które wieją, słońca które pali, zim które potrafią wszystko zmrozić – możemy wzrastać każdej wiosny.

Łąka nieustannie się zmienia, w zależności od pory roku. Jest inna wiosną i jesienią. Zimą czasem zamiera. Zawsze jednak się odradza i trwa.

Dla mnie fakt, że spotkaliśmy się tutaj we Wrocławiu, to zwiastun, że łąka zaczyna rozkwitać. Obyśmy umiejętnie i godnie o nią dbali i by cieszyła zarówno nas, jak i innych, a nowe **młode roślinki mogły swobodnie wzrastać**.

Ewa Alfut

Gościli u nas...

W dniach 9–10 czerwca 2023 roku gościli we Wrocławiu Słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Starachowicach. Czterdziestoosobowa grupa odwiedziła m.in. Panoramę Racławicką i Uniwersytet Wrocławski, w tym oczywiście przepiękną Aulę Leopoldina i Oratorium Marianum (rolę przewodnika pełniła koleżanka Ania Błońska). Niektórzy wdrapali się wysoko, na Wieżę Matematyczną, by z góry podziwiać urok naszego miasta. Mieli także możliwość zachwycić się Wrocławiem z pokładu stateczku. Płynąc Odrą, nie tylko podziwiali miasto, ale być może niektórzy, wsłuchując się w szum rzeki, usłyszeli jej opowieści o Wiadrusie i dawnych dziejach starego grodu.

Nasi goście mieli możliwość obejrzeć spektakl „Strzępy” Teatru Czarnego, prowadzonego przez dr. A. Kobylarkę. Z niekłamanym zachwytem śledzili sekwencję etiud przygotowanych przez Słuchaczy i Słuchaczki naszego UTW.

Sympatyczne chwile przeżyliśmy podczas wieczornego spotkania towarzyskiego na dziedzińcu hotelu „Green Hostel”, gdzie byli zakwaterowani goście. Przy muzyce i śpiewach (przygrywali koledzy Staszek i Wiktor, a radosne śpiewy uskuteczniali przedstawiciele obu uczelni) miło płynął czas, toczyły się rozmowy na temat działań obu uniwersytetów, wymienialiśmy się spostrzeżeniami i doświadczeniami, numerami telefonów (co być może zaowocuje dłuższą znajomością). Zostały wręczone drobne upominki, pamiątki.

Odkryliśmy, a może po raz kolejny potwierdziliśmy, że warto w swoich działaniach kierować się maksymą zapisaną w przepięknym jubileuszowym albumie starachowiczan: „Jeśli kiedykolwiek zamierzam cieszyć się życiem, to teraz jest na to czas, nie jutro, nie za rok”.

Oby więcej takich sympatycznych, owocnych spotkań.

mgr Magda Wieteska

Międzypokoleniowe „Spotkania z Fonikiem”

Gdy wpadłam na pomysł wspólnego czytania dzieciom książki napisanej przez słuchaczy pt. *Mój przyjaciel smartfon*, uczestnicy moich zajęć byli nastawieni dość sceptycznie. Jak przyznała Aleksandra Wrzos, autorka wielu opowiadań w książce, „początkowo pomysł zorganizowania spotkań z dziećmi i czytania im

naszych opowiadań o Foniku wydał mi się lekko absurdalny i niepotrzebny. Do czasu... Już po pierwszym spotkaniu diametralnie zmieniłam zdanie. Obserwowanie dzieciaków, ich reakcji, uczestniczenie w zbiorowym podśpiewywaniu i machaniu rękoma pod przewodnictwem Ewci Ś. wywołał u mnie stan radości i bez troski. Byłam wdzięczna naszej instruktorce Magdzie Wietesce, że doprowadziła do realizacji tego świetnego pomysłu”.

Podobnie o moim koncepcie myślał Bogdan Banaś, przyznając: „Szczerze? Nie za bardzo wierzyłem, że to się uda sfinalizować. Tym miłsze było zaskoczenie!”.

Od marca do maja 2023 r. odbyło się pięć spotkań międzypokoleniowych na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Uniwersytecie Wrocławskim, podczas których słuchacze – uczestnicy warsztatów dziennikarsko-literackich czytali swoją autorską książkę uczniom klas drugich i trzecich ze Szkoły Podstawowej nr 90 im. Stanisława Tołpy.

Spotkania odbywały się w miłej, twórczej i wesołej atmosferze, integrując oba pokolenia. W programie każdego z nich znalazły się także konkursy z nagrodami i muzyczna przerwa prowadzona przez słuchaczy UTW, wspaniałych: Ewę Śnigór, Ewę Alfut i Mieczysława Lasotę.

Również dzieci przygotowały dla słuchaczy muzyczną niespodziankę: klasa Pani Anny Bieleckiej zagrała na flażoletach utwory, a na zakończenie spotkań zostaliśmy obdarowani przez uczniów przepięknymi kartkami-laurkami i słodkościami.

Wspomniałam o braku entuzjazmu ze strony mojej kochanej Grupy, winna jestem więc także przytoczyć ich późniejsze, już w trakcie spotkań z dziećmi, a także po nich, refleksje.

Kiedy dziecięcy śmiech usłyszę, rozjaśnia moją twarz jutrzeńka...” – słowa często cytowanego przeze mnie wiersza nieznanego poety przychodziły mi na myśl podczas kilku spotkań z dziećmi i ich opiekunami, którzy pojawiali się w naszej auli, by posłuchać głośnego czytania książeczki Mój przyjaciel smartfon, stworzonej dla nich przez słuchaczy UTW z grupy Warsztatów Dziennikarsko-Literackich. Wraz z Fonką i Fonikiem wędrowali po ciekawych miejscach we Wrocławiu, przeżywając niezwykle chwile.

Kiedy obserwowałam zebrane dzieciaki, ich reakcje, czasem także rozkojarzenie, cieszyłam się, że mogę tu być, razem z nimi, słuchać, przeżywać, poczuć się dzieckiem. Moja belferska dusza rosla, widząc podniesione w górę łapki podczas zadawania pytań konkursowych.

A wspólne zabawy, przerywniki... Prawdą jest, że w każdym z nas (na szczęście) tkwi dziecko, co było widać przy radosnych śpiewach, podskokach, gestach. Okazało się, że dzieciaki nie tylko siedzą z nosem w smartfonach, ale także chętnie się

bawią, nawet w te zabawy trącające już myszką. A i my, dorośli, świetnie się wraz z nimi bawiliśmy.

Tych kilka spotkań to były bardzo przyjemne chwile, serdeczne, zabawne, inspirujące. Tak niewiele, a przecież tak wiele.

Ewa Alfut

Przyznać muszę, iż przed występem miałam lekką treść – jak się potem okazało – nie tylko ja ją miałam. Rekompensatą dla lektorów były gromkie brawa i nietuzinkowe prezenty wykonane ręcznie przez uczniów. Takie chwile na długo pozostaną w naszej pamięci.

Ewa Konigsman

Dla mnie był to chwilowy powrót i przypomnienie sobie pięknej pracy z dziećmi. Czułam się super i na swoim miejscu.

Ewa Śnigór

Gratulacje za pomysły i realizację „artystycznych przerywników” (brawo artyści!!!) i konkursów z nagrodami. To bardzo ożywiło spotkania z Fonikiem.

Osobiście starałem się, aby moje czytanie było słyszane i zrozumiałe. Podejrzewam, że wszyscy z niedosłuchem mówią głośniejszemu (z oczywistych względów) i ja zabierając głos publicznie, automatycznie włączam „wzmacniacz” głosu. Z treścią nie miałem specjalnych kłopotów. To, co było inaczej niż kiedyś, to niemożność jednoczesnego zerkania na zachowanie dzieci. Mogłoby być kłopot ze znalezieniem kolejnego akapitu. A to mogłoby zaburzać odbiór przez dzieci.

Ja jako widz. Gdy zabrzmiał głos głównej artystki – Ewy Ś., moje nogi od razu się dostosowały, ale ręce, biodra i głowa „w płasach, gestach i dygach” wyraźnie nie nadążały za rytmem. I ten piękny rozdźwięk musiał być bardzo komiczny, taki do rozweselenia w trudnych chwilach.

Bogdan Banaś

Uczestniczyłam we wszystkich spotkaniach naszej Grupy z dziećmi klas wczesnoszkolnych Szkoły Podstawowej nr 90. Nie jestem autorką opowieści w książce *Mój przyjaciel smartfon, ale jednorazową narratorką opowiadania pt. Kierunek Plac Strzegomski*. Byłam nauczycielką ze specjalizacją nauczania klas 1–4, wprawdzie pół wieku temu, stąd moje wnioski z poczynionych obserwacji. Rozwój nowych technologii miał i ma ogromny pozytywny wpływ na rozwój holistyczny człowieka, a szczególnie na właściwości poznawcze najmłodszego pokolenia. Uczniowie najmłodszych klas szkoły podstawowej są znacznie dojrzalsi umysłowo niż ich rówieśnicy z dawnych lat, bardziej otwarci na wszelkie kontakty, nie tylko w odniesieniu do kolegów, ale i osób starszych. Potrafią samodzielnie podej-

mować decyzje związane np. z zainteresowaniami. Wiedza zdobywana zarówno w szkole, jak i z innych środków przekazu pobudza dociekanie i szukanie odpowiedzi na niedosyt w jakiejś ważnej na ten czas sprawie. Sądzę, że to też ogromna zasługa coraz dojrzałych rodziców i lepiej merytorycznie przygotowanych do zawodu nauczycieli. Dla mnie były to wspaniałe spotkania w przyjaznej pokoleniowej atmosferze i powrót do zawodowych wspomnień.

Irena Gójska

Pomimo że byłam tylko dwa razy na spotkaniach, przekonałam się, jak fajny był to pomysł i jak sprawdził się, dając radość dzieciaczkom, a także nam.

Spotkania odbyły się w swobodnej atmosferze, maluchy, jak to dzieci, wcale nie stremowane, wesołe, rwące się do konkursów i sądzą, że żywo zainteresowane przygodami Fonika. I to właśnie spowodowało, że my jako lektorzy też byliśmy rozbawieni, więc czytanie sprawiało radość.

No cóż, zawsze to miłe móc zaprezentować swoją pracę przyjaznemu gronu, prawda?

To satysfakcja i udział w dobrej sprawie.

Irena Kawczyńska

*Była to dla mnie ogromna przyjemność, gdy czytając podnosiłam wzrok znad książki i widziałam cały rząd zasłuchanych dzieci z wpatrzonymi we mnie oczami, z wyrazami wielkiego zaciekawienia. To było wzruszające; poczułam się taką **multibabcią** dla nich wszystkich.*

Alicja T. Pawlik

*Byłam oczywiście również ciekawa, czy dzieciom i ich wychowawcom „Spotkania z Fonikiem” dostarczyły przyjemności. A może nie? Poprosiłam o parę słów **Panią Darię Grzegorczyk**, nauczyciela bibliotekarza z SP 90, koordynatora współpracy z UTW, która napisała do mnie tak: *Spotkania wokół książki* Mój przyjaciel smartfon, w jakich uczniowie naszej szkoły mogli uczestniczyć, były kolejnym przykładem budowania mostów międzypokoleniowych. W bezpiecznej atmosferze życzliwości, uśmiechu, zabawy, ale również refleksji mieliśmy okazję wysłuchać wybranych rozdziałów książki napisanej przez seniorów dla najmłodszych i tych trochę starszych. Jak wartościowe są to teksty, nie trzeba mówić. Dzięki nim przenieśliśmy się w świat Fonika i Fonki i wraz z nimi odkrywaliśmy Wrocław, jego zabytki, poznawaliśmy tajemnice, uczyliśmy się tolerancji. Seniorzy z Sekcji Dziennikarskiej UTW w swojej książce nie tylko ukazali nam niesamowite miasto, ale przede wszystkim podczas spotkań zainicjowali wspaniałą relację z młodszym pokoleniem. Wspólnie słuchaliśmy, śmialiśmy się, śpiewaliśmy. Od naszych gospodarzy nauczyliśmy się empatii, troski, szacunku i cierpliwości. Podczas spotkań*

chłonęliśmy atmosferę przyjaźni i zaufania. Takie chwile są bezcenne i na długo pozostaną w naszej pamięci, za co jesteśmy niezmiernie wdzięczni. Seniorzy udowodnili, że mimo, iż upływ czasu jest nieunikniony, to zachowując serce dziecka, nigdy się nie zestarzeją”.

Czy trzeba lepszej rekomendacji? Cieszymy się z tych spotkań, wciąż mając je w pamięci, i mając nadzieję – jak życzone nam w laurkach – na kolejne. Bo pomysłów na integrację nam nie brakuje.

Poniżej – spotkania międzypokoleniowe z Fonikiem w UTW w UW, podczas których słuchacze czytali swoją autorską książkę uczniom ze Szkoły Podstawowej nr 90 we Wrocławiu.

Fot. Paweł Piotrowski





Małgorzata Garbacz

Menedżer Prasowy i Wizerunkowy UTW

w Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu

Jubileusz 15-lecia UTW w Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu. Jubileuszowo, nietypowo

Uroczystość 15-lecia UTW w Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu miała niezwykle – program i atmosferę. 26 maja 2023 r. szacowni goście i słuchacze ruszyli w podróż do... „trzeciego wymiaru”. Czasem tak jest określany seniorski uniwersytet. A ten, na UE, zwłaszcza, bo gromadzi ludzi pełnych wigoru i pomysłów. Dowodem było piętnaście (tyle, ile jubileuszowych lat) jego atutów, poczynawszy od wachlarza propozycji dla dojrzałych studentów, a skończywszy na przyjemności działania w zorganizowanej, twórczej grupie.

„Gaudeamus igitur” – pieśń akademicka, zgodnie z tradycją, wybrzmiała najpierw. A potem było już nietypowo, za zgodą zgromadzonych, na złamanie konwencji. Wszystkich gości i słuchaczy powitał dr Andrzej Bodak, Pełnomocnik Rektora ds. UTW. Wymienił przedstawicieli Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego, Urzędu Miejskiego Wrocławia, macierzystej uczelni, Wrocławskiego Centrum Rozwoju Społecznego, Federacji UTW oraz zaprzyjaźnionych seniorskich uniwersytetów.

JM Rektor UE, prof. dr hab. Andrzej Kaleta, nie krył dumy, że w murach tej uczelni działa UTW – „szlachetna inicjatywa”. – Uniwersytet osiągnął już prawie dojrzały wiek lecz ciągle jest młody, dzięki wyzwaniom, które podejmuje. – To mi bardzo imponuje! Dziękuję i życzę wielu jubileuszy i zadowolenia z aktywności.

Dr Andrzej Bodak, podsumował dotychczasowy rozwój oraz – czas po pandemii. Zaznaczył, że rozmach działania, z inspiracji Samorządu Słuchaczy, lokuje UTW w UE w czołówce, nie tylko wrocławskiej.

Zamiast okolicznościowego wykładu (znowu złamanie znanej formuły) Małgorzata Garbacz, prowadząca uroczystość, przedstawiła garść informacji: o otwartych wykładach i ich znakomitych prelegentach, zajęciach umysłowych i fizycznych, 16 sekcjach (chóralna, haiku, informatyczna, kultury, literacka, origami i in.) Ponadto – o wycieczkach, wizytach na wystawach, spektaklach – słowem: kontakcie z kulturą wysoką. A przede wszystkim – o znakomicie rozumianej idei samorządności.

Wszystkim animatorom i słuchaczom, którzy w UE wybrali drogę kształcenia ustawicznego – kilkakrotnie dziękowano. Im właśnie był zadedykowany pierwszy występ w części artystycznej. Chór UTW w UE „Apasjonata” – tylko

o rok młodszy od jubilata – ambasador obu podmiotów (UTW i UE) – wykonał „Radość Trzeciego Wieku”, hymn UTW w UE. Zespół, nazywany Bordową Wspólnotą (kolor strojów), niedawno świętował 10-lecie współpracy z dyrygentem Bartoszem Jugo. Współpracy okraszonej prestiżowymi nagrodami w konkursach o randze krajowej i zagranicznej. Dyrygentowi i chórzystom podziękowała za artystyczne osiągnięcia Danuta Grudzień, Przewodnicząca Prezydium Samorządu Słuchaczy. Wszystkim zaangażowanym słuchaczom, tworzącym sekcje zainteresowań należą się serdeczne słowa uznania.

Kulminacja programu – to występ artystów Teatru Muzycznego Capitol – Emose Katarzyny Uhunmwangho, utytułowanej i nagradzanej oraz – jej przyjaciół: Beaty Wołczyk, Emilii Danileckiej, Joanny Trzaski, Dariusza Wołczyka i Grzegorza Piaseckiego. Kwintet zagrał na nietypowych instrumentach. Tytuł „Po światach. Poświatowska na głos i skrzypotrąby” wyjaśnia kanwę spektaklu, gorąco oklaskiwanego.

Po nim życzenia od dr Magdaleny Wnuk-Olenicz, Kierownika UTW w Uniwersytecie Wrocławskim i Jerzego Sosnowskiego, Przewodniczącego Zarządu tego UTW, wraz z sympatycznym listem, były wyrazem gratulacji od wielu innych sojuszników. Dr hab. inż. Zofia Hasińska i dr Marek Urban, wspominali swoją opiekę nad UTW, jako Pełnomocnicy Rektora.

Wśród ludzi działających z pasją i odważnie rozwijających zainteresowania, doprawdy nie można się nudzić! Kierujemy się przesłaniem Denisa Waitleya (mówcy motywacyjnego), że warto dążyć do swojej pasji, a – nie do emerytury.

Relacja z Jubileuszem została zamieszczona bezpośrednio po uroczystości na stronie internetowej ue.wroc.pl/uniwersytet_III_wieku



ISSN 1643-7748